Eugeniusz Czirikow
Mój romans.
Maksym Gorkij
Foma Gordiejew.

CZIRIKOW

MÓJ ROMANS

WARSZAWA — 1929

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

MÓJ ROMANS

Nr. 552

EUGENJUSZ CZIRIKOW

MÓJ ROMANS

TŁUMACZYŁA
Z. GRODZICKA

WARSZAWA — 1929
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka. Warecka 15.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Gdy świat tonął w mrokach chaosu, a Duch Boży się nad nim unosił, miłość oczekiwała już na stworzenie człowieka i również unosiła się nad chaosem podobna do cudnego białoróżowego łabędzia. Krążyła, rzucając w przestworza swe okrzyki, pełne smętku i radości zarazem, nawołując, tęskniąc i drżąc w trwożnem i radosnem oczekiwaniu.

Samotnie błądził praojciec Adam po cudnym raju!

Ile razy, słuchając w blaskach zorzy wieczornej głosu cudownego ptaka, wyciągał ku niemu ręce, a gdy zjawisko skrywało się w bezkresach ciemniejącego nieba, z dziwnem uczuciem smutku brodził po wonnych zakątkach rajskiego ogrodu. I zdawało się mu, że z gęstwy krzewów patrzą na niego jakieś oczy, że cień jakiś różany, smukły i giętki, mignął i znikł w zielonej grocie z winogradu, że czyjś szept pełen słodyczy brzmi w szeleszczącem listowiu rajskich drzew.

Wyczerpany błądzeniem i poszukiwaniem rzucał się na gorący piasek złocisty u brzegu strumienia, szumiącego po omszałych głazach, i zasypiał, a w sennych widzeniach marzył mu się czarodziejski ptak, którego chwytał, gdy ten przychodził pić do potoku.

Czy możecie wyobrazić sobie tę chwilę, gdy Adam po raz pierwszy ujrzał Ewę? Ja mogę, gdyż coś podobnego przeżywałem, gdy pierwszy raz

zobaczyłem Nikę. Radosne zadziwienie, szeroko otwarte oczy i uśmiech pełen zachwytu i przestrachu. Wrażenie, że spełnił się cud. Tylko że to spotkanie nastąpiło nie w raju, lecz wprost przeciwnie — w piekle z jego strasznym chaosem zniszczenia, wśród jęków i krzyków ludzkich. Jakgdyby wśród wygnanych z niebios szatańskich hord ukazał się jasny anioł z połamanemi skrzydłami. Ale zacznijmy od początku...

Było to w Noworosyjsku podczas okropnych dni ewakuacji, kiedy zdawało się ludziom, że niema na świecie nic droższego nad życie, choćby najpodlejsze, najnędzniejsze życie skazańców, — a tymczasem fala strasznej śmierci zalewała miasto krwawym potokiem, szybko i nieubłaganie, i groziła, że zmyje z powierzchni ziemi wszystkich tam obecnych. Czerwony strach patrzył w dusze ludzkie swemi zielonemi ślepiami, przywodząc ich do obłędu. Ach! gdyby mieć skrzydła u ramion! Jak chmary przelotnych ptaków wzlecieliby ludzie razem z wiejącym Nord-Ostem ponad kipiącem Czarnem morzem w niewiadomą dal. Zdawało się, jakby wszystko: ziemia, niebo i morze — sprzysięgły się przeciwko nieszczęsnym. Szalony wicher, lodowaty i kłujący, wył nad portem, ulewa groziła zatopieniem, i nie było nigdzie schronienia. Za nami — zbliżający się czerwony teror, przed nami — morskie odmęty... W te straszne dni bały się wyjść na morze nawet ciężkie statki wojenne, które wpłynęły do zatoki i jak bajkowe potwory, jak olbrzymie wieloryby — wyrzucały kłęby czarnego dymu, ogłuszały wyciem syren, a po nocach oślepiały miasto, góry i doliny swemi ognistemi oczkami — reflektorami. Upiorne dni! A jeszcze okropniejsze były długie zimowe noce, podczas

których wszystko, co żyło, odczuwało tchnienie czającej się za górami śmierci.

Był chaos i nad nim krążył duch szatana. A umęczona okrwawiona miłość unosiła się również nad światem, ale nikt nie słuchał jej bolesnych okrzyków, gdyż ludzie opanowani przez siły djabelskie — słuchali wówczas, nie słysząc, i patrzyli — nie widząc...

Byłem jednym z niewielu szczęśliwych wybrańców w tem morzu udręki. Nie zdążyłem wprawdzie skończyć uniwersytetu, ale wobec stałego braku wykwalifikowanych sił doktorskich i dzięki mej długiej praktyce w lazaretach, wyrobiłem sobie stanowisko lekarza i mogłem jako taki — dostać się na każdy wojenny okręt, zabierający rannych i chorych, — a tem łatwiej — na każdy czarnomorski statek, przewożący resztki armji na Krym — ostatni przytułek. Trzeba się było tylko zgłosić — aby dostać się na jeden z kołyszących się potworów i poczuć się zupełnie bezpiecznym. A ileż było tych nieszczęśliwych, którzy nie mieli nawet cienia nadziei tam się przedostać, — a którzy wciąż łudzili się możliwością niemożliwego.

Wokoło zagranicznych konsulatów i domów, mieszczących urzędy wojskowe armij już rozbitych, dniem i nocą panował ścisk i walka o złudną możliwość zdobycia miejsca na okręcie. Tłum oszalałych ludzi, którzy zbyt późno zdecydowali się na ucieczkę, złożony w znacznej części z kobiet i starców, błagał, płakał, przeklinał, starał się wszelkiemi sposobami oszukać rozstawione warty, aby przedostać się bodaj tylko na schody, wiodące do drzwi, za któremi mógł być ratunek dla tych ginących. Jęki, szlochy, wymysły i przekleństwa zlewały się w jeden straszny szum, który

wicher roznosił ponad portem. Ale nie było tu miejsca na litość, i ani niebo, ani ziemia nie chciały słuchać tych skarg i przeklinań. Brak słów i farb dla opisania tego piekła. Niektóre sceny przypominały staro-greckie tragedje: matki, błagające o zabranie dzieci, dziewczynka ze ślepym starcem, inna — która zgubiła rodziców — mogłyby kamienie poruszyć, ale nie wzruszały angielskich porządków.

Z każdym dniem chaos rósł — aż fala paniki dosięgła szczytu. Ta panika ogarniała jak epidemja: nawet ja, mający możność ukryć się w każdej chwili na jednym z pływających potworów — jak Jonasz w brzuchu wieloryba — drżałem wszystkiemi nerwami, czując — jak jej drapieżne szpony zatapiają się w moją duszę. Głos instynktu doradzał mi, abym dłużej nie wystawiał na próbę mego dotychczas pomyślnego losu — to też udałem się pewnego poranku do jednego z tych domów, gdzie tak skąpo rozdawano pozwolenia na ratunek i gdzie stale rozgrywały się wstrząsające sceny z rosyjskiej tragedji, nad którą w dalekiej przyszłości będą wylewać łzy ludzie o czułem sercu, ale która wówczas nie wzruszała nikogo.

II.

Olbrzymi, pstry, krzykliwy, podrażniony, oszalały ze strachu tłum... Niemożliwem jest przedostać się do ponurego uzbrojonego wartownika, który strzeże wrót tego niedostępnego, wszechmocnego domu. Ten tłum nie chce uznać mego prawa na przejście — widzę złe, błyszczące oczy, czuję odpychające mnie ręce. Napróżno tłumaczę, że mam potemu prawo, że nikomu w drogę nie wchodzę, że jestem już zapisany na liście pasażerów...

Tu właśnie — w tym zamęcie — spotkałem kobietę, o której wspominałem — Ją — Nikę... W jej ogromnych oczach zastygły przestrach i rozpacz, — ale twarz była zdumiewająco piękna. Wielkie cierpienie nadaje czasem twarzom ludzkim piętno boskości. Zobaczyłem ją i zatrzymałem się w zdumieniu: jak piękna jest ta tragiczna twarz! przemknęła mi przez mózg błyskawica myśli, i zatrzymałem się tuż obok cudnej nieznajomej, zapominając na chwilę zupełnie o tem, gdzie jestem, dokąd i w jakim celu chcę utorować sobie drogę przez tę szaloną i ogarniętą paniką falę ludzką, wśród której objawiło mi się oblicze Matki Boskiej Bolesnej.

Kobieta stała z bezsilnie opuszczonemi rękami i patrzyła w niebo: może w cichości rozmawiała z samym Bogiem i pytała: za co?

Ubrana była dziwacznie: na wykwintną granatową suknię miała narzucony nieprzemakalny płaszcz koloru stalowego — brudny i zabłocony — z szerokiemi rękawami, kołyszącemi się, jak poła-

mane skrzydła. Wtedy przyszło mi do głowy, że to jest zraniony anioł, spadły z niebios razem z wygnanymi „szatanami". Przypomniała mi się pewna grawiura Gustawa Doré do „Boskiej Komedji" Dantego. Ciemna główka okolona pasmami rozburzonych przez wiatr włosów, przykryta była czarnym szalem, którego końce fruwały w powietrzu i uderzały ją po twarzy. Z pod fałd rozpiętej sukni błysnął na jej piersi złoty krzyżyk — symbol cierpienia.

Stałem jak przygwożdżony do miejsca przez niewidzialną siłę — patrząc na ten obraz cierpiącego piękna, ale nie śmiejąc do niej przemówić. Ona, pogrążona w swe troski, nie zwracała na mnie uwagi. Wtem opuściła głowę, przymknęła oczy i powoli wyszła z tłumu, cicha, pokorna — jakgdyby ujrzała coś w niebiosach — po których płynęły chmury ołowiane, jakby prześwietlone pożogą — i temu się poddawała.

Nie wiem dlaczego poszedłem wówczas za nią. Nie myślałem i może nawet sam tego wtedy nie zauważyłem. Poszedłem, poprostu poddając się nie swojej, a jakiejś obcej woli. Dął wściekły lodowaty Nord-Ost. Ulewa ustała, ale drobna, jak pył, słona mgła wraz z kłującym białym szronem przejmowała do szpiku kości. Nad wzburzonem morzem przewalały się zielone góry fal, ukoronowane bielą piany i spadające kaskadami wdół. Ołowiane niebo, pokryte szybko mknącemi potwornemi chmurami, zdawało się spadać na miasto i morze. Z różnych stron portu słychać było wycie syren, niby ryk przedpotopowych straszydeł. Wiatr popychał ludzi, przewracał słabych, zrywał okrycia, zmuszał do szukania oparcia przy słupach telegraficznych, ustawionych wzdłuż wybrzeża. Przela-

tywały auta, zapchane wojskowymi, gruchotały samochody ciężarowe, pełne żołnierzy i rannych. Wszędzie czuć było trwogę i pośpiech. Zdawało się, że samo życie stara się uciec jak najprędzej od zjawy śmierci, która już krąży niewidzialnie po ulicach miasta. Ze wszystkich stron noszono i wieziono na wozach nagie trupy, sztywne, przykryte zaledwie rogożami, z pod których sterczały zlodowaciałe ludzkie kończyny.

W mieście grasowała epidemja dyzenterji, tyfusu plamistego i brzusznego. Ale ludzie nie bali się ani cholery, ani tyfusu, ani dyzenterji — bali się tylko śmierci z rąk ludzkich — „czerwonej śmierci".

W ciągłym ruchu będące tłumy parły ku stojącym w porcie okrętom. Szczęśliwi, mający zapewnione miejsca, jechali na pewne, odrzuceni biegli zpowrotem znów płakać, błagać, żądać, a może prześlizgnąć się niepostrzeżenie na statek, uniknąwszy straszliwych cerberów, szczekających jak psy w niezrozumiałym języku na nieszczęsnych rosyjskich uchodźców.

Spostrzegłem ze zdumieniem, że idę wciąż wślad za nieznajomą. Początkowo szła ona szybko, walcząc z wichrem, nagle zwolniła kroku, jakby zgubiła cel swej drogi. Może zmęczyła się, zadyszała? Szła teraz wolno, wolniutko, z opuszczoną głową, jak człowiek, który nie ma dokąd iść. Na molo zatrzymała się i oparła o ogrodzenie, zapatrzyła w morze. Znieruchomiała, wpatrzona w szalejące pod jej stopami spienione masy wodne, rozbijające się o kamienne ściany i bryzgające kaskadą pian. Morze podobne było do olbrzymiego kipiącego kotła, który lada chwila wyleje się i zatopi wybrzeże i całe miasto. Jakiś głos podszepnął mi tajemnicę jej zachowania: ona chce

się rzucić do morza! W tej samej chwili nieznajoma zrobiła znak krzyża i postąpiła krok naprzód. Rzuciłem się i zdążyłem schwycić za rękę. Wyrwała się, o mało nie poślizgnąwszy się na kamiennem zboczu. Odciągnąłem ją od barjery.

— Na miłość Boską! Niech się pani opamięta!

Popatrzyła na mnie strasznemi, zamglonemi oczami, w których zastygły łzy, i wyrwawszy rękę, gniewnie krzyknęła w uniesieniu:

— Czego pan chce! Proszę odejść!

Potem przylgnąwszy do ogrodzenia, ukryła twarz w dłoniach i załkała.

Nie wiem już, co zacząłem wtedy mówić. Co mogłem powiedzieć kobiecie, którą spotkałem pierwszy raz w życiu? Prawdopodobnie coś takiego banalnego, niemądrego, jak zwykle w podobnych wypadkach: że życie nasze jest skarbem, że nie należy do nas, że nie mamy prawa...

— Utopić się? przerwała nieznajoma i roześmiała się — tak dziwnie i nienaturalnie — jak śmieją się na scenie podrzędni aktorzy.

Ocierając łzy końcem narzuconego na głowę szala, patrzyła na mnie ze zdumieniem i podrażnieniem, a w jej ciemnych oczach błysnęła ironja:

— Bohater! czy pan liczył na otrzymanie medalu za ratowanie tonących, czy tylko na moją wdzięczność. Bardzo pan uprzejmy, skoro do usług, ale proszę wybaczyć otwartość — czasem tacy ludzie gorsi są od wrogów...

Słuchałem cierpliwie ubliżających zarzutów i być może, że ta moja pokora zachwiała dumę pięknej nieznajomej: zamilkła, obrzuciła zagasłym wzrokiem niebo, morze i ziemię i szepnęła:

— Przepraszam — sama nie wiem, co mówię i co robię! Mam wrażenie, że zwarjuję...

Zaczęła iść wolnym krokiem i nie protestowała, gdy poszedłem z nią razem.

— Czy pan rzeczywiście uważa nadal, że życie jest skarbem? Wobec tego, co dzieje się naokoło? Przecież teraz życie psa jest bardziej cenne, niż życie ludzkie.

Podniosła głowę i znów zaśmiała się dziwnym, sztucznym śmiechem:

— O proszę spojrzeć — wiozą ludzi, jak padlinę! Czyż nie lepiej schronić się od tego świętokradztwa choćby do morza?

Szliśmy obok siebie po wybrzeżu. Silny wiatr zmuszał ją do chwytania mnie za rękę, owijał jej suknię około nóg i przeszkadzał iść. Rękawy płaszcza podniosły się — jakby ręce — i kołysały w powietrzu. Czasami trzeba było odwracać się i czekać, aż ten wściekły wiatr trochę przycichnie. Nie pytałem, kto ona i dokąd dąży, ale wytrwale szedłem obok. Pragnąłem odprowadzić ją jak najdalej od brzegu. Tak doszliśmy do linji kolejowej, zapchanej pasażerskiemi i towarowemi pociągami, wśród których były platformy i „tiepłuszki".

— Oto nasze miasto — miasto skazańców! rzekła nieznajoma, gdy znaleźliśmy się razem pośród masy wagonów, zapełnionych uchodźcami z Północy.

Było to rzeczywiście jakby całe miasteczko — z ulicami i zaułkami, gdzie żyli ludzie, wyglądający jak zbawienia — możności dostania się na okręt i tracący z każdym dniem nadzieję.

— Myślałam, że już nigdy nie wrócę tutaj.. pan mi przeszkodził... I znów ta noc bez końca, koszmar, jęki chorych, wynoszenie trupów, łzy

i przekleństwa... Znaczy się, jeszcze jedna noc w tem mieście obłąkanych.

Błądziliśmy długo po labiryncie wąskich brudnych przejść; na mokrych ścianach wagonów błyszczały załzawione okienka — gdzie niegdzie migając światłem palących się ogarków — aż wreszcie zatrzymaliśmy się.

— Nie mogę pana zaprosić do siebie: w naszym domku zbyt wielu jest mieszkańców i wre ciągła walka o każdy kawałeczek miejsca.

III.

Z tonu, jakim były wypowiedziane ostatnie zdania wywnioskowałem że myśl o samobójstwie uporczywie tkwi w tej zbolałej duszy kobiecej i że należy coś przedsięwziąć i nie dopuścić, aby morze pochłonęło swą ofiarę, jak pochłania codziennie setki ludzi, którzy z rozpaczy utracili wolę do życia. Ale co począć? Za chwilę skryje się ona w jednym z tych podobnych do uli wagonów i nigdy jej więcej nie zobaczę, gdyż daleko łatwiej jest odnaleźć kogoś w wielkiem mieście, niż w tym pełznącym labiryncie jednakowych domków.

Przystanąwszy u stopni wagonu, Nika podała mi rękę.

— Cóż mam powiedzieć panu na pożegnanie? Jeżeli pan chce szczerości, to powiem, człowieku o czułem sercu, iż nie należy przeszkadzać umrzeć ludziom, którym nie można pomóc żyć.

Wtedy jakby coś podszepnęło mi, co mam odpowiedzieć:

— Proszę mi wybaczyć moją, być może, niewłaściwą przysługę, czy jak to nazwać... Nie wiem! Ale chciałbym bardzo przekonać panią o mej szczerości. Gdybym wiedział, co doprowadziło ją do takiego stanu, może zdołałbym ulżyć jej cierpieniom... Nie umiem tego dobrze objaśnić, ale takbym pragnął jeszcze panią spotkać, porozmawiać, jak z...

— Jak z siostrą... czy tak?

Prawdopodobnie na mej twarzy odmalowała się uraza pod wrażeniem tych ironicznych słów,

gdyż potrząsnęła głową, zakryła twarz rękami i rzekła:

— Nie... nie... niech się pan na mnie nie gniewa... nie chciałam go obrazić... poprostu nie umiem nad sobą panować, nie mogę zrozumieć tego, co mnie otacza, ani też ludzkich postępków... przepraszam pana... Ja jednak czuję, że pan jest dobrym człowiekiem.

— W takim razie proszę pozwolić mi zobaczyć panią raz jeszcze.

— Ale... jaki pan dziwny... naco to panu?

— Nie wiem. Bywa tak w życiu. Nieraz zdarzy się spotkać człowieka w podróży, w tramwaju i odrazu poczuć do niego specjalną sympatję, niczem zresztą nie uzasadnioną. Gdy straci się go z oczu na pierwszym przystanku — robi się żal, że nie zdążyło się z nim zaznajomić bliżej — i człowiek czuje się wtedy tak, jakby utracił coś drogiego...

Spojrzała na mnie swemi poważnemi oczami i odparła, smutno się uśmiechając:

— Pan postanowił przeszkodzić mi wysiąść z tramwaju życia?

Zmieszałem się: odgadła moją myśl.

— Czy tak?

— Tak jest. Odgadła pani.

— Nie wiem... nie wiem... może tak było potrzeba... może stanie się cud i dostanę się na statek. Nie boję się śmierci, ale przedtem chciałabym dowiedzieć się prawdy. A w tym celu musiałabym pojechać na Krym. Jeżeli jutro to się nie stanie, jeżeli mi się nie uda... ja... dłużej już nie mogę... i nikt nie przeszkodzi mi wtedy wysiąść z tramwaju życia na tym przeklętym przystanku. Ale jest daleko trudniej dostać się na okręt, niż umrzeć, wobec czego lepiej byłoby — gdyby pan nie troszczył się więcej o mnie i nie przychodził.

Wyciągnęła do mnie rękę. Zatrzymałem ją w swej dłoni i rzekłem:

— Może w tym kierunku potrafię pani dopomóc.

— Do wyjazdu?

— Tak...

Prawie, że się przestraszyła.

— Pan mógłby mi to ułatwić? Czyż naprawdę? W takim razie nie powinnam mieć do pana żalu za pańskie postępowanie tam, nad morzem... W takim razie powinnam dziękować Bogu za wszystko, co się stało właśnie w ten sposób...

Mówiła szybko i w podnieceniu, jakby bojąc się zapomnieć wyrazu.

— To jest możliwe. Trudne — ale możliwe.

Wtedy jeszcze, gdy mówiła o wyjeździe do Krymu, powziąłem w myśli pewien plan — ale krępowałem się mówić, gdyż był to sposób nadzwyczaj drażliwy i lękałem się, że mógłbym obrazić lub urazić tę panią, pochodzącą — sądząc po wszystkiem — bynajmniej nie z demokratycznych sfer.

— I pan obiecuje zaraz jutro...

— Tak jest... ale pani będzie musiała zgodzić się na pewien warunek... Boję się, że... pani nie zechce go przyjąć...

— Niech pan mówi... Mam nadzieję, że mam do czynienia z porządnym człowiekiem...

Ostatnie zdanie wypowiedziała głosem zniżonym, jakby bojąc się z mej strony jakiej cynicznej propozycji, co w owe czasy bardzo często spotykało młode i piękne kobiety, chcące wyjechać statkiem, od mężczyzn, u władzy będących.

— Widzi pani... rzecz jest taka, że...

— Zdaje się, że zrozumiałam pana... i zdaje się, że można dalej nie mówić...

— Przepraszam, jedną chwilę — pani się myli... Moje zamiary są jak najuczciwsze...

Przystanęła i ze spuszczonemi oczami słuchała mych zawiłych wyjaśnień. Wytłumaczyłem jej: jestem lekarzem i jako taki zapisany jestem na statek, jadący do Krymu z rannymi i chorymi. Nie wolno mi wprowadzać na pokład osób postronnych, — ale gdyby ze mną była żona — mógłbym zabrać ją ze sobą...

— Niestety nie mogę wyjść za pana zamąż...

— Nie myślałem zupełnie o takiem szczęściu i byłoby z mej strony zuchwalstwem i nieprzyzwoitością nawet przypuszczać coś podobnego... Mówię tylko o zwyczajnej formalności. Wystarczy otrzymać ze sztabu dokument, stwierdzający, że jedzie ze mną żona...

— No, a potem — na statku...

— Niestety, podczas podróży musiałaby pani nieść to fikcyjne brzemię małżeńskie. Od chwili wejścia na statek aż do czasu zejścia na brzeg — wobec wszystkich musiałaby pani grać rolę mej małżonki, ale...

— Co dalej? niech pan mówi... słucham...

— Jak mogę panią przekonać, że nie jestem łajdakiem i nie chcę nadużyć jej zaufania, a że jestem poprostu człowiekiem, który nie zatracił jeszcze podobieństwa boskiego? Trudno mi bardzo... pani jest tak podejrzliwa...

— No cóż — wszystko jedno — trzeba mówić prosto i wyraźnie...

— Jeżeli moje słowo honoru pani nie wystarcza...

— Słowo honoru! Teraz ono nie istnieje...

— A więc — jeżeli słowo honoru pani nie przekonywa, dam jej rewolwer, jako gwarancję nie-

tykalności. Będziemy jechać w jednej kajucie, ale wystarczy jeden strzał, ażeby ludzie się zbiegli i... Jak mię boli, że pani nie może wejrzeć w moją duszę! Wtedyby pani zrozumiała, jak mi trudno mówić o tym... rewolwerze. Ale w takim razie musiałaby pani uwierzyć, że choć jestem człowiekiem, lecz...

W moim głosie drżała nuta prawdziwej urazy za taki brak zaufania — i ona odczuła we mnie tylko to co „ludzkie", a nie „zwierzęce".

— Na miłość boską, proszę się nie gniewać! ja chcę wierzyć... ja panu wierzę! Jak pańskie nazwisko?

Przedstawiłem się jej. Powiedziała mi swoje imię i nazwisko, uścisnęła mocno moją rękę i roześmiała się. Pierwszy raz usłyszałem jej prawdziwy naturalny szczery śmiech, niepodobny zupełnie do tamtego — aktorskiego. Zapisałem numer wagonu, w którym mieszkała, nakreśliłem plan szyn kolejowych i znaki szczególne, przy pomocy których mogłem odnaleźć miejsce postoju pociągu. Umówiliśmy się, jak działać, co zrobić, gdzie się jutro spotkać, i odniosłem wrażenie, że rozstaliśmy się — w przyjaźni.

Wracałem do domu do swego pokoju na krańcach miasta dziwnie podniecony, pełen radości i niepewności. W mem samotnem życiu stało się coś nieoczekiwanego, nadzwyczajnego, i przeczuwałem, że nie będzie to jeden z epizodów tych strasznych czasów, a coś ważnego, co zmieni mój los. W jakim kierunku? Pan Bóg raczy wiedzieć! Czułem w duszy to podniosłe przekonanie, że po raz wtóry wyrywam ze szponów śmierci pełną jakiejś mistycznej tajemnicy kobietę, podobną do obrazu Matki Boskiej Bolesnej.

IV.

W nocy szumiała ulewa i wył zły Nord-Ost. Zdawało się, że wrogie siły szturmują do naszego skrzypiącego wątłego domu — o krzywych schodach i krzywych balkonach. Grzechotało coś w dachu, jakby po nim chodził wielkolud, drżały ściany i na stole smutno brzęczała zastawa do herbaty. Szum fal, bijących wściekle o wybrzeże i molo, przypominał huk armat — a bębniąca po dachach ulewa — okrutną pracę kulomiotów. Temi podłemi czasy wszystkie dźwięki przypominały nieodmiennie jedno i to samo: bestjalską walkę między ludźmi, wzajemne mordowanie się i burzenie życia we wszelkich jego przejawach. Mimo wszystko czułem się radośnie podniecony: każda chwila przybliżała mnie do czegoś nowego, nieznanego, co pozwoli pozostawić daleko poza sobą to wszystko, co takie okropne i wstrętne. Jakgdyby po wielu latach nieustannego huku bębnów i trąb miedzianych odrazu wszystko umilkło i w tej czarownej ciszy ktoś dotknął delikatnie strun harfy.

Każdy dzień zbliżał ku miastu nieuniknioną katastrofę — a noce zdawały się nie mieć końca. Nie trwożyłem się o siebie, ale bez przerwy myślałem o niej — o Nice: żeby móc wywieźć ją jak najprędzej, przekonać o swej przyzwoitości i powrócić jej utraconą wiarę w ludzi. Przez całą pierwszą noc po naszem poznaniu przypominałem sobie naszą rozmowę przy wagonie, duże ciemne oczy — w których błyszczał gniew, osiadała ciężka zadu-

ma, zapalał się chwilowy ognik radości — przyczem oczy te robiły się błękitne — wspominałem zmarszczkę między brwiami i przelotny uśmiech — całą skomplikowaną grę tej cudnej twarzy... „Wierzę panu... chcę wierzyć“, ale podany jej w chwili podniecenia rewolwer jednak wzięła — znaczy się, że to zaufanie nie jest zbyt silne. Chociaż z jakiej racji miałaby wierzyć pierwszemu lepszemu spotkanemu mężczyźnie, jakim ja jestem dla niej? I jak mogłem poczuć do niej urazę — gdy powtórzyła przy pożegnaniu główny warunek swej zgody:

— Żadnych pretensyj z obu stron!

I roześmiała się — patrząc na mnie zalękłem ale przenikliwem spojrzeniem.

— Naturalnie.

— Jak tylko przyjedziemy, wysiądę na brzeg i rozstaniemy się na zawsze.

— Dobrze.

— Ale jeszcze... Nie mam paszportu, ani wogóle żadnego dowodu osobistego. Wszystko zgubiłam przy ucieczce z Rostowa.

— Jakoś temu zaradzimy. Na mocy dokumentów, które mam nadzieję dostać ze sztabu, — pani będzie mogła wyrobić sobie dowód osobisty...

— Na imię pańskiej żony...

— Nie chce pani? To nie zobowiąże do niczego... — dodałem, widząc znów przestrach i niedowierzanie na jej twarzy.

— Jak tylko przyjedziemy, zginiemy dla siebie nawzajem bez śladu — powtórzyła.

— Ale na statku nikt nie może wiedzieć, ani nawet podejrzewać, że użyłem podstępu — i że... jesteśmy obcy dla siebie...

Ona zażartowała:

— O, to bardzo łatwo! będziemy codzień się kłócić. Po paru scenach wszyscy uwierzą, że kochamy się, jak przystoi prawowitym małżonkom.

Żartowała, śmiała się, ale ton był poważny, a przez uśmiech przebijał smutek. Tak jakgdyby rozmawiała, myśląc zupełnie o czem innem — dalekiem, mglistem. Dopiero przy uścisku jej ręki na pożegnanie miałem wrażenie, że powróciła jej świadomość rzeczywistości, i że ja dla niej egzystuję.

Podczas następnej nocy pół spałem, pół czuwałem, i czułem się zmęczony. Nowy dzień zajrzał w okna — szary, ołowiany, przesiąknięty mgłą — przygnębiający. Ale wiatr ustał. Przez okna widać było kawałek morza: ciężkie zielone fale jakby kipiały na ogniu, wyrzucając białą pianę na zakuty w kamień brzeg. Wyły samochody, grzmiały ciężarowe auta, przelatywali jeźdźcy na koniach w papachach, z karabinami na plecach. Regularnie wybijały takt maszerujące w ponurem milczeniu i skupieniu oddziały wojska. Odczuwało się jeszcze więcej przestrachu i beznadziejności, niż wczoraj.

Pośpiesznie ubrałem się i umyłem, wypiłem szklankę zimnej herbaty z cytryną i poszedłem w swej potajemnej sprawie, którą uważałem już za najważniejszą w świecie.

Sztab morski — dokąd skierowałem swe kroki — przypominał dom obłąkanych. Z błahego powodu wybuchały tam kłótnie i wymysły, panował ścisk i nieporządek. Ale puszczona w ruch maszyna jeszcze pracowała w gorączkowem tempie — jak serce przy podniesionej temperaturze.

— Pan w jakim interesie?

— Otrzymałem przepustkę na jedną osobę — podczas gdy prosiłem — na dwie — ponieważ ze mną jedzie żona — pewnym głosem z tonem protestu skłamałem dla dobrej sprawy.

— Dlaczegóż pan nie protestował przy odbieraniu przepustki? To nie należy do nas pamiętać o waszych żonach! — krzyknął podrażnionym tonem chudy zgryźliwy miczman, odrzucając wręczone mu podanie i przepustkę młodemu urzędnikowi.

W takim razie proszę zameldować mnie naczelnikowi sztabu. Chcę rozmówić się osobiście. Nie jestem pasażerem, a doktorem — osobą urzędową. Nie mogę rzucić żony na pastwę losu...

Zgryźliwy marynarz wylał na mnie cały potok swej dokuczliwej, pełnej żółci wymowy — ale wkońcu znudziło mu się widocznie prawienie morałów o porządku i przerwał:

— Proszę przepisać przepustkę i zaświadczenie! Nie zatrzymywać!

Miczman nie czynił żadnych trudności. Wysłuchał cierpliwie i prosił „chwilkę“ poczekać.

Leniwie wlókł się czas, a miczmana ciągle atakowano. Widząc moją niezadowoloną minę, podał mi blankiet i zaproponował, abym sam wypełnił nowy tekst.

— Doskonale!

Szybko popełniłem fałszerstwo — stałem się mężem Niki. Trzeba było jeszcze wzmocnić to urzędową pieczęcią i podpisami. Wszystko poszło normalnie.

Otrzymawszy przepustkę dla siebie i żony — śmiało i pewnie skierowałem się do drugiego wydziału sztabu, żeby dostać pozwolenie na wprowadzenie żony na pokład, — jedna przepustka nie wy-

starczała. Tamto dla straży wojskowych, a to dla kapitana okrętu. Najdziwniejsze, że to popełnione oszustwo przestało mi ciężyć, i teraz szedłem już nie prosić, a — żądać. Wydawało mi się, że jestem rzeczywiście żonaty i szczerze się oburzyłem, gdy jakiś gołowąsy miczman spytał mnie, czem mogę udowodnić, że zabieram z sobą żonę, a nie..

— Kochankę? — przerwałem mu z oburzeniem — a miczman wzruszył ramionami z zawstydzoną miną.

— Przepraszam, wypełniam tylko rozporządzenie władz. Niestety były wypadki, że pod firmą żon...

— W takim razie proszę zameldować mnie naczelnikowi sztabu. Muszę się z nim widzieć.

Do zmieszanego miczmana podszedł drugi urzędnik, najwidoczniej jego bezpośredni zwierzchnik i zaczęli coś szeptać między sobą. Poczułem się nieswojo: zdawało mi się, że moje oszustwo jest już wiadome i tym szepczącym, i wszystkim wokoło — i zacząłem się bojaźliwie oglądać. Ale nikt nie interesował się moją tajemnicą, każdy tu myślał tylko o sobie — ale nie zajmował cudzemi sprawami.

— Proszę usiąść i poczekać!

Siedziałem, jak na szpilkach. A nuż jakimś cudem wszystko się wykryje i skończy strasznym skandalem dla mnie, a dla niej... Przecież dla niej to kwestja życia i śmierci. Minuty zdawały się przedłużać w godziny. Uderzenia zegara poprostu waliły mi w skronie, a przeciągły i ponury oddźwięk wydawał się pogrzebowym dzwonem. Wtem podejrzliwy miczman, wyszedłszy z pokoju komendanta, skierował się uśmiechnięty ku mnie.

Zrobiłem poważną minę szykując się do wybuchu oburzenia. Ale dzięki Bogu, nie jest tak źle, jak się zdawało!

— Na okręcie, gdzie jest pan zapisany, jako doktór, niema już ani jednego wolnego miejsca.

— Ależ ja nie żądam oddzielnego miejsca! Żona pojedzie razem ze mną w mej służbowej kajucie... Sam rozumiem, że nie można wymagać wygód... Nie chcę robić konkurencji pasażerom... Moja żona nie obciąży, a ułatwi podróż, gdyż może pełnić obowiązki siostry miłosierdzia...

— W takim razie można...

Po upływie kilku minut śpiesznie i radośnie zbiegałem po kamiennych schodach, czując się jak legendarny bohater, który zwalczył wszystkie przeszkody i psoty baby Jagi.

W ten sposób stałem się ostatecznie mężem Weroniki Władimirówny Berezań. Dziwne nazwisko! I dziwnie pasuje do tej niezwykłej kobiety. Berezań! Coś wiosennego, pachnącego, przypominającego korę brzóz i zapach pierwszych brzozowych listków. Jakgdyby nie oznaczało zwykłego, normalnego człowieka, a jakieś zjawisko w przyrodzie lub coś w rodzaju czarodziejskiego napoju.

Powtarzałem tę nazwę i przysłuchiwałem się dźwiękowi tego wyrazu. Nie wiem dlaczego, ale czułem się dumny i szczęśliwy, niby prawdziwy oblubieniec po ślubie. Kiedy zbiegałem ze schodów na ulicę, cały świat wydał mi się innym, nowym. Przez rozdarte chmury wyjrzało słońce i zalało swem oślepiająco jaskrawem światłem przemoknięte miasto i zielone poszarpane morze. Iskrzyły się w jego promieniach dachy i kopuły cerkiewne, jaskrawo błyszczały na stojących w porcie

okrętach wojennych miedziane części maszyn. Jakgdyby zniknęło panujące w mieście przygnębienie i dotychczasowe piekło wydawało się zakątkiem raju. Prawda, że Nord-Ost wciąż jeszcze wył, jak zły pies, chłód przenikał całe ciało i palił twarz, — ale słońce uśmiechało się radością zwycięstwa i radość panowała w mojej duszy.

V.

A teraz dokąd? Naturalnie do Weroniki Berezań! Nasz statek jutro wychodzi w morze — trzeba, aby się przygotowała do wyjazdu, a zwłaszcza aby się jak najprędzej dowiedziała, że wszystko ułożyło się pomyślnie i że pojedzie na Krym. Dlaczego tak pragnie dostać się do Krymu i jakiej „Prawdy“ chce się tam dowiedzieć? Co za jakaś straszna „prawda“, od której zależy jej „być albo nie być“. Moja radość zgasła: nic innego — tylko miłość — napewno! Wysiądzie na brzeg i wszystko się skończy. Kto też jest tym szczęśliwcem? Ale zaraz przyszło mi do głowy, że jeżeli nawet miłość, to nie taka szczęśliwa — triumfująca, gdyż wtedy nie byłoby tej tragicznej zmarszczki na jej czole i bolesnego wzroku, gdy pogrążała się w zadumie. Ujrzałem znów przed sobą zmęczoną twarz bolejącej Madonny i zapragnąłem jak najprędzej ją zobaczy, spostrzec wgłębi jej ciemnych oczu iskrę nagłej radości. Dlaczego tak miło jest sprawiać radość innym? Nie wiem, ale dusza moja rwała się do tego miasta skazańców, aby tam odnaleźć zaczarowany wagon i oznajmić radosną nowinę.

Błądziłem długo w labiryncie. Widocznie przez noc poprzestawiano wagony na zapasowe linje, aby zyskać miejsce dla nowych pociągów z uchodźcami. Wpadłem w rozpacz: zrobiony wczoraj naprędce plan nie odpowiadał zupełnie rzeczywistości i tylko mylił mnie. Wagony, wszy-

stkie do siebie podobne, jak krople wody — były przepełnione zdenerwowanymi mieszkańcami, których ilość była niezliczona. Linje krzyżowały się, rozchodziły i znów schodziły na olbrzymiej przestrzeni, pełzły od stacji osobowej i towarowej na wszystkie strony, aż do samego portu, do olbrzymich towarowych składów. Kręciło mi się w głowie i wciąż zdawało mi się, że słyszę wołający mnie znajomy głos, który utkwił w mej pamięci. Przystawałem i chciwie wsłuchiwałem się, ale zawsze przekonywałem się, że słuch mnie zawodzi. Rozpytywałem się, złościłem, że nikt nie zna pani Berezań i nie umie wskazać mi jej wagonu i lękałem się, że nie zdołam jej odnaleźć.

— Kogo to pan szuka??

— Mojej żony, pani Berezań.

— Jak pan powiedział?

— Berezań!

— Nie słyszałem. Takiej, zdaje się, w naszym wagonie niema. Berezanina?

— Berezań!

Wtem usłyszałem stuk otwierającego się okna w wagonie sąsiednim. Podniosłem głowę i ujrzałem twarz, na widok której opanowała mnie szalona radość.

— Weroniko Włodimirówno!

Wybiegła na platformę wagonu, owinięta w szal i zawołała:

— Tu wchodzić nie można, zaraz wyjdę!

Schowała się, a ja patrzyłem triumfująco na gapiowatego jegomościa i robiłem mu wymówki:

— Jakto niema, kiedy jest tuż obok. Ona właśnie nazywa się Berezań.

Odnalazłem ją, dzięki Bogu! Z radości aż zrobiło mi się gorąco. Zdjąłem czapkę i otarłem pot z czoła. Bałem się odejść od wagonu i patrzyłem na nu-

mer. Dziwne! przechodziłem tędy kilka razy i nie dojrzałem. A numer widoczny, poprostu lezie w oczy, jakby drwił ze mnie. Ale otóż i ona.

— Cóż słychać?

— Wszystko załatwione — krzyknąłem, powiewając czapką.

Przeżegnała się, ale nie uśmiechnęła. Na twarzy nie było znać tego radosnego wrażenia, które spodziewałem się wywołać.

— Wszystko zrobione i jutro wieczorem pani i ja odpływamy — powtórzyłem, sądząc, że może nie zrozumiała dobrze, jaką wiadomość jej przyniosłem.

Zeszła wolno po stopniach na ziemię, mimochodem spojrzała na mnie i poczułem w jej wzroku jakąś zmianę. Spojrzenie to było zimne, twarz zmęczona z fałdką między brwiami, piękna, ale jeszcze bardziej tajemnicza. Kurczyła się i drżała z zimna, i nie znalazłem w niej żadnego oddźwięku mej radości ze spotkania z nią, radości, która prędko zginęła wobec jej lodowatej obojętności względem mnie i przyniesionej wiadomości.

— Dzień dobry!

Pocałowałem jej delikatną rękę i poczułem, że drgnęła z przestrachu, a może ze wstrętu, i schowała ją pod szal.

— Jak zdrowie pani?

— Źle spałam w nocy...

I znów krótkie, ale podejrzliwie badawcze spojrzenie głębi zadumanych oczu. Zrozumiałem: rozmyślała przez noc nad swem postanowieiem i zachwiała się w niem.

— A więc jutro wyjeżdżamy. Pozwoli pani, że przyjdę jutro po nią i pomogę. Lepiej będzie jak najwcześniej przedostać się na statek.

— Czy bilety już są? Proszę pokazać!

— Przepustkę mamy wspólną, a zaświadczenia na prawo wejścia na statek dwa.

Stała z wyciągniętą ręką, tym milczącym gestem potwierdzając swe żądanie obejrzenia przepustki. Zmieszany, długo szukałem po kieszeniach, przeglądałem portfel i notesy, nie mogąc odnaleźć dokumentów. Robiło mi się zimno i gorąco. Nareszcie przypomniałem sobie o bocznej kieszeni, gdzie rzeczywiście włożyłem te drogocenne papiery. Podałem je Weronice, która wlepiła w nie oczy. Czułem się niby podsądny, oczekujący na wyrok przysięgłych. Wstrętne uczucie! Nareszcie skończyła się męka.

— Cóż, chyba trzeba będzie pojechać — szepnęła w zamyśleniu, oddając mi papiery.

— Weroniko Włodimirówno!

— Słucham pana, Iwanie Pawłowiczu! Zdaje się, że dobrze pana nazywam?

— Niezupełnie. Piotrowicz, Iwan Piotrowicz. Ale to wszystko jedno.

A było zupełnie nie„wszystko jedno" i uraziło mnie.

— Przepraszam.

Westchnienie i opuszczona główka.

— Jestem trochę zadziwiony, jakby to wyrazić, pani wahaniem. Przecież pani jest nadal zupełnie wolna. Jeżeli się pani rozmyśliła, mogę i sam pojechać. Nie jestem zupełnie obowiązany jechać razem z żoną. To tylko moje prawo, ale nie obowiązek.

— Widzi pan, sprawa jest taka. Dziś rano był w naszym pociągu jakiś morski oficer i zapewnił, że za dwa dni nas napewro wyślą.

— Jak pani sobie życzy! Żałuję tylko, że nie udało mi się rozproszyć pani podejrzeń i przez to

stracę przyjemność okazania pani tej małej przysługi.

Wyciągnąłem do niej rękę.

— Gdyby pan był tak dobry i zaszedł tu jeszcze jutro rano... po raz ostatni! Więcej go fatygować nie będę....

— Widzę, że pani poprostu boi się mnie. Wątpię, aby do jutra udało się pani poznać mnie bliżej, ale nie odmawiam. Jutro o dziesiątej przyjadę na stację z bagażami i tu przyjdę. Jeżeli pani się zdecyduje jechać, będę do jej dyspozycji.

— Przez Boga! proszę się na mnie nie gniewać! Powinien pan przecież zrozumieć, że moje położenie... Przecież ja pana zupełnie nie znam...

— Ależ rozumiem... i nie obrażam się, tylko żałuję i to bardziej siebie samego...

— Widzę z pana twarzy, że jutro pan nie wstąpi...

— I przekona się pani, raz jeszcze, że się myli...

— Musi pan wstąpić, jeżeli nie po mnie, to po swój rewolwer.

— Ach, prawda, mój brauning! Doskonale. Zostawiam go jako zakładnika na dodatek do tego słowa honoru, które obecnie jest bez wartości.

Lekki uścisk dłoni, smutny uśmiech, i rozeszliśmy się. Gdy się odwróciłem, postać Weroniki mignęła w drzwiach wagonu i schowała się. Widocznie patrzyła za mną, starając się odgadnąć z mojej figury i sposobu chodzenia, kto zacz jestem.

VI.

Szedłem i myślałem: Jaka siła jest w naszym wzroku i na jak wielką działa odległość! Jakimś szóstym zmysłem „psychologicznego dotyku“ odczułem wysłany za mną wzrok Weroniki i odwróciłem się. To działanie niezawsze jest jednakowo silne, potrzebne są do tego jakieś niewiadome przesłanki. Tajemniczy radjo-telegraf! Wtedy nad morzem było coś podobnego: odgadłem myśl tej kobiety, gdy chciała się rzucić do wody. I w tej chwili mam pewność, że jeżeli nie zechce pojechać ze mną, to zginie. Trzeba zabrać ją stąd w jakikolwiek sposób. Zwolniłem kroku i zacząłem rozmyślać nad położeniem. Byłem zły na siebie, że nie zdołałem pokonać jej nieufności. Trzeba było jej powiedzieć, że nie jestem niebezpieczny, gdyż kocham pewną dziewczynę, która czeka na mnie, aby zostać moją żoną. Przecież w stosunku do niej jestem dotąd zupełnie czysty i ani na chwilę nie miałem żadnej dwuznacznej myśli, żadnej męskiej rachuby, a dusza moja przepełniona była względem niej tylko pełnym szacunku zachwytem. Należało znaleźć wyrazy właściwe dla wyjaśnienia stanu mej duszy, i wtedy onaby zrozumiała i odczuła, że jestem bez winy i grzechu, więcej, absolutnie czysty w swych zamiarach i pragnę tylko jednego: dopomóc jej wyrwać się z tego zaklętego koła udręczeń. Że poprostu nie mogę przejść obojętnie koło człowieka, który utracił chęć do życia...

Przekonawszy sam siebie o świętości mych uczuć, chciałem ponownie pójść do niej, ale po namyśle zawróciłem z drogi. Przyszło mi do głowy, że moje naleganie mogłoby tylko popsuć sprawę, zwiększyć jej podejrzliwość i wywołać ostateczną decyzję odrzucenia mej bezinteresownej pomocy. Przystanąłem niezdecydowany, a jakiś głos wewnętrzny zartobliwie pytał we mnie: dlaczego tak zapragnąłem ocalić właśnie tę kobietę, a nie jakąkolwiek inną, choćby tę matkę z dzieckiem, która pełzała u nóg stojących na straży żołnierzy.

Wróciłem do siebie i resztę dnia spędziłem w rozterce. Już nawpół oderwałem się od miejsca i straciłem z niem łączność. Wszystko było mi już obce: miasto, dom i mój pokój, sąsiedzi, z którymi zdążyłem się zaprzyjaźnić podczas strasznych upiornych ostatnich dni, pełnych poniżającego strachu, trwożnych wiadomości i oczekiwania cudu tam na froncie, gdzie reszta pełnych poświęcenia bohaterów próbowała jeszcze zatrzymać toczącą się na miasto czerwoną lawinę.

Zamknąłem się w swym pokoju i układałem rzeczy w walizie. Robiło to wrażenie, jakbym miał zamiar potajemnie uciekać. Było mi wstyd przed tymi swymi sąsiadami, którzy wyjechać nie mogli i ukrywałem przed nimi, że jutro jadę na okręt. W owe czasy było wstyd być szczęśliwym, gdyż moje „szczęście" wydawało się ukradzionem u innych — skazanych.

„A więc, wszystko skończone" — mówiłem do siebie, odpowiadając własnym niesformułowanym jasno myślom, które wciąż dręczyły mą duszę. Jakby ktoś inny we mnie myślał wciąż o Weronice, nie nazywając jej imienia, a ja to czułem, sam przed sobą również skrywając. Wtedy robiło mi się bardzo smutno i odchodziła ochota do pakowania.

W nocy znów szalał Nord-Ost i burza śnieżna. Trzeszczały żelazne dachy, wyły syreny. W powiewach wiatru słychać było krzyki, jęki, strzały na ulicach, odgłosy podków końskich i ryki samochodów. Naraz w całym naszym domu — jak w rozburzonem mrowisku — zaczęło się gwałtowne bieganie, zamieszanie, krzyki i płacz kobiet. Wyskoczyłem z łóżka i nawpół ubrany wybiegłem na korytarz z karabinem w ręku.

— Co się stało?

Okazało się, że banda „zielonych" zeszła z gór i wpadłszy, zaczęła rabować przedmieścia. Posłana przeciwko nim sotnia kozaków odeszła w góry razem z „zielonymi". W mieście ze wszystkich stron grzmiały salwy karabinowe, od strony portu rozległ się, jak grzmot, wystrzał armatni.

Potępieńcza noc! Wyje wicher z deszczem i śniegiem, roznosząc chaos dźwięków strasznych, niezrozumiałych: to słychać zgłuszony krzyk o ratunek, to śpiew pogrzebowy, miauczenie kotów, płacz dziecka lub pisk kobiecy. To znów wystrzał armatni, od którego drżą szyby w oknach. Nie można się zorjentować, co jest przywidzeniem, a co dzieje się rzeczywiście tam, za oknami, w tej ciemności czarnej i bezdennej, w której migają światełka miasta i portu. Od czasu do czasu, niby oczy potwora, przecinają ciemności ogniste miecze reflektorów ze statków wojennych. Pełzają one po dachach domów, po kopułach cerkwi, po niebie i dalekich wierzchołkach gór, do których przytuliło się miasto. Niby archaniołowie z ognistemi mieczami, pilnujący wrót raju przed skazanymi na śmierć wygnańcami.

Przytuliły się do siebie, ucichły domy i domki nieszczęsnego miasta. W ciemnych kątach każdego z nich kryje się teraz widmo-panika i każdy dźwięk,

każdy szelest zamienia się na przestrach, który każe ludziom szeptać modlitwy, otwierać szeroko przerażone oczy, chodzić na palcach i rozmawiać szeptem...

— Lepiej, żeby światła nie było! Nie trzeba przypominać, że w domach siedzą żywi ludzie!

— Biedna Weronika!

Patrzyłem w okno i myślą przenosiłem się ponad miastem i portem, tam, gdzie w jednym z tysiąca małych ruchomych domków miasta skazańców, została ona...

Najwidoczniej kocham tę kobietę... Czyż drżałoby tak moje serce przy każdem wspomnieniu? I nie wspominałbym jej tak często.

Ale co będzie z tamtą — drugą? Dlaczego stracił barwy jej obraz z mej pamięci? Rozrzuciłem poukładane już rzeczy i wyjąłem z walizy paczkę fotografij. Wszyscy najdrożsi! Matka - staruszka, siostra, braciszek i ona, Nadia, siostra zabitego mego towarzysza broni. Przecież to właśnie tę dziewczynę — Nadię, ja kocham, nie...

Smutno patrzy na mnie z fotografji Nadia, jakby z wyrzutem. Wpatrzyłem się w twarzyczkę ukochanej dziewczyny i nie poznawałem jej. Wyblakła! I dusza moja nie drży już na ten widok. Jakby kto zamienił: ta sama, a przecież zupełnie inna. Nie wierzyłem własnym oczom. Wpatrywałem się, chcąc wywołać w sercu dawne wzruszenia, szeptałem „droga, kochana". Ale złudzenie nie przychodziło, nie ożywały oczy pod mym wzrokiem, nie rozchylały się usta. Widmo przeszłości nie ożyło i naraz odeszło gdzieś bardzo daleko, a ja dopiero teraz odczułem wyraźnie tę olbrzymią odległość miejsca i czasu, która rodzieliła nasze dusze i ciała. Nie widzieliśmy się od początku wojny, sześć lat. Ona miała wtedy 18 lat, ja — 25. Teraz ona

ma 24 lata, a ja 31. Przecież niema już dawnej Nadi, ani mnie, tego studenta, który się w niej kochał i być może, nie chcąc uchodzić w jej oczach za tchórza, nie skorzystał z przysługującego mu prawa jego zawodu i poszedł na wojnę jako ochotnik — prosty. Wróciłem z niewoli i wpadłem w jeszcze straszliwszą rzeź wojny domowej. Prawda, tu byłem już na drugim planie,jako należący do personelu lekarskiego, ale opar krwawy był tu jeszcze gęstszy, jeszcze okropniejszy. I tak sześć lat bez przerwy! I przez ten cały przeklęty okres życia obcowałem z tem widmem przeszłości — z tą fotografją. Wtem widmo zniknęło i życie moje jakby rozpadło się na dwie części: to, co było i już nigdy nie wróci, i to, co będzie. Teraźniejszości niema. Czyż ten koszmar, to rzeczywistość? To tylko taki straszny sen, nie ma się w nim o co zaczepić dusza, serce, myśl. Jak wątła łupina w morzu łez i krwi.

— Nadia, Nadia, gdzie jesteś i co się z tobą dzieje?

Trzeci strzał armatni przewalił się z grzmotem nad miastem, zadźwięczały szyby w oknach, ja zadrżałem i znów wspomniałem o Weronice.

Wrzuciłem fotografję do walizy i zacząłem spacerować po pokoju tam i zpowrotem, rozmyślając, jak to się stało? Dlaczego moja myśl nie zwraca się do Nadi, a biegnie za tamtą nieznajomą, która wypadkiem stanęła na drodze mego życia. Czy i ta druga nie jest również widmem w mem tułaczem życiu? Czy możliwe jest kochać się podczas tej strasznej zawieruchy, w jakiej żyjemy już od trzech lat?

VII.

Smutny poranek! Ulewa i huragan ustały, ale całe miasto przesiąknięte jest wilgocią. Po ulicach płynęły strumienie wody i błota, gdy wypełniając daną obietnicę, jechałem nie prosto z domu na statek, a na stację do jednego z tonących w błocie domków-wagonów.

Byłem w dziwnie ponurem usposobieniu: przez całą noc prawie że nie zmrużyłem oka i myślałem, sam dobrze nie wiem o czem. Bezładne myśli kłębiły się w mej głowie i przeszkadzały jedna drugiej. Czułem się jak wątła łupina w wodnych odmętach i zdawało mi się, że nie mam i nie mogę już mieć własnej woli. Niewiadomo, co może się stać przez jeden dzień, za godzinę. W dziwacznym mechanizmie życiowym byłem tylko materjałem — surowcem w olbrzymiej fabryce wszechświata. Gdy myślałem o Weronice i swych dla niej uczuciach, odczuwałem też tę wrogą mechaniczną siłę, we władzy której znajdowaliśmy się: ja, ona i moja dla niej miłość, i to, co stanowi nieznaną mi tajemnicę jej duszy. Oto płyniemy w wątłej łódce po burzliwym oceanie i nie wiemy, czy uda się nam kiedyś i gdzieś dopłynąć, czy też najbliższa fala wywróci nas, zaleje i wszystko się skończy... Miasto i ludzie, i wszystko spotykane po drodze zdawało mi się takiemi samemi ofiarami tego strasznego mechanizmu. Nawet zgięty grzbiet dorożkarza, wiozącego mnie na kolej, wydawał mi się zwiastunem przeznaczenia.

Na stacji kazałem dorożkarzowi poczekać, a sam poszedłem do miasta straceńców. Pływało ono, jak arka Noego, w okropnem błocie, i z wielkim trudem zdołałem dobrnąć do wagonu, gdzie mieszkała Weronika. Gdybym był wierzył rzeczywiście w to, o czem starałem się siebie przekonać, że idę po rewolwer, to pewno byłbym nie doszedł. Ale czułem, że trzeba się uzbroić w cierpliwość i dojść za wszelką cenę. Dałem przecież słowo honoru! Całą nadzieję pokładałem nie w zmianie decyzji Weroniki, a w tej potężnej mechanicznej sile, we władzy której jesteśmy igraszką. Okropna ostatnia noc mogła zasadniczo zmienić wszystkie zamiary poprzedniego dnia.

— Weroniko Władimirówno!

— O Boże! Nie poznałam pana! Pan w mundurze?

— Tak trzeba. Czas wojenny. Przy wypełnianiu obowiązków służbowych...

— Myślałam, że pan mnie zawiedzie, nie przyjdzie....

— Wiem, że pani ma o mnie złe pojęcie. A więc, jak pani decyduje?

— Pojadę. Tu można zwarjować. To jest najstraszniejsze!

— Straszniejsze, niż podróż w mem towarzystwie?

Spojrzała na mnie zmieszana i poważnie odparła:

— Jeszcze straszniejsze.

Gdy zabierałem z wagonu rzeczy mej towarzyszki, zbuntowali się wszyscy jej mieszkańcy.

— Dokąd? Poco? Na jakiej zasadzie zabiera się tę właśnie osobę? Tu są kobiety z dziećmi, są starcy i t. d.

Narzekania, złe uśmieszki, zuchwałe i ordynarne uwagi pod moim adresem. Ci ludzie, niemoralni pod wpływem przeżywanych wrażeń, byli gotowi zagrodzić nam drogę i nie wypuścić z wagonu.

— Przepraszam, to moja żona, co to państwa obchodzi? Proszę przepuścić... w przeciwnym razie...

— Znamy się na takich żonach!

— Dlaczego to wybierają najmłodsze i najładniejsze?

Musiałem się irytować, krzyczeć, łokciami torować przejście pod akompanjament wściekłych wrzasków, wymysłów i pogróżek. Kilka kobiet dostało ataku histerji. Wydostaliśmy się wreszcie z tego domu obłąkanych i nie zwracając uwagi na straszne błoto, poszliśmy na przełaj do stacji, gdzie czekała dorożka z memi bagażami. Jeszcze trudniej było przedostać się na ulicę przez budynek stacyjny. W poczekalniach i korytarzach działy się sceny nie do opisania. Byli tam chorzy na tyfus, majaczący w gorączce, pijani, płaczący i śmiejący się, walczący na pięści, umierający na podłodze i opłakiwani przez rodzinę. Śpiewy, łzy, kłótnie, wymysły. Tłum był tak zwarty, że poruszał się tylko zbitemi masami, napierającemi wzajem na siebie i zagradzającemi przejście. W gęstych sinych obłokach tytoniowego dymu i wstrętnych wyziewów z brudnych i spoconych ciał ludzkich, w szumie krzyków i przekleństw — ten ciągły kalejdoskop oszalałych i zrozpaczonych twarzy zdawał się być jakimś strasznym potworem — wielogłowym, wielorękim i wielookim smokiem z japońskich bajek.

Weronika mocno trzymała mnie za rękę, starając się stosowaś do moich ruchów, a ja dokładałem wszystkich sił, aby oddzielić ją od tego wstrętnego, złego, pijanego, głodnego i podobnego do stada bru-

dnych zwierząt tłumu, który gotów był zdusić i rozdeptać każdego ciężkiemi buciskami.

— Dzięki Bogu! — wyszeptała Weronika, gdy przedostaliśmy się wkońcu do drzwi wejściowych i znaleźli na świeżem powietrzu.

— Upiorne widziadła!

— Myślałam, że już nigdy stamtąd nie wydostaniemy się.

Wiatr i deszcz chwilowo ucichły, a teraz znów podjęły swą pracę, jakby chcac zmieść z powierzchni miasto z jego mieszkańcami i zmyć splugawioną ziemię. Ludzie zmoknięci i przeziębli, bezradni i budzący litość, snuli się tam i zpowrotem około przystani. Wielu z nich dźwigało na plecach toboły, kosze, worki, kufry, niby mrówki ratujące swe jaja. Morskie fale, rozbijając się o kamienne wybrzeże, rozbryzgiwały się pienistemi kaskadami, oblewając i tak już przemokłe nieszczęsne mrówki lodowatym słonym pyłem. Ale i to pozostawało bez wrażenia i nie przeszkadzało mu w tej ciągłej wędrówce.

Ale ani woda, ani wicher nie mogły stłumić tego strachu, który ogarnął ludzkie dusze po ostatniej nocy. Wszystkie twarze były wystraszone, kroki śpieszne, ruchy nerwowe i niepewne.

Angielski pancernik stał w nowej pozycji, mając lufy swych ciężkich dział skierowane na góry i zdawał się przygotowywać do spotkania w każdej chwili rozbestwionych zwycięzców. Z głuchem warczeniem bębnów maszerowały przez ulice w niewiadomym kierunku oddziały wojskowe, błyskając stalą bagnetów. Pomimo niepogody, nad miastem i górami krążył aeroplan, podobny do wypatrującego zdobyczy ogromnego jastrzębia, i od czasu do czasu słychać było jego warczenie. Czarne smugi dymu z kominów okrętowych unosiły się nad morzem, ale nie szły w górę, tylko rozpościerały się

nad wodą, czyniąc ją podobną do dymiących zgliszcz. Wszystkie statki zdawały się szykować do ucieczki i wyczekiwać tylko na jakiś ostatni sygnał, a ludzie biegali, szukając ratunku od jednej do drugiej przystani.

Zasiadłszy jak najgłębiej w dorożce i przykrywszy się pledami, jechaliśmy długo w milczeniu, jakby bojąc się spotkać wzrokiem. Od czasu do czasu spoglądałem ukradkiem na cudną bladą twarz mej sąsiadki i widziałem, że miała oczy zamknięte, wargi zaciśnięte i wyraz poważny — prawie surowy. Nie miałem śmiałości odezwać się do niej. Widoczne było, że w danej chwili ja dla niej nie istniałem, tak samo jak i wogóle wszystko otaczające. Otworzyła oczy dopiero w chwili, gdy poprawiłem pled, spadający z jej kolan.

— Co pan?

— Pled spada.

— Zdaje się, że drzemałam. Całą noc nie spałam, w nocy umarł u nas jeden chory... już trzeci... zdaje mi się, że ja też się zaraziłam...

— Dlaczego pani tak sądzi?

— Strasznie mi się spać chce...

— Proszę mi podać rękę... zbadam puls...

— Potem... potem... wszystko jedno...

I znów opadła wgłąb krytej dorożki i zamknęła oczy.

Patrzyłem na nią ukradkiem i z trudem odwracałem oczy. Znów ta twarz bolejącej Madonny, która tak mnie zafrapowała wtedy w tłumie pod zaklętemi wrotami. Zadrżałem, gdy to bolesne oblicze rozświetliło się uśmiechem. Jak była wtedy cudowna, niezwykła, boska! Miałem chęć upaść na kolana i modlić się do jej piękności.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się na jawie, gdy dorożka zatrzymała się u przystani.

VII.

Gdzie statek?

Statku nie było. Obojgu nam przeleciała błyskawicznie myśl: statek uciekł. U przystani falował olbrzymi tłum. Bramy były zamknięte, ale na składowych pomostach i pod dachami na słupach było ludno i ruchliwie. Masa zwalonych kufrów, pak, mebli i wszelkich sprzętów, przygotowanych do załadowania, świadczyła, że okręt jeszcze nie wyszedł na morze, a tylko gdzieś się schował.

— Opuszczę panią na chwilę — muszę dowiedzieć się, co to znaczy.

Przecisnąłem się do budki stróża i dowiedziałem się, że okręt popłynął ładować węgiel i wróci na przystań dopiero wieczorem. Uspokoiłem moją zatrwożoną towarzyszkę i postanowiłem pojechać do przystani węglowej — szukać statku i próbować dostać się na pokład zaraz: do wieczora nie mieliśmy się gdzie podziać. Błądziliśmy długo w poszukiwaniach — nareszcie — jest!

Statek ładował węgiel. Czarne kłęby dymu z jego kominów płynęły nad zebranym przy przystani tłumem. Najwidoczniej nie ja jeden wpadłem na myśl odnalezienia go i dostania się do środka jeszcze przed wieczorem.

— O Boże! tu znów wygląda jak dom warjatów — jęknęła Weronika.

W zwartej masie ludzkiej byli tu wojskowi, cywile, mężczyźni, kobiety, dzieci, skrzynie, walizy,

toboły, kufry, — a na nich ludzie przemoczeni, zziębnięci, zgrzytający zębami, jak wilki, mrugający czerwonemi załzawionemi oczami. Widocznie wielu z nich, nie mając przytułku w mieście, nocowało tu pod gołem niebem, bojąc się, by ich nie oszukano i nie rzucono na pastwę losu. Naokoło czuło się atmosferę wzajemnej nieufności, podejrzliwości, zazdrości — grożącą w każdej chwili przejściem w ogólną bijatykę. Złym wzrokiem przeprowadzano każdego, co otrzymywał dostęp na statek. Straż na koniach co chwila wjeżdżała w tłum i zadami końskiemi torowała drogę dla wybranych.

A więc jeszcze jedna, ostatnia przeszkoda.

— Proszę przepuścić!

— W kolejkę, w kolejkę... zakrzyczał tłum i zaszemrał, poczem rozległy się pojedyńcze głosy:

— Zapchają statek tymi panami, a nam powiedzą, że niema miejsc!

— Nie przepuszczać!

— My tu mokniemy od dwóch dni, a oni...

— Należę do personelu okrętowego!

— Kłamie! dużo tu was takich... z donnami...

Wyjąłem i pokazywałem swoją przepustkę, ale nikt nie chciał oglądać. Dopomógł nam nieszczęśliwy wypadek: na jednym z kufrów znaleziono nieboszczyka. Stało się to niedaleko od nas, i gdy zjawiła się straż, skorzystałem ze swego tytułu doktora i zostałem zawezwany do obejrzenia jeszcze ciepłego trupa. Okazało się, że dostał się tu chory na tyfus. Tłum bojaźliwie się rozstąpił, co pomogło nam z Weroniką skorzystać z opieki straży.

— Proszę przepuścić!

Strażnicy długo przekładali zwartej masie ludzkiej, aby dała przejście, ale bezskutecznie. Dopiero podniesione nahaje i końskie zady utoro-

wały drogę i przy wymysłach i popychaniu przedostaliśmy się na pomost i śpiesznie przemknęli na pokład.

Nie można powiedzieć, aby sarkanie i obawy tłumu były bezpodstawne. Na statku była już masa takich jak i my wybrańców. Wszystkie kajuty, salony, przejścia i korytarze były już pozajmowane. Zostawiwszy Weronikę na pokładzie poszedłem do kapitana, przedstawiłem mu się, pokazałem papiery i dostałem klucz od doktorskiej kajuty.

— Pan z żoną... hm... wszystkie kajuty są pozajmowane...

— Pomieścimy się jakoś w mojej.

Kapitan uśmiechnął się!

— Niestety, kajuta pańska podobna jest do pudełka. Cóż — ciasna ale własna. Proszę bardzo, doktorze, żebyśmy nie zabrali zbyt wielu tyfusowych. Trzebaby jakoś... zdaje się, że tacy już są...

Jeszcze kilka uprzejmych słów, parę uwag w sprawach służbowych, i biegnę do Weroniki.

— No, wszystko załatwione!

— Jestem okropnie zmęczona i strasznie mi się spać chce!

Poszliśmy szukać kajuty. Marynarz niósł za nami bagaże. Otóż i ona! Otworzyłem drzwi i oboje trochę się zmieszaliśmy. Prawdziwe pudełko — w którem jedna osoba z trudnością może się poruszać. Czysto, miło — okrągłe okienko, jedno posłanie., stolik, składane krzesełko, w rogu nad umywalnią lusterko, na niskim suficie — rozetka elektrycznej lampki — nad posłaniem pas ratunkowy. Weronika objęła kajutę zażenowanym wzrokiem i policzki jej pokryły się rumieńcem. Zauważyłem, że była przestraszona i podniecona.

— Może znajdzie się jakie miejsce w salonie — pomyślała głośno i zatrzymała się w drzwiach, nie wchodząc do środka.

— Kajuta jest do pani rozporządzenia. Ja jestem przyzwyczajony do niewygód i łatwiej mnie, niż pani, znaleźć sobie miejsce...

Zjawił się kapitan, przedstawił się „mej żonie" i zaczął bawić ją rozmową. Wielki, brodaty mężczyzna, podobny do cesarza Aleksandra III: żartuje, a twarz pozostaje poważna, tylko oczy się śmieją. Kazał przynieść trzy składane krzesła.

— Pani na łóżku, a pan zrobi sobie polowe łóżko, i będzie doskonale. Jak to się mówi: w lichej chatce — byle z nim!

Odpowiedziałem żartem:

— Nic to, kapitanie, ja jestem składany, podróżny. Umiem spać nawet na stojąco.

— W naszych czasach, panie dobrodzieju, nauczy się człowiek spać nietylko na stojąco, ale do góry nogami. Przyślę państwu zaraz herbaty z... konjakiem. Panusia, zdaje się, przeziębiła, a państwo niech się zagospodarują. Jak jest, to jest, ale zawsze własny kąt.

Pożegnał się i wyszedł. Weronika usiadła na łóżku i milczała zakłopotana, między brwiami ukazała się znajoma fałdka. Ja starałem się ułożyć rzeczy tak, by zajmowały jak najmniej miejsca. Czułem, że w tej chwili gorzko żałuje, iż zgodziła się na komedję małżeństwa przy tak krępujących warunkach.

— Proszę się rozebrać! Przecież pani jest cała przemoczona.

Machinalnie ściągnęła z głowy szal i rzuciła w kąt posłania swą futrzaną czapeczkę. Zdjąłem jej palto i schyliwszy się, pomogłem ściągnąć ka-

losze. Wszystko to Weronika robiła wolno, w zamyśleniu, i zdawało się, że już... już... otrząśnie się, krzyknie „ja nie chcę“ i zacznie się ubierać, aby uciec z kajuty i z okrętu. Ale w tej chwili — bardzo w porę — — przyniesiono nam herbatę z bułeczkami i dwoma kieliszkami konjaku.

— Pani nie piła dziś herbaty?

— Nie.

Podałem jej szklankę herbaty, wlawszy do niej uprzednio konjak. Ona była posłuszna, jak mała dziewczynka wobec „strasznego dziadunia“.

— Jestem przesiąknięta wilgocią do szpiku kości. Takbym chciała poczuć się w czemś suchem i czystem!

— Doskonale! Proszę się przebierać... ja wyjdę, a pani się zamknie i zajmie tą sprawą...

— ...a... pan...

— Proszę się o mnie nie troszczyć. Ja jestem nieprzemakalny.

Spojrzeliśmy na siebie i uśmiechnęliśmy się.

— Jeszcze jedna prośba o zdjęcie walizy.

Ściągnąłem ciężką walizę i spytałem?

— A teraz mogę już odejść?

— Tylko jeszcze proszę zdjąć pokrowiec i rozpiąć paski.

— Chętnie. A tu jest klucz od kajuty, proszę się zamknąć. Do widzenia!

Zamknąłem za sobą szczelnie drzwi i poszedłem włóczyć się po statku — uspokojony, że jakoś wszystko się ułożyło. Prawie że uciekliśmy od śmierci, która deptała nam po piętach. Czułem się prawie wesoły i pełen szacunku dla tego morskiego potwora, który przytulił nas w swem wnętrzu. Jakby skrzydła u ramion wyrosły! Zwierzęcy egoizm, w tych czasach tak wszech-

władnie panujący, ogarnął i moją duszę: pragnąłem, aby statek jak najprędzej objadł się węglem i zerwał wszelkie więzy z miastem i jego mieszkańcami. Wciąż mi się zdawało, że może się jeszcze co przytrafić, i mnie i ją wysadzą na brzeg. W te przeklęte czasy nie można było wierzyć niczemu, nawet prawom natury, a cóż dopiero świstkowi papieru.

VIII.

Poszedłem do kapitana podziękować mu za uprzejmość i pomówić o mych prawach i obowiązkach na okręcie. Nastąpił dalszy ciąg zaczętej poprzednio rozmowy. Przedewszystkiem nie można dopuszczać na statek chorych na epidemję. W takim razie konieczne jest badanie lekarskie przed wpuszczeniem na pokład. Trzeba odseparować tych, co zachorują w drodze. Kapitan machnął beznadziejnie ręką.

— Obecnie ja nie jestem już panem statku. Mnie nikt nie pyta o pozwolenie — rozporządzają się władze wojskowe — sztab morski. Napchali mi pasażerów już na dwa dni przed odpłynięciem, a w tej chwili otrzymałem rozkaz załadowania partji rannych. Gdzie ja ich podzieję?

Poszliśmy oglądać pomieszczenia.

Naokoło widać zmęczone, wystraszone twarze. Dużo osób śpi lub udaje, że śpi, aby zająć trochę więcej miejsca na kanapie lub stole. Wygląda tu, jak obozowisko po trzęsieniu ziemi, pożarze lub podobnej katastrofie. Niektórzy, wtuliwszy się w kąt, odgradzają się walizami i pakunkami, i bojaźliwie a chciwie jedzą przyniesione z sobą zapasy, popijając cienką herbatą z blaszanych czajników, — podobni do psów, które zdobyły kawał pożywienia. Każdy podejrzewa sąsiada o złe zamiary odebrania mu miejsca, patrzą zpodełba i nieżyczliwie, gdy kto podchodzi lub pyta o cokolwiek.

Nasze przyjście wywołało popłoch ogólny. Kiedy w sali jadalnej, zamienionej na ogólną kajutę, kapitan oznajmił głośno, przedstawiając mnie jako doktora, że w każdym wypadku zachorowania należy niezwłocznie zwracać się do mnie — nikt nie ucieszył się. Ci, co leżeli, podnieśli się pośpiesznie, i usiedli, aby dowieść, że są zdrowi, śpiący otrząsnęli się z senności i udawali wypoczętych. Większość udawała, że to ich nie dotyczy. Zachorować na statku przed wypłynięciem na morze było tak strasznem nieszczęściem, że nawet sam fakt obecności doktora robił wrażenie przygnębiające. Straszny popłoch powstał wśród pasażerów, w sali jadalnej, gdy kapitan oznajmił:

— Proszę państwa mieć na uwadze, że prawdopodobnie tę salę trzeba będzie oddać dla rannych.

— Gdzież my się podziejemy?

— Tymczasem jest dużo miejsca na pokładzie.

Zamieszanie, szemranie, gwałt. Kilka kobiecych głosów zaczęło dowodzić o swem prawie do kajuty: jedne żądały, inne błagały, tamte groziły, że poskarżą się, niewiadomo komu. Kapitan poszedł i to wszystko zwaliło się na mnie. Wybawił mnie dyżurny marynarz, meldujac:

— Żona pana prosi.

— Żona? ach tak... zaraz, zaraz idę...

Wyrwałem się z pośród zdenerwowanych podróżnych i pobiegłem do swej kajuty. Ostrożnie zapukałem.

— Czy można?

Wszedłem i doznałem tego samego wrażenia, co przy pierwszem spotkaniu. Zdumienie i zachwyt. Weronika skromnie, ale wykwintnie ubrana, cała taka jakaś aksamitna, przyczesana, woniejąca jak konwalja w leśnej gęstwinie, — siedzia-

ła na łóżku, owinięta w szal. Kajuta była uporządkowana i wydawała się większa i jeszcze przytulniejsza. Na stoliczku — książka, papier i — i sam stolik przykryty kawałkiem kolorowej bibuły. Na ścianie przy posłaniu jaskrawa plama szat kobiecych, przykrytych cienkim jedwabiem kaukaskiej czadry. Wszystko pachnie jakimś tajemniczym delikatnym zapachem. Poczułem odrazu obecność i rękę kobiecą, od której już dawno się odzwyczaiłem i teraz czułem się tem nawet skrępowany. Zupełnie jakbym przyszedł z wizytą, gdzie mnie nie zapraszano i nie oczekiwano. Również dopiero teraz zauważyłem, że jestem w grubych, zabłoconych butach, w obrzydliwym żołnierskim szynelu — nieogolony, nieostrzyżony, brzydki. Gdy wszedłem, Weronika podniosła głowę i spytała:

— Bardzo długo trwało?

— Ja oglądałem statek...

— Teraz ja wyjdę, a pan...

Napróżno tłumaczyłem jej, by nie wychodziła, że mogę doskonale umyć się i przebrać w ogólnej kajucie. Poszła! Nie wiedziałem, co począć. Jeżeli zacznę się tu przebierać, zepsuję zupełnie ten porządek i czystość, zamienię kajutę na koszary. Zabrałem wszystkie potrzebne rzeczy i poszedłem do ogólnej kajuty. Tam zrobiłem co mogłem, aby doprowadzić swą powierzchowność do przyzwoitego stanu i wróciłem. Weroniki nie było. Poszedłem na poszukiwanie. Zginęła! Obszedłem wszystkie sale, wszystkie zakątki, oddziały, korytarze, pokład — niema jej. Przepadła, jak kamień w wodzie. Przestraszyłem się, zacząłem biegać tam i zpowrotem po krętych schodach i wyglądałem widocznie na człowieka, który zgubił coś drogocennego. Zatrzymała mnie pokojowa i widząc moją zatrwożoną minę, spytała z uśmiechem:

— Pan pewno żony szuka?
— Tak... tak... gdzie ona jest?
— Stęsknił się pan? Zaraz ją znajdę.
Pobiegła, nie czekając na mą odpowiedź. Nie na rękę mi ta jej usłużność. Napewno powie tam, że „mąż zatęsknił i wzywa do siebie". Pobiegła — nie zdążyłem jej zawrócić. Kobiece serce nie wytrzymało, żeby nie wtrącić się między kochającą się parę. I tak się stało: prowadzi Weronikę, która ma minę niezadowoloną, prawie rozgniewaną.
— Pan mnie wzywał?
— Przepraszam... ale... prosiłem tylko...
— Pan bardzo się o panią niepokoił. I prawda — proszę pana — niech pan nie pozwala pani chodzić bez potrzeby. Tam, gdzie pani była, w tej kajucie, tak mi się zdaje, że tam jest chora na tyfus.
— Chciałem tylko powiedzieć, że kajuta jest wolna.
Bufetu na statku jeszcze nie było, ale personel dostawał jedzenie. Przyniesiono śniadanie i znów znaleźliśmy się we dwoje. Weronikę nie obchodziło to zupełnie. Była cała pogrążona w jakieś swe tajemnicze dumania, o które zaczynałem być zazdrosny. Odrywały ją one ode mnie, przypominały, że mimo wszystko jesteśmy w dalszym ciągu dwojgiem spotkanych wypadkowo — obcych sobie ludzi.
— Pani jest niezdrowa?
— Poprostu jestem zmęczona! Gdyby było można położyć się i zasnąć na kilka dni. Wszystko zapomnieć, nie myśleć... nie czuć...
— Na Boga! Proszę się nie krępować. Jeżeli pani chce spać, kajuta jest do jej dyspozycji.
— Gdyby można dowiedzieć się prawdy! szepnęła półgłosem.

Znów milczenie i pociemniałe smutne oczy. Potem zagadkowe pytanie:

— Czy ci, którzy zdołali się ocalić, mogą przedostać się na Krym?

— To trudno powiedzieć, nie znając warunków. Pojedyńcze takie wypadki są bardzo możliwe. Ot, ja też uciekłem z niewoli niemieckiej, gdzie trzymano nas za kolczastemi drutami i pilnowano dniem i nocą.

Westchnęła ciężko i zasępiła się.

— Nie... dłużej nie mogę... muszę się położyć... usnąć...

Zawiesiłem posłanie pledem, oddzielając je w ten sposób od pozostałej części kajuty — i ona tam się ukryła.

— Ja pójdę! Niech pani uśnie, rozbierze się, dobrze okryje. Czy pani nie ma gorączki?

— Nie... nie... niech pan nie odchodzi i nie zwraca na mnie uwagi. Ja tylko się trochę wyciągnę, nie będę się rozbierać.

Siedzę cichutko. Udaję, że czytam książkę gdzieś od środka i przysłuchuję się — co dzieje się tam — za zasłoną. Wydało mi się, że Weronika płacze, ukrywszy twarz w poduszkach. Chowa się przede mną ze swym bólem. Za każdym najmniejszym szelestem zrywałem się i nadsłuchiwałem... ogarniał mnie niepokój... Co się z nią dzieje? Dlaczego dopytywała się o możliwość czyjegoś przedostania się na Krym? Kocha kogoś? Znów jakiś szmer — i teraz napewno płacze. Nie trzeba przeszkadzać... niech będzie sama...

Wyszedłem na palcach, ale by wiedziała, że mnie niema w kajucie — umyślnie głośno zamknąłem drzwi. Tajemnica! Cała ona jest dla mnie męczącą, nie do zbadania tajemnicą. Kocham ją... kocham!

IX.

Według rozkładu powinniśmy byli odpłynąć o ósmej wieczór. ale w owe czasy nic nie mogło odbywać się według planu, gdyż wogóle nikt nie wiedział, co z nim będzie za godzinę. Nie bez powodu tak pragnąłem, by statek jak najprędzej zerwał wszelkie więzy z lądem — objętym czerwonym terorem; czekaliśmy długo na transport rannych, potem zastrejkowali robotnicy, ładujący węgiel, i trzeba było zorganizować załadowanie swemi siłami, zato wieczorem znaleziono wśród węgla podłożoną przez niewiadomego złoczyńcę — maszynę piekielną. Kto wie, czy jeszcze gdzie niema ukrytej drugiej takiej maszyny, skazującej nas wszystkich na zgubę na otwartem morzu. Wojskowi zorganizowali swoją straż, zaczęły się przeglądy, rewizje. sprawdzanie dokumentów u wszystkich pasażerów, areszty i wysadzanie wątpliwych na ląd. I znów panika, zamieszanie, płacz, ataki histerji, przekleństwa: ktoś dał komuś w twarz, ktoś ranił kogoś wystrzałem z rewolweru. Statek zamienił się na dom obłąkanych.

X.

Prace z załadowaniem węgla przeciągnęły się. Kulturalni robotnicy czynili wszelkie wysiłki, ale robota posuwała się bardzo wolno. Znaczy się, dziś nie odpłyniemy. Tak się stało: wypłynęliśmy na środek zatoki i zarzucili kotwicę.

Do późnej nocy byłem porwany przez ogólne zamieszanie, prócz tego doglądałem rannych w urządzonym naprędce w sali jadalnej lazarecie, — i dopiero o dziesiątej wieczór zatęskniłem do Weroniki. Ledwie mogłem przedostać się do naszej kajuty i ze strachem i niepokojem zapukałem do drzwi. Niema odpowiedzi! Zapukałem mocniej, raz — drugi — cisza. Poruszyłem ostrożnie klamkę — otwarte — nikogo nie widać — znaczy się, że śpi. Lampka elektryczna pod sufitem zasłonięta jeskrawo złocistą czadrą, przez co cała kajuta tonie niby w blaskach zachodzącego słońca. Na stoliczku nietknięta kolacja na dwie osoby i dwie szklanki herbaty, jedna niedopita. Dopiero w tej chwili poczułem zmęczenie — wszak przez cały dzień byłem na nogach, pracowałem i niezwalczoną chęć przyjęcia pozycji poziomej. Rozejrzałem się po kajucie i zobaczyłem składane krzesła. Stąpając na palcach, cichutko przeszedłem do stolika, prędko przełknąłem jedzenie, wypiłem zimną herbatę i ułożyłem się na rozstawionych krzesach. Światło lampy raziło nawet przez zamknięte powieki, więc przekręciłem kontakt. Statek kołysał się miarowo, szumiały ude-

rzające o jego boki morskie fale, nad głową słychać było chodzenie obozujących na pokładzie pasażerów, — ale to wszystko tylko bardziej podkreślało panującą ciszę, oderwanie od ziemi i uspokajało nerwy. Tak bardzo pragnąłem zasnąć, ale sen nie przychodził: całą moją istotą odczuwałem obecność Weroniki. Więc jest tu naprawdę — za tą zasłoną z pledu! Trudno wrazić to słowami. Niby jakieś niewidoczne światło przenika przez tę zasłonę, coś trwożnego i uspokajającego zarazem, delikatnie dziwnie podniecającego. Jakiś specjalny pociąg magnetyczny, ale nie grzeszny — przeciwnie uczucie podobne do macierzyńskiego ku nowonarodzonemu dziecięciu. Czy zdrowa — czy jej wygodnie? Może ma pragnienie? Tysiąc trosk o jej wygodę, a ani jedna o siebie. Zupełnie jakby powierzono mi cudze dziecko i czuję się w obowiązku względem kogoś ochronić je i dowieźć do miejsca przeznaczenia. Tylko, że to dzieciątko jest bardzo kruche i wątłe i za bardzo mi się podoba... tak, że szkoda będzie je oddawać...

Wiadomo, że można przez patrzenie obudzić śpiącego, ale wtedy przekonałem się, że można obudzić nawet usilną myślą. Długo myślałem o niej, wtem rozległ się w ciszy jej głos i przerażony okrzyk:

— Kto tu jest?

Okrzyk ten był tak nieoczekiwany, że ja sam się przestraszyłem i zerwawszy się z krzesła, obejrzałem się na drzwi wejściowe.

— Nikogo niema... to ja wróciłem i... przeszkadzam pani...

— Ach, Boże, jak ja się przestraszyłam... zdawało mi się, że... dlaczego tak ciemno... ja nie mogę spać bez światła... Boję się...

Rzucała się na posłaniu i ciężko dyszała. Zapaliłem elektryczność.

— Co się stało? — pytała z trwogą...

— Ależ, na Boga, nic, nic się nie stało... proszę spać spokojnie... może pani chce bym wyszedł... Ja tu ulokowałem się na krzesłach...

— Nie, nie... niech pan sobie nie przeszkadza... strasznie mi się pić chce... gdyby pan... tam na stoliczku jest moja herbata... okropny sen...

Podałem jej przez szparkę szklankę z herbatą i zdążyłem zauważyć, jak drży jej delikatna dłoń o różowych paznokietkach, potem usłyszałem, jak chciwie przełykała płyn.

— Straszny sen... teraz ludziom śnią się same okropności... — szepnęła, podając mi pustą szklankę.

— Czy pani aby zdrowa?

— Proszę nie zamykać drzwi od kajuty... śnił mi się pożar... na statku... chcę uciekać... a drzwi zamknięte... Boże, jak tu duszno i gorąco!

— Niech mi pani da rękę... zbadam puls...

— Nie trzeba... w głowie mi się kręci... czy jedziemy... Boję się kołysania... nie znoszę...

— A jednak proszę mi podać rękę, nie kaprysić...

— Ale poco? No, proszę...

W szparze ukazała się ręka. Dotknąłem i wzdrygnąłem się: sucha i gorąca, jak ogień. Puls anormalnie wysoki.

— No i cóż?

— Ma pani gorączkę...

— Znaczy się tyfus...

Serce mi się ścisnęło: pomyślałem to samo, ale naturalnie zacząłem ją uspokajać.

— Gorączka może być z wielu przyczyn. Dlaczego koniecznie miałby być tyfus?

— Ja czuję... Boże... ile kłopotu ma pan ze mną! Szkoda, że jesteśmy już na morzu. Wysadziliby mnie na ląd i skończone. Czy nie wszystko jedno, gdzie umierać?

— Trzeba się rozebrać i położyć porządnie. Niech pani pozwoli mi przemienić się chwilowo w doktora i zbadać pacjentkę.

— Nie chcę... nie trzeba...

— Tak nie można, Weroniko Włodzimierzówno. Oto termometr, proszę go założyć...

— Dlaczego pan mnie męczy?

Zaczęła płakać. Było widoczne, że jest chora, gdyż z dorosłej kobiety stała się odrazu kapryśną dziewczynką.

— Nie potrzebuję żadnych zbawców... Najlepiej umrzeć...

Po dłuższych ceregielach namówiłem ją do zmierzenia gorączki. Gdy oddała termometr i spojrzałem, pokazywał 39,5.

— No i cóż?

— Jest trochę gorączki — odpowiedziałem przestraszony, ale zupełnie spokojnym tonem, i nawet dodałem jakiś dowcip: strach ma wielkie oczy...

— Może pani pozwoli, że zawołam pokojową, która pomoże pani się rozebrać...

— Ja sama mogę... a pan może na chwilę wyjść?

— Naturalnie...

Wyszedłem na pokład. Dął wilgotny zimny wiatr, niebo było pochmurne, jakby pełzały po niem olbrzymie ameby. W mieście i na statkach migotały światła. Promień reflektora pełzał po górach.

— Kto idzie? Dokąd?

— Doktór okrętowy.

— Proszę o papiery.

Wszędzie warty wojskowe. Jeden drugiemu nie wierzy. Noc pełna trwogi i wszystko przeniknięte strachem: i niebo z płynącemi po niem potwornemi kształtami, i — to gasnące — to zapalające się światła — i cały statek z tajemniczemi postaciami porozstawianych straży, i morze, lśniące złowrogo i bielejące pianą fal. Dusza moja również trwogą objęta: czyż rzeczywiście to — tyfus! Według wszelkiego prawdopodobieństwa—tak! Z obowiązku służbowego winienem zdać Weronikę do izolacyjnej kamery, a gdy jutro wyjaśni się, że — to tyfus, to na przystani muszę wydać ją razem z innymi chorymi do miejskiego szpitala. Oddać ją... Weronikę! Nie, nie potrafię tego uczynić! Nie mogę... ja kocham tę kobietę, a to byłoby równoznaczne ze skazaniem jej na śmierć. Ale co począć? Było tylko jedno wyjście: ukrywać jej chorobę do ostatka, dopóki nie wypłyniemy na morze...

Wróciłem do kajuty. Słychać za kotarą ciężki oddech. Uchyliłem lekko brzeg pledu: pałające policzki, falujące piersi, nawpół zamknięte oczy, półotwarte usta lśnią białością zębów, rozrzucone w nieładzie włosy.

— Czy to pan? pić... pić..

XI.

Tyfus!

Ostatnie próby walki: w rzeczywistości choroba już zwyciężyła — tylko że młody i silny organizm nie chce się poddawać i wytęża wszystkie swe siły w tej nierównej walce. Chwilami zupełna przytomność i normalna logika myśli, tylko rozszerzone oczy, nerwowe pobudzenie i pośpiech w mowie zdradzają stan chorobliwy — to znów majaczenie, halucynacje wzroku i coś w rodzaju manji prześladowczej. Ostry i ciężki wypadek tyfusu, który często komplikuje się dłuższym psychicznym rozstrojem. W te przeklęte czasy, gdy każdy z nas dźwiga straszne brzemię przeżytych okropności bratobójczej wojny — ta forma choroby przytrafia się częściej, niż normalnie.

Noc płynęła męczoco i zdawała się nie mieć końca. Napady nieprzytomności powtarzały się kilka razy i to coraz częściej. Pewna analogja w tych majaczeniach wskazywała, że mają one swą potajemną logikę, potajemne asocjacje myślowe, łączące chorobliwe przewidywania z rzeczywistemi przeżyciami. Np. łagodnie i czule rozmawiała z „tatusiem" i jeszcze z kimś, kogo nazywała „Włodeczkiem", błagała go o przebaczenie, dlatego, że wszystko, co się stało, zrobiła, aby ratować „biednego tatusia". Płakała rzewnemi łzami i powtarzała: „zabij mnie, zabij". Raz, gdy kładłem jej mokry okład na głowę, wzięła mnie za bandytę, czy też

gwałciciela — nie wiem dokładnie — kim właściwie zdawałem się jej być, i ledwie wyrwałem jej z rąk rewolwer, który nieoczekiwanie znalazł się u niej pod poduszką (mój własny rewolwer). Wyskoczyła z łóżka i schowała się w kąt, oczekując na wyimaginowany napad z mojej strony, ale wnet siły ją opuściły i upadła jak martwa na moje ręce. Kilka razy zaczynała mówić o dziecku i wtedy przypominała obłąkaną Małgorzatę z „Fausta" w więzieniu. Różniła się tylko tem, że jeszcze nie zabiła, a dopiero miała zamiar zabić dziecko.

— Włodeczku, jeżeli będę miała dziecko, zabiję je. Ja go nie chcę!

Potem zaczynała bezładnie szeptać w podnieceniu, brakło jej oddechu i uciszała się. Spała przez kwadrans, budziła się przytomna, poznawała mnie i stawała się potulną, cichą i zawstydzoną dziewczynką. Nie bała się mnie i słuchała mych poleceń. Pytała, czy to dzień, czy noc, czy prędko przyjedziemy do Sewastopola i prosiła, bym zapisał adres, dokąd po przyjeździe mam się udać, zawiadomić o jej obecności i o warunkach, w jakich się znajduje. Podała mi imię i nazwisko i wytłumaczyła, że Marja Mikołajewna Korenowska jest kobietą-lekarzem i jej daleką kuzynką.

— Ona się mną zajmie i uwolni pana od tych kłopotów.

Podczas tych przerw przepraszała mnie, jakby uważając, że zawiniła wobec mnie przez tę chorobę — kończyła cichym płaczem. A potem następował znów atak gorączki i nieprzytomności, i znów „tatuś", „Włodeczek", jakieś dziecko, które „zabijemy" i ja, ów łajdak i rozbójnik, na którego patrzyła ze wstrętem i przerażeniem.

Tak minęła noc. Rano walka ustała, Weronika bezsilna uspokoiła się i poddała. Podniecenie, wojowniczość i szał przeszły, a zostało bezsilne ciało, bezwolnie miotające się w gorączce. Ciężki oddech, zamknięte oczy, jęki, szept i ciągłe ruchy rąk, które nie mogły sobie znaleźć miejsca na kołdrze.

Mężny zawsze wobec wszystkich chorych, tu jak gdyby zapomniałem zupełnie, że jestem doktorem. Nie wierzyłem sobie i gdyby na statku znajdował się drugi lekarz, bezwzględnie byłbym wezwał go do chorej. Lękałem się utracić tę nieznajomą, ale ukochaną kobietę i dopiero wtedy zrozumiałem, dlaczego większość doktorów nie leczy nigdy swych najbliższych i najdroższych.

Ładowanie było skończone i statek szykował się do odpłynięcia. Ukrywałem starannie swe nieszczęście przed otoczeniem i nie dopuszczałem nikogo do naszej kajuty pod różnymi pozorami. „Żona odsypia tyle bezsennych nocy", „przepraszam, jestem rozebrany" i t. d. Gdy wychodziłem zamykałem kajutę na klucz. W ten sposób udało mi się ukryć chorobę Weroniki przed administracją i służbą okrętową aż do odjazdu. Gdy wypłynęliśmy na pełne morze, zaczęło się kołysanie i ogólna morska choroba. Pogorszyło to znacznie stan mej chorej, ale dało możność ukryć jeszcze przez jedną noc smutną rzeczywistość. „Żona nie znosi kołysania i strasznie cierpi". „W drodze zachorowało kilka osób na tyfus, takich, które zdołały skryć swój stan do czasu wyruszenia w drogę — i w ten sposób mój postępek stracił do pewnego stopnia swój pierwotny charakter zawodowego braku etyki. Ponieważ i tak w Sewastopolu okręt miał być gruntownie dezynfekowany, nie było koniecznej potrzeby przenosić Weronikę do izolacyjnej kamery. Między pasa-

żerkami znalazły się dwie siostry miłosierdzia, które zgłosiły się dobrowolnie i przez całą drogę z poświęceniem pielęgnowały chorych. Wiedząc, że mam chorą żonę, te dobre kobiety starały się jak najmniej mnie absorbować. Widziały, że jestem roztargniony, zakłopotany, prawie nieprzytomny i same sobie radziły. Ja zaś byłem w rozpaczy, gdyż podejrzewałem u mej chorej rzadką, ale zato śmiertelną komplikację tyfusu: meningitis. Cały ostatni dzień morze było spokojne, żadnego kołysania nie było, a tymczasem mdłości i wymioty nie ustawały. Symptomat choroby mózgowej.

Do Sewastopola przyjechaliśmy wczesnym rankiem. Było to w połowie lutego i czuło się już w powietrzu zbliżanie wiosny. Zdawało się, że dotarliśmy do jakiejś zamorskiej krainy — uciekłszy z kraju burz, wichrów, deszczu i lodowatego zimna. Morze było szafirowe, niebo błękitne z białemi obłoczkami. Słońce łagodnie rozjaśniało śliczne, czyste, białe miasto i błękitna radość tryskała ze wszystkich stron.

Powierzywszy opiekę nad Weroniką jednej z sióstr, pojechałem do miasta rozmieszczać chorych i rannych z naszego statku: a przedewszystkiem, rzecz prosta, postarać się o miejsce dla mej pacjentki. Odnalazłem mieszkanie według danego przez Weronikę adresu, ale mieszkał tam zupełnie kto inny, obcy, i nie umiano mnie nic objaśnić o pani Korenowskiej. W sąsiednim sklepiku dowiedziałem się, że przeniosła się ona do Symferopola. Zacząłem biegać po szpitalach, lazaretach, szukając najlepszych warunków dla swej chorej. Obijałem progi władz wojskowych, szukając pomieszczenia dla rannych. Widocznie gwałtowna zmiana warunków klimatycznych, a zwłaszcza łaskawe i budzące

nowe nadzieje słoneczko, zwalczały moją apatję i bezradność. Odzyskałem dawną energję, wytrwałość przy pokonywaniu trudności i wróciłem, jak zwycięzca. Miałem wszystko, nawet samochody do przewożenia chorych, i w południe zaczęliśmy wyładunek. Weronikę odwiozłem sam, zapisawszy jako swoją żonę.

W Krymie wszystko szykowało się do ostatniej walki z zalewającą całą Rosję czerwoną falą. Uformował się ostatni rząd. Organizowały się i odżywały różne rządowe instytucje. Malutki, podobny do perliczego kogucika generał Słaszczow ogłosił się Napoleonem i wydał sławny dekret o tem, że nie odda Krymu i dokazywał cudów męstwa i pomysłowości, jakiemi odznaczaja się często ludzie nienormalni.

Otrzymałem przydział do Czerwonego Krzyża i zacząłem pracować w szpitalu, gdzie leżała moja chora „żona". Naczelny doktór był człowiekiem o dość znanem w świecie medycznym nazwisku, a jego doświadczenie i troskliwość wobec „chorej żony kolegi" dawały rękojmię, że los Weroniki znajduje się w pewnych rękach. Przebywając stale w szpitalu i mając tam też i mieszkanie, mogłem ją nieograniczenie widywać i być przy niej, nie męcząc się brakiem wiadomości. Byłem jednym z dwóch pomocników kochanego staruszka Mikołaja Matwiejewicza Kozłowskiego — ale jaki tam był ze mnie pomocnik! Przebywałem prawie bez przerwy w oddziale, gdzie leżała Weronika, a poczciwy doktór, stary kawaler, podobny do aktora-komika, wciąż powtarzał:

„Kto nie żonaty — myśli, jak dogodzić Panu Bogu — kto żonaty — jak dogodzić swej żonie".

Raz tylko nie na żarty rozgniewał się na mnie; przy mojem ówczesnem roztargnieniu i zamknięciu w sobie, właściwem człowiekowi zakochanemu i nieszczęśliwemu — podałem mu kiedyś zamiast pincetu — lancet — i zirytowany powiedział wtedy:

— Pana należałoby naznaczyć nie na mego pomocnika, a na pielęgniarkę własnej żony.

Potem długo mnie przepraszał, klepał po przyjacielsku po ramieniu i powtarzał: rozumiem, rozumiem...

Przywiózłszy Weronikę do szpitala, przedewszystkiem opowiedziałem mu swe obawy co do Meningitis, wskazując wszystkie groźne symptomy. Wysłuchał, uspokoił mnie. Przez cały tydzień te groźne objawy się nie powtórzyły i przebieg choroby był gwałtowny, ale bez specjalnych komplikacji. Ale po tygodniu wymioty wznowiły się, a ja wpadłem w rozpacz i nie mogłem opanować trapiącego mnie niepokoju. — Też i djagnosta! — zwątpiłem w doświadczenie i wiedzę poczciwego Mikołaja Matwiejewicza, w medycynę, w naukę wogóle i postanowiłem: jeżeli Weronika umrze, najlepiej będzie odprowadzić ją do wrót Raju — a samemu oddać się szatanowi w łapy.

— Na miłość boską, doktorze, ratujcie mi żonę! Znów wymioty!

— Hm... dziwne...

Doktór zrobił poważną minę i poszedł do chorej. Byłem w takim stanie, jakbym czekał na wyrok śmierci. Odprowadziłem go do sali, ale sam nie wszedłem, i stojąc za drzwiami, czekałem na wyrok. Minuty wydawały mi się godzinami. Drżałem z zimna — to znów ogarniała mię gorączka. Gdy posłyszałem jego kroki na korytarzu, skuliłem się i bałem spojrzeć w twarz jego. Zwłaszcza

lękałem się pierwszego słowa... tonu jego głosu... przecież zrozumiem odrazu, gdyby nie wiem jak próbował przygotować mnie do tego, co nieuniknione. Jestem przecież nietylko mężem pacjentki, ale ostatecznie też i doktorem, choćby marnym. Ale Mikołaj Matwiejewicz nie powiedział nic, tylko wziął mnie pod rękę i pociągnął z sobą przez korytarz. Szedł długo, nieznośnie długo i milczał, jakby nie mając odwagi powiedzieć mi prawdy — napewno okropnej prawdy...

— Chodźmy do mnie — pogadamy — odezwał się wreszcie, poważny i zamyślony, otwierając drzwi do swego gabinetu i przepuszczając mnie pierwszego.

Nie umiem opisać, jakie męki przechodziłem wobec tego zagadkowego postępowania. To... to... nieludzkie, myślałem, patrząc na swego dręczyciela. Chciałem krzyczeć:

— No, gadaj prędzej... nie dręcz mnie!

— Niech no kochany pan siada!

Usadowił się na fotelu i zapalił cygaro. Ja stałem i wydawało mi się niewłaściwem siadać...

A wtem dziwne, niewłaściwe pytanie:

— Czy... czy państwo dawno po ślubie?

— Hm... nie... stosunkowo niedawno...

W takim razie składam życzenia. Nie żaden meningitis, a poprostu pańska żona jest w ciąży.

XII.

Nie meningitis—to najważniejsze! Zamiast oczekiwanego wyroku, skazującego na śmierć — nadzieja wyrwania Weroniki z jej szponów. Było to dla mnie tak nieoczekiwane, że roześmiałem się i o mało co nie uściskałem sympatycznego doktora, który przyjął ten wybuch naturalnie za wyraz uczuć rodzicielskich.

— Dziękuję — kochany, wyszeptałem, ściskając jego dłoń.

— Tymczasem niema jeszcze powodu do specjalnej radości. Ciąża jest komplikacją też dość poważną i... nie będę ukrywał przed wami — kolego — mych obaw: to nie zmniejsza, a zwiększa niebezpieczeństwo. Przedewszystkiem będziemy starać się, aby ratować matkę, a z dzieckiem będzie — jak Pan Bóg pozwoli. Nie rachujcie zbytnio na ocalenie waszego dziecka...

I zaczął mi perswadować, że jesteśmy jeszcze tacy młodzi, że dzieci jeszcze przyjdą, że w obecnych czasach może i lepiej jest ich nie mieć.

Uśmiechałem się smutnie, kiwałem potakująco głową, zgadzałem się i zgóry za wszystko dziękowałem kochanemu doktorowi, przez co jeszcze bardziej utwierdziłem go w mniemaniu, że to mające przyjść na świat dziecko jest mojem. Czyż mogłem postąpić inaczej? innego wyjścia nie było.

— Niech już będzie, co chce z dzieckiem, byle uratować matkę!

— Nie twierdzę, że to jest niemożliwe: bywają wypadki, że... Ale nie więcej, niż 20 — 30% szczęśliwych rozważań. W każdym razie miejcie kolego, nadzieję w Bogu, nie we mnie...

Nie wiem dlaczego, wzruszyłem się i pochyliwszy się, uścisnąłem zacnego staruszka.

— Ot — jakie podłe czasy! Nawet miłość, największe szczęście naszego życia, przeżywa dzisiejsza młodzież w huku dział, wśród wszelakich okropności i udręczeń. Dobre były dawne czasy — a ja, głupiec, i wtedy bałem się ożenić! czego się bałem — sam nie rozumiem! A jednak — mimo wszystko i dziś życie idzie wytkniętym torem: kochają się ludzie, żenią, rodzą...

Mikołaj Matwiejewicz rozrzewnił się i wytarł oczy, zsunąwszy okulary na wysokie czoło.

Ale moja radość zgasła tak samo szybko, jak wybuchnęła: wystraszył ją doktór, nazywając jeszcze przedwczesną. Radość przeszła, a do moich trosk i męki przyplątała się nowa udręka: tajemnica tego dziecka. Właściwie co mnie to obchodzi? Jakie mam prawo mieszać się do intymnych przeżyć Weroniki? Prawdopodobnie — jest to „tajemny owoc nieszczęsnej miłości". Gdy przebywałem u łoża chorej, kochałem ją ze czcią i pokorą, ale gdy tylko zostawałem sam, jakiś robak zaczynał toczyć mą duszę i tą cześć dla niej. Tym robakiem była myśl o owem przyszłem dziecku. Nie rozumiem zupełnie tajemnych dróg swej psychologji: ten fakt, to odkrycie jakby obrażało moje uczucia dla Weroniki: znaczy się, nie taka ona święta, jak się wydaje, miała już romansik! Tak właśnie wyraziłem się w myśli: „romansik". Któż jest tym wybrańcem losu? Nikt inny, tylko ów „Włodeczek" z którym tak czule rozmawiała w go-

rączce na statku. Jak szpieg zacząłem przypominać całą treść jej gorączkowego bredzenia i jak sędzia śledczy wysnuwać wnioski i domysły na podstawie jej urywanych słów i zdań. Czy to właśnie to dziecko ona miała zamiar zabić? widocznie razem z „Włodeczkiem" zastanawiali się nad tem, w jaki sposób ukryć widoczny dowód swego stosunku. W miłości — dziecko — to wypadek z obu stron najmniej pożądany. Codziennie tysiące kobiet rodzi, mimo to w romansach fakt ten nie jest przez bohaterów przewidywany... Zbudziła się we mnie cała moja męska podłość i zrobiło mi się wstyd przed samym sobą, wstyd za moją dziwną i bezzasadną złośliwość. Wtedy zacząłem sam zbijać zbudowane przez siebie karciane domki moich domysłów — znajdując po temu dane również w urywkach wypowiadanych w gorączce zdań. Dlaczego ona prosiła „Włodeczka" o przebaczenie? nawet o zabicie jej? Widocznie zdradzała go. Sama przecież tłumaczyła powód: uczyniła to, aby ratować biednego „tatusia", z którym w chwilach nieprzytomności tak często rozmawiała. Gdzieś daleko zegar wybijał godzinę, i ten dźwięk spłoszył mojej myśli i oswobodził mnie z niewoli własnej nikczemności.

Poszedłem do szpitala do Weroniki, bojąc się jak winowajca podejść do jej łoża. Obecnie już nie traciła przytomności, ale umysł był jeszcze jakby zaćmiony, i za każdym razem długo i badawczo przypatrywała mi się szeroko otwartemi oczami, zanim mię poznała. Potem — najwidoczniej przypomniawszy sobie — słabo się uśmiechała i zamykała oczy — podobne do ciemnych bezdennych jezior, podkreślonych sinemi smugami cierpienia. Miałem wtedy chęć paść do jej nóg i błagać o prze-

baczenie za moje wstrętne podejrzenia, za mą podłość. Nie, to nie „romansik" a tragedja czy dramat. Kobiety z takiemi oczami nie mogą mieć „romansików".

Kryzys przeszedł szczęśliwie — i tegoż dnia, ja, uważający się za ateusza, poszedłem do Kazańskiego Soboru na wieczorne nabożeństwo. Ukrywając się przed wzrokiem znajomych i nieznajomych w ciemnym kącie, modliłem się ukradkiem jak złodziej, — szepcąc do Matki Bożej:

— Ratuj, zmiłuj się, — przecież sama jesteś kobietą i matką!

Tymczasem miasto niepostrzeżenie zmieniło się w obóz wojenny i zdawało się, że zamieszkałe jest wyłącznie przez wojskowych. Przez ulice przeciągały nowouformowane oddziały kawalerji i maszerowały pułki piechoty pod dźwięki bębnów i fletów, na placu ćwiczeń artyleryjskich grzmiały działa, co rano pod błękitem nieba trzeszczały aeroplany. Zaczynał się ostatni epizod wojny domowej. A obok tego na ulicach już kwitły białe akacje, w ogrodach pachniały kwiaty, na drogach z pod kół samochodów kłębił się złocisty pył, wieczorami w miejskim parku grała muzyka i wałęsały się tłumy próżniaków — a lazarety były przepełnione rannymi z frontu.

Otrzymałem rozkaz jechać w sprawach służbowych do Symferopola, który był wówczas stolicą „białej Rosji". Było mi szalenie ciężko odjeżdżać od mej chorej, ale nie zdołałem się od tego uwolnić. Normalnie wymagała ta podróż najwyżej trzy — cztery dni czasu, ale teraz komunikacja była połączona z takiemi trudnościami, że mogłem nie wrócić i za tydzień. Starałem się wytłumaczyć to Weronice i obiecałem odszukać jej kuzyn-

kę. Słuchała i potakiwała oczyma, a na pożegnanie podała mi swą wychudłą rękę i chciała o coś zapytać, ale zapomniała, o co mianowicie — i rozpłakała się. Z obciętemi krótko włosami wyglądała na chłopca i budziła we mnie uczucie bezgranicznej tkliwości swą bezradnością.

Gdy schodziłem już ze schodów, dogoniła mię siostra miłosierdzia, gdyż Weronika przypomniała sobie, o co jej chodziło i prosiła, żebym się wrócił.

— Pamięć bardzo wolno powraca — rzekła z westchnieniem towarzysząca mi siostra.

— Zapomniała, co chciała powiedzieć?

— Niech pan sobie wyobrazi, zapomniała, jak pan się nazywa, — pan — mąż! Tego, tego, a nie wie, jak się wyrazić. Powiedziałaby poprostu „męża“, a ona „tego pana“. Ale — Bogu dzięki — wszystko jest na dobrej drodze. Może jeszcze będzie i synek albo córeczka.

— Taki jestem wam wszystkim wdzięczny, taki wdzięczny!

— Teraz już będzie coraz lepiej. A gdy pan wróci, to może już i siedzieć będziemy!

Wróciłem na salę. Leżała z zamkniętemi oczami. Siostra pochyliła się nad nią i szepnęła:

— Mąż wrócił się...

— Mąż!...

Rozejrzała się, a zobaczywszy mnie, przypomniała sobie i uśmiechnęła się, gestem przyzywając mnie do siebie.

— Zapomniałam, jakie jest obecnie moje nazwisko, wyszeptała, przyciągając mnie ku sobie za rękaw. Podpowiedziałem jej. Znów wyciągnęła ku mnie rękę, którą pocałowałem.

— Jaki pan dobry! — szepnęła i zamknęła oczy. Na rzęsach błysnęły dwie duże łzy.

Westchnąłem i wyszedłem.

Przed wyjazdem zaszedłem do głównego doktora, który uspokoił mnie: „wszystko idzie doskonale i niema żadnych podstaw do niepokoju, jeżeli...

— Ale co muszę wam powiedzieć, kolego. Nie przerażajcie się, to kwestja czysto technicznej natury. Otrzymałem zapytanie od komendanta i z tego papierka widzę, że nasz szpital prawdopodobnie zabiorą pod zarząd wojskowy dla rannych, i wtedy trzeba będzie się stąd wynosić. Co poczniemy wówczas z waszą miłą małżonką? — wszędzie przepełnienie, chorych kładą na ziemi.

— Jak więc będzie, Mikołaju Matwiejewiczu! W takich warunkach... sam nie wiem... nie mogę wyjechać... muszę odmówić się... nie mogę rzucić żony na...

— Ależ kolego, nie gorączkujcie się!

I znów kochany doktór zniewolił mnie, by go uściskać! Powiedział: primo — że zdążę jeszcze wrócić, a secundo, że moja żona pozostaje pod jego osobistą opieką i gdybym na czas powrócić nie mógł, on przeniesie ją i ulokuje w swem prywatnem mieszkaniu. Uśmiechnął się serdecznie i zażartował:

— Zaufacie mi?

W jego oczach krótkowidza było tyle dobroci, prostoty i ciepła, że nie odpowiadając, ponownie go uściskałem, a on zwrócił uwagę, że — jak wszyscy szczęśliwi młodzi małżonkowie — lubię całować.

Nadzwyczajny człowiek... W naszych przeklętych czasach rozszalałego egoizmu i chamstwa — tacy jak on budzą zamarłą wiarę w człowieczeństwo.

Wyjechałem do Symferopola z uczuciem, jakbym powierzył mą ukochaną rodzonemu ojcu. Po-

ciąg natychmiast o dziesiątej rano odszedł, o półno-
cy znów coś się stało z węglem. W nocy długo sta-
liśmy na stacjach i na coś czekali. Zamiast kilku
godzin droga trwała przeszło dobę.

Myślą powracałem wciąż do Sewastopola, któ-
ry stał się dla mnie teraz głównym punktem świata.
W mem życiu zaszło coś niezrozumiałego — co
z gruntu zmieniło mój stosunek do świata. Przez
długie lata czułem się takim lekkim, swobodnym,
ruchliwym, niczem nie związanym, bujającym po
falach życia, jak łupina, a teraz wszystko jakby na-
brało treści i każda błahostka, około której dawniej
przechodziłem obojętnie, nabierała znaczenia i oce-
niała się z innego punktu widzenia. Przecież nie ta-
kie dawne dzieje, kiedy samo życie zdawało mi się
nic nie warte i nie miało żadnego uroku. A teraz
bałem się, czyż to nie śmieszne... bałem się zazię-
bić i zachorować! Poczułem, że stałem się komuś
potrzebny i zrobiłem się odrazu solidnym i rozsąd-
nym. Żona, a może i dziecko! Śmieszne! Ani żo-
na nie moja, ani dziecko nie moje! Czem jestem dla
nich: zwykłym przechodniem na drodze życia. Mąż
fikcyjny — i ojciec — fikcyjny, a jednak zachowuję
się, jak rzeczywisty ojciec rodziny.

XIII.

Bywa taki okres w miłości, kiedy człowiek staje się nienormalny.

Mam trzydziesty drugi rok, a podobny jestem do zakochanego uczniaka. Pamiętam swą pierwszą miłość: byłem w trzeciej klasie i przechowywałem w ładnem pudełeczku od lekarstw jak relikwię, kokardkę od pantofelka mej ukochanej, chowałem, jak skarb, rozmawiałem z nią, z czcią przykładałem do ust. Miłosny fetyszyzm!

Otóż teraz mam również relikwię: schowałem potajemnie obcięte warkocze Weroniki i czuję ku nim to samo prawie, co ongi jako uczniak, do kokardki pantofelka Lenki. Te włosy chorej na tyfus osoby należałoby spalić, a ja , doktór, troskliwie przechowuję je w tece — te dwa ciemne warkocze, przepojone jakąś delikatną wonią, której niema nazwy. Może to — aromat „prawdziwej kobiecości".

Przyjechawszy do Symferopola późną nocą i znalazłszy się w hotelu, przed pójściem spać wyjąłem z walizki tekę ze swym skarbem i zamknąwszy się na klucz, rozłożyłem na poduszce włosy Weroniki. U góry były one związane jedwabnym sznurkiem, a dalej rozsypywały się jedwabistą falą. Jak gdyby cały pokój przeobraził się, stał się niemym świadkiem najgłębszej tajemnicy mej duszy. Podziwiałem je, tuliłem w nie twarz, oddychałem ich wonią, owijałem dłonie, gładziłem ich falisty jedwab, całowałem i szeptałem: droga, ukochana, gdybyś wiedziała, jak bardzo cię kocham! Na chodniku

w korytarzu rozległy się czyjeś kroki pod memi drzwiami i ja, jak złapany na gorącym uczynku złodziej, nagłym ruchem przykryłem włosy prześcieradłem i poszedłem sprawdzić, czy drzwi są dobrze zamknięte. Przyjrzałem się sobie uważnie w lustrze i pomyślałem, że wyglądam na warjata. Przecież mam 32 lata — co się ze mną dzieje? Stanowczo jestem nienormalny. Napiłem się wody i długo spacerowałem po pokoju, trąc dłonią wilgotne czoło. Zegar wybił drugą godzinę, gdy schowawszy swój skarb, zgasiłem światło i położyłem się. Wciąż zdawało mi się, że pachną włosy i łaskoczą mnie w twarz. Potem przyśniła mi się Weronika z rozpuszczonemi włosami, pochyla się nade mną i mówiła:

— Tyś dobry, kocham cię, tylko nie mów o tem nikomu...

Następnego ranka przed wyjściem za interesami nie wytrzymałem i sprawdziłem, czy włosy leżą na swojem miejscu.

Zaraz przy pierwszym interesie okazało się, że mój pobyt w Symferopolu przeciągnie się na kilka dni. Było masę trudności przy załatwieniu każdego interesu, każdego drobiazgu, że ręce opadały. Zdawało się, że wszystkie urzędy i ich kierownicy są nie po to, aby pomagać sprawie ogólnej, a żeby sobie nawzajem przeszkadzać. Każde moje podanie było uważane za mój osobisty interes, a wypełnienie prośby — za osobistą grzeczność dla mnie. Sprawy tak się zaciągały, posuwały leniwie, miałem masę wolnego czasu między jedną a drugą uzyskaną audjencją. Nudziłem się i tęskniłem do Weroniki. Siadałem, by pisać do niej, ale pióro wypadało mi z ręki: mógłbym napisać wiele, bardzo wiele, ale... co ją to obchodzi, moja dusza, moje uczucia! Wyznać jej

swą miłość, przyznać się, że tęsknię! Po pierwsze — byłoby niemądrze robić takie wyznania chorej, a po drugie, jako doktór, powinienem rozumieć, że wszelkie wzruszenia dla niej... Zresztą listu do rąk jej nie dadzą... Ale miałem ochotę pisać... może potem kiedyś.... Opiszę w formie pamiętnika, co przeżyłem od chwili spotkania z nią.

Wszystkie długie wieczory, a często i noce, poświęcałem tym notatkom, począwszy od momentu pamiętnego spotkania w dni ewakuacji w Noworosyjsku. Moja tęsknota i smutek od tego jakby się zmniejszały, jakby to przybliżało mnie do ukochanej...

Wszystko, co czytaliście dotychczas, napisałem w Symferopolu w dni rozłąki z Weroniką.

Jutro wyjeżdżam, a tu muszę jeszcze opisać moją wizytę u Marji Mikołajewny Korenowskiej, od której zdołałem się jednak dowiedzieć cokolwiek o Weronice, będącej dla mnie w dalszym ciągu tajemiczą nieznajomą.

Wiedziałem od Weroniki, że Marja Korenowska jest jej kuzynką i doktorem medycyny. I nic więcej. Dopiero gdy stanąłem przed domem, w którym mieszkała i wchodziłem na schody, zastanowiłem się, w jakiej roli mam się zjawić u tej pani. Nie znam ich wzajemnego stosunku, nie wiem, czy są z sobą tak blisko i serdecznie zażyłe, żeby opowiedzieć rzeczywisty stan rzeczy, oraz prawdę o naszych dziwnych stosunkach. Kim jesteśmy dla siebie nawzajem? Cała ta historja naszego spotkania, ucieczka z Noworosyjska, mego wyjątkowego zainteresowania się tą kobietą i ta wizyta z jej polecenia — wszystko to było tak niezwykłe, że mogło tylko skompromitować Weronikę, zwłaszcza historja

o spodziewanem dziecku, które było najwidoczniej dramatem jej nieszczęśliwej miłości.

Wchodziłem wolno na schody i obmyślałem, zastanawiałem się, co mówić, jak się zachować.

Opowiadać o fikcyjnem małżeństwie, a właściwie o sfałszowaniu papierów, zrobionem dla uratowania jej życia, znaczyło tylko umocnić podejrzenia słuchacza. I wogóle przyznawanie się do czegoś podobnego wobec osoby zupełnie obcej, byłoby naiwnością, jeżeli nie głupotą. Małżeństwo na niby, podrobione dokumenty, a za sześć czy siedem miesięcy — ona będzie matką.

Stałem pod drzwiami, nie mogąc się zdecydować na zadzwonienie. Może nawet byłbym ku swej hańbie uciekł, gdy naraz drzwi się otworzyły i usłyszałem dwa kobiece głosy, a następnie zobaczyłem jakąś panią, i było już zapóźno na ucieczkę.

— Pan do kogo?

— Czy tu mieszka pani Korenowska?

— Ja jestem właśnie Korenowska.

Panie szybko się pożegnały, a ja wszedłem za gospodynią do przedpokoju.

— Czy pan się nie omylił? ja leczę tylko kobiety i dzieci.

— Przepraszam, nie jestem pacjentem, mam do pani polecenie...

O mało nie powiedziałem: „polecenie od mojej żony" ale spotkałem pytająco niedowierzający wzrok Marji Mikołajewny, zmieszałem się i odrzekłem:

— Od Weroniki Włodzimierzówny (dziękowałem potem losowi, że uchronił mnie od głupiej i upokarzającej sytuacji.

— Od Weroniki? — patrząc na mnie ze zdziwieniem, powtórzyła pani Korenowska.

— Od Weroniki Włodzimierzówny!

— Berezań?

— Tak.

Marja Nikołajewna przeżegnała się, potem roześmiała się radośnie, pobiegła ku drzwiom i zawołała do kogoś w sąsiednim pokoju: „Weronika żyje!“ Wróciwszy zaczęła mi opowiadać, nie mogąc złapać tchu, że tu do Symferopola przyszły wiadomości z Charkowa, że Weronika i jej ojciec byli aresztowani w Nieżynie, gdzie mieli dobra o siedem wiorst od miasta, i tamże rozstrzelani. Nawet dała na mszą za ich dusze.

— Boże, mój Boże! To tak, jakby zmartwychwstała!

Wtedy opowiedziałem o chorobie Weroniki i o tem, że niebezpieczeństwo już minęło, że jest ona pod opieką doskonałego doktora i zacnego człowieka. Mówiłem o naszem spotkaniu w Noworosyjsku i przyznałem się szczerze do podstępu, ułatwiającego jej ucieczkę. Zapragnąłem naraz być prostym, szczerym i szlachetnym. Nawet nie starałem się ukrywać ani odwracać podejrzeń, że jestem Weroniką oczarowany.

— Ona jest szalenie miła! Tak się spłakałam, gdy przyszły z Charkowa te wiadomości! No, a czy ona wie cośkolwiek o losie swego narzeczonego, Włodeczka Rajewskiego?

— Hm... zdaje się, że nie...

— Jedni mówią, że pod Odessą dostał się do niewoli bolszewickiej, inni, że poprostu zginął w bitwie.

Zaczęliśmy radzić, co zrobić z Weroniką. Czy przewieźć do Symferopola. Gdy podałem nazwisko Mikołaja Matwiejewicza, okazało się, że on i Marja Nikołajewna są dobrymi znajomymi.

— Strasznie się cieszę, że jest pod jego opieką.

— Obmyślaliśmy, co począć, jeżeli szpital zostanie zarekwirowany przez wojsko. Podałem projekt doktora Kozłowskiego, aby umieścić Weronikę na letnisku.

— Doskonale! Mam śliczną willę w Bałakławie i bardzo chętnie oddam ją do dyspozycji Weroniki na całe lato. Dam panu list do stróża. Tam będzie świetnie. Boże, jak się cieszę i jak jestem panu wdzięczna! Zarazbym pojechała do mej kochanej dziewczyny, ale nie dostanę urlopu. Ja przecież jestem na służbie. Ale postaram się wyprosić choć tydzień, aby z nią pobyć...

Dostałem dwa listy: do Weroniki i do stróża willi w Bałakławie. Pożegnaliśmy się jak przyjaciele... Jej miłość do Weroniki okryła swemi jasnemi skrzydłami i mnie, niosącego dobrą wieść o zmartwychwstaniu.

Wszystko składało się niby dobrze, a duszę szarpał nowy ból: podjąłem zasłonę i ujrzałem cząstkę tajemnicy. Narzeczony! I gdy jechałem z powrotem do Sewastopola, koła wagonu wystukiwały:

Narze — czony — narze — czony

Ona — ko — cha — kocha — kocha

Nie — cie — bie — nie — cie — bie

Potem wspomniałem rozmowę z Marją Nikołajewną o tym wybrańcu i koła wystukiwały:

Za — bi — ty za — bi — ty...

Byłem szczęśliwy, że wkrótce ją zobaczę nie we śnie, a na jawie, lub też wpadałem w rozpacz: nigdy mię nie pokocha, gdyż serce jej należy do innego...

Leżałem na ławce z zamkniętemi oczami, żeby uniknąć rozmów z towarzyszami podróży i móc spokojnie rozmyślać. Nagle zrywałem się pod wpływem uporczywej myśli: czyje to dziecko! I koła wagonu stukały:

Dziecko — dziecko — dziecko...

XIV.

Południowy Krym podobny był wtedy do panny młodej, oczekującej swego oblubieńca na brzegu lazurowego morza. Tonął cały w biało - różowem kwieciu sadów i dymił — jak kadzielnica — upajającemi woniami. Doliny wśród gór, całe pokryte jaskrawemi plamami kwitnących białych, różowych i fioletowych maków na tle szmaragdowych łąk, — były jak olbrzymie wschodnie kobierce. Dalekie góry podobne były do czarodziejskich drogich kamieni: Szafiry, opale, szmaragdy, topazy. Lasy na skłonach górskich były jak wzorzyste wyszycia, wijące się drogi — białe i złociste — zdawały się prowadzić do rajskich wrót.

Wszystko tutaj tchnęło cichem szczęściem pierwszych ludzi — gdyby nie przeklęta wojna bratnia, na każdym kroku przypominająca o kainowej zbrodni.

Właściwie ta pieczęć Kaina dawała się odczuwać tylko w miasteczkach i bardziej zgęszczonych osiedlach. Lecz gdy się tylko odeszło wgłąb gór czy dolin, wbok od głównych dróg, ogarniała łagodna, rozkoszna cisza radosnej kwitnącej przyrody, uparcie przypominającej ludziom, że życie stworzone jest dla rozkoszy.

Wielkanoc spędzaliśmy w Bałakławie. Jakkolwiek i do tego czarownego cichego zakątka zdążyły się przedostać ostatnie wiadomości przeklętych wypadków, nasz domek — jak ptasie gniazdo przytulony do zbocza gór — tonący w kwietnym

ogrodzie, w pnących glicynjach i winnicach — jakgdyby odosabniał się — stał ponad wszystkiem, podnosił nas ku niebiosom. Jak z lotu ptaka patrzyliśmy stamtąd na miasteczko, wydające się ze swemi domkami i zatoką, jak zabaweczka. Nie dochodziły do nas żadne strachy z doliny, a w okna patrzyła bezkresna morska dal — raz niebieska, raz zielona, raz czarna — to gładka, jak niebios zwierciadło, to znów ruchliwa, lśniąca, rozszalała, łącząca się z horyzontem i uciekająca w nieskończoność.

Piętrowy domek z balkonikami i cienkiemi kolumnami wyglądał jak zwykłe siedlisko bogatego Tatara. Było w nim coś wzruszającego swą prostotą i naiwnością, swą specjalną bliskością do człowieka, który stworzył osiadłą i rodzinną formę bytu. Wszystkie schodki, ścieżki, drzwiczki, balkoniki tworzyły wyjątkową harmonję, usposobiającą do beztroskiego życia, rozkoszowania się pięknością i słodkiego spoczynku bez porywów w niewiadome — pełne trwóg, niespodzianek. Oddzielny sam w sobie zamknięty światek — coś w rodzaju maleńkiego klasztoru.

Dobrze byłoby mieszkać w takim domku na schyłku życia, gdy dusza czuje, że nie ma czego więcej szukać, gdyż znalazła już wszystko, czego pragnęła, a to, czego nie znalazła — to wszystko marność nad marnościami. Lecz póki człowiek nie przekroczy tej zaklętej linji — nie danem mu jest szczęście spokoju i bierności. Jak cień własny chodzą za nim oszukańcze żądze nie pozwalając rozkoszować się rzeczywistością, a popychając go wciąż dalej i dalej, nie pozwalając zatrzymać się i powiedzieć: dosyć! chcę stanąć i przeżyć ten mój dzisiejszy dzień!

Miłość jest tym biczem, który włada całą sforą naszych namiętności i bez końca pędzi nasze dusze w niewiadome, nie pozwalając odpocząć na drogach życia.

Wznieśliśmy się wysoko ku niebu, ukryliśmy się w naszym domku od wszystkich złości i namiętności tego padołu, ale za nami przyszedł i osiadł ten niewidzialny ale bezlitosny poganiacz. Nie ruszamy się stąd nigdzie, chowamy w tym zakątku przed życiem, ale myśl nasza wyrywa się wciąż ku niewiadomemu, nasze uczucia tkwią nie w teraźniejszości, a w przyszłości.

Wciąż na coś czekamy. Na cud! I ja, i Weronika. Ja kocham ją z dniem każdym silniej i namiętniej, i czekam na jakiś oddźwięk w jej uśmiechu, w ruchu, w spojrzeniu. Ona poddaje się znów władzy swej tajemnicy, której wyjaśnienie leży gdzieś za górami, za morzami, w stronę których wciąż patrzy, siedząc na balkonie całemi godzinami z otwartą, zapomnianą książką na kolanach. Ona też kocha i oczekuje przyszłości. Tak schodzi „dziś" i przeminie „jutro" i „pojutrze". Oboje czekamy na cud: ona — zjawienia się ukochanego Włodeczka — czyli cudu zmartwychwstania, gdyż według zdobytych przez Marję Mikołajewnę informacji, Włodzimierz Rajewski był zabity przy usiłowaniu przejścia jego oddziału do Rumunji. Ja czekam, żeby ona przestała kochać umarłego, a pokochała żywego, t. j. mnie. Prawdę przed nią ukrywamy: byłoby okrucieństwem odebrać jej nadzieję, którą teraz żyje, i możliwem jest, że jej wyczerpany organizm nie przetrzymałby takiego wzruszenia.

Jest mi szalenie ciężko nosić i kryć w sobie te trzy tajemnice: wiem prawdę o Włodeczku, a pod-

trzymując nadzieje Weroniki, oddalam możliwość oczekiwanego przeze mnie cudu, ukrywam przed otaczającymi, a przedewszystkiem przed temi dwiema kobietami, że kocham Weronikę zupełnie nie po bratersku, o czem zdołałem przekonać je obie swą urojoną tęsknotą do narzeczonej, której fotografję postawiłem na swem biurku i codzień stroję świeżemi kwiatami. A trzecia tajemnica: kto jest ojcem dziecka, które ma jesienią przyjść na świat, co przyprowadza matkę do strasznej rozpaczy. Marja Mikołajewna najwidoczniej zna już tę tajemnicę. Zrozumiałem to z następującego faktu: niedawno dotknąłem nieostrożnie tej rany — jako lekarz poradziłem Weronice jeść dużo owoców, gdyż to ułatwia poród. Weronika przyjęła moją radę... jak zniewagę, jak obrazę swej niewinności. Zbladła, uciekła — a potem dostała histerycznego ataku. Marja przez cały dzień uspokajała ją, tłumaczyła mój nietakt, leczyła powtarzające się ataki, poczem powiedziała ostro do mnie:

— Lepiejby pan na parę dni wyjechał. A następnie proszę nigdy nie mówić ani wspominać o tem...

— Co ja narobiłem! Ale czyż mogłem przypuszczać, że...

— Teraz niech pan o tem pamięta i nigdy ani słowa, ani żadnej aluzji... Nic panu do tego...

— Dobrze. Tylko chciałbym ją przeprosić. Gotów jestem błagać o przebaczenie na kolanach.

— Co znowóż! Przepraszać — znaczy się raz jeszcze ponowić pański... nietakt.

Z Marją Mikołajewną byliśmy już w tak przyjacielskich stosunkach, że nieraz sprzeczaliśmy się jak brat z siostrą, dowcipkując i docinając sobie nawzajem. I teraz ona nie wytrzymała i przypo-

mniała o tym bohaterze u Czechowa, urzędniku, który siedząc w teatrze ztyłu za swym naczelnikiem, kichnął mu na łysinę, a potem wciąż prześladował „szanownego pana radcę“ swemi przeprosinami.

— Ale właściwie, dlaczego tak, Marjo Mikołajewno?

— Jest pan ciekawy jak kobieta. Kiedyś dowie się pan, a tymczasem ani słowa, ani aluzji...

— Więc to tajemnica?

— No tak, i to bardzo poważna tajemnica.

Ale niestety kobieta jest najbardziej niepewnem naczyniem do przechowywania tajemnic, naturalnie cudzych.

— Razem z tym zacnym doktorem wyrządziliście Weronice niedźwiedzią przysługę...

— Dlaczego — w jaki sposób?

Różnemi niedomówieniami Marja Mikołajewna dała mi do zrozumienia, że było bardzo pożądane nie starać się o uratowanie życia dziecka.

— Ale cóż ja jestem winien?

— Tylko pan! Ja rozmawiałam z doktorem o tej sprawie i on dotąd jest przekonany, że pan jest mężem i ojcem tego dziecka. Dla pana się starał.

Marja Mikołajewna zaczęła nagle mrugać powiekami i zakrywając twarz chusteczką, szeptała przez łzy:

— Biedaczka! nieszczęśliwa! Jak ona to przeżyje? Pamięta pan, jak to jest u Niekrasowa?

I łkając, szeptała jeszcze ciszej:

„Matka z przekleństwem syna nosiła,
„Z przekleństwem go urodziła“

— Na miłość boską, o tem więcej — ani słowa! Ona do pana przywiązała się jak do brata, jak do kogoś najbliższego. Trzeba ją oszczędzać!

XV.

Zdarzały się wtedy wypadki, że zakopywano ludzi żywcem, ale bywały również i cuda zmartwychpowstania!

Stało się to w samą Wielkanoc, kiedy wygnany przez Marję z willi w Bałakławie, siedziałem w Sewastopolu w lazarecie i pomagałem Mikołajowi Matwiejewiczowi pielęgnować rannych żołnierzy i oficerów.

Ponieważ stan mych nerwów nie pozwalał mi sypiać po nocach, przyjmowałem nocne dyżury w szpitalu i starałem się przez ciągłą pracę uciec od samego siebie. Podczas drugiej takiej nocy, gdy włóczyłem się po salach szpitalnych, przysłuchując się rozmowom ranych, którzy również spać nie mogli, usłyszałem, jak jeden młody porucznik, opowiadając o swych przejściach, wspomniał Włodka Rajewskiego. Na brzmienie tego nazwiska, które wypadkiem obiło się o moje uszy, wzdrygnąłem się, sam nie wiedząc dlaczego. Rajewski, Rajewski, Włodzimierz Rajewski! Coś takiego znajomego i niepokojącego. A gdy opowiadający znów wspomniał „Włodka Rajewskiego" jakby błyskawica rozświetliła mój mózg: przecież to właśnie on, narzeczony Weroniki! Podszedłem do łóżka, gdzie zebrało się kilku rannych oficerów — przeprosiłem i spytałem, o jakim Rajewskim była tu mowa, motywując moją ciekawość tem, że ktoś z moich znajomych poszukuje oficera, noszącego

to imię i nazwisko. Według wszelkiego prawdopodobieństwa to był właśnie on, mój szczęśliwy rywal. Po pierwsze — pochodził z Charkowa, po drugie — cofał się ze swym oddziałem z pod Odesy i starał przedostać się do Rumunji, na granicy której dawni sprzymierzeńcy przywitali ich salwami z karabinów i kulomiotów. On! Przeczuwa moje serce, że to ten sam!

— Co się z nim dzieje? Żyje czy zginął?

Ranny oficer, jego przyjaciel i towarzysz pułkowy, opowiedział, że obaj byli ranieni przez Rumunów. Choć rany były lekkie, jednak zmusiły ich do pozostania w tyle armji Bredowa, która starała się przebić do Polski. Rajewski przebrał się za chłopa i pośpieszył dogonić swój oddział ku polskiej granicy, a opowiadający dostał się w ręce bolszewików. Szczęśliwie nie zdążyli go rozstrzelać: uciekł podczas nagłej paniki — zranili go tylko, strzelając za nim.

— Więc pan sądzi, że Rajewski żyje?

— Jestem tego pewny!

Czyżby cud Weroniki się spełnił? Staram się w to uwierzyć, ale dusza moja protestuje. Może jaki jednoimiennik. Czyż mało jest Rajewskich i Włodzimierzów? Ale dusza drży pełna jakiegoś smutnego rozradownaia: jest to odblask cudzego szczęścia — księżycowe światło od słońca cudzej miłości. Los chce, bym był zwiastunem radości. Cóż — dla mnie, kryjącego się wielbiciela, i to będzie szczęściem. Przyjadę do Bałakławy, pójdę na górę do ukrytego w kwitnących glicynjach domku i powiem Weronice:

— Chrystus zmartwychwstał!

I opowiem, że spotkałem człowieka, który...

Ona uraduje się, zapomni o swym gniewie na mnie, popatrzy wesołemi oczami, pełnemi przyjaźni, a może nawet uściska mnie z wielkiej radości. Ona taka porywcza!

Wicher uczuć i myśli ogarnął mnie, gdy wstępowałem na górę ku naszemu domkowi, niosąc — jak olbrzymi ciężar — tę cudzą radość. Szedłem wolno i wciąż przystawałem, nie mogąc złapać tchu, jak starzec. Zdaleka już usłyszałem dźwięk fortepianu i ucieszyłem się — tamto minęło i nie schowa się przede mną. Nie byłem tutaj przez dwa dni, a miałem wrażenie, jakbym wrócił z długiej podróży, podczas której mogło zajść tyle zmian! Jakoś mi straszno wejść przez dobrze znaną furtkę! Czyż nie zaszły zmiany przez te dwa dni? Wszak razem ze mną wstępuje w te progi wieść radosna, a zato nie wyjdzie najaw to kłamstwo, jakiem karmiliśmy Weronikę, wiedząc prawdę o Włodeczku, a podtrzymując jej wiarę i oczekiwanie. Teraz tylko jedno kłamstwo będzie mnie przygniatać, i tem głębiej muszę kryć się przed obiema kobietami ze swą miłością, która obecnie stała się beznadziejna, niemożliwa do urzeczywistnienia.

Może byłby czas przerwać tę grę, to samooszukaństwo? Nie mogę mieć już żadnych złudzeń — Weronika ma przy sobie bliską przyjazną duszę. Uczyniłem, co mi kazało przeznaczenie, uratowałem życie i narzeczoną dla Włodeczka. Trzeba teraz odejść, zrobić tak, jak umówiliśmy się w Noworosyjsku. Moja obecność w tym domu byłaby jak szósty palec u ręki. Znoszą moją obecność jak konieczność, ale właściwie one obie nic nie stracą, a prędzej zyskają, gdy ten szósty palec urwie się sam, bez operacji, która prędzej czy póź-

niej musi być zrobiona przez kogoś, lub przez coś. Tak każe zdrowy rozsądek.

Prawda, że prócz zdrowego rozsądku jest jeszcze drugi — niezdrowy, silniejszy od pierwszego. Przy myśli o tem, że wszystko skończone i nigdy więcej nie będę rozmawiał z Weroniką, nie będę męczył się z powodu niewyznanej dla niej miłości — ten władca i pan zdecydował bez słów z pobłażliwym uśmiechem: „tego uczynić nie możesz i nie uczynisz". Zrobiło mi się strasznie. Utracić ją? na zawsze! To niemożliwe! Życie nie jest zdrowym rozsądkiem, prędzej nonsensem, a zdrowy rozsądek jest u niego na służbie.

Jak żebrak, czekający na jałmużnę, stałem u furtki, słuchając płynących przez okno tonów muzyki. Ot, i w tych dźwiękach, płynących z pod cienkich paluszków Weroniki, niema również zdrowego rozsądku, a wyrażają one bez słów największe tajniki duszy ludzkiej, które zrozumieć można również nie z pomocą rozsądku, a — serca. Ta muzyka też mi naszeptuje: nie, nie możesz tak postąpić! To samo mówi lśniące błękitne morze, biały obłoczek znieruchomiały na lazurze niebios, i szmaragdowe góry, i opleciona winem altanka, gdzie tyle razy siedzieliśmy z nią, pogrążeni w swoje dumania.

Muzyka się urwała, posłyszałem głosy, drgnąłem i szybko otworzyłem furtkę, żeby nie posądzono mnie o podsłuchiwanie. Jak dawno nie słyszałem jej głosu — tego cudnego, aksamitnego głosu!

Obie kobiety przywitały mię życzliwie i radośnie, jakby stęsknione za mną, a głosy ich zabrzmiały ciepło i serdecznie. Weronika uśmiechnęła się do mnie jakby zażenowana i czująca się winną. Czułem, że rozmawiały o mnie, zastana-

wiając się nad tem, co zaszło, a uniewinniwszy mnie, żałowały, że ucierpiałem za prawdę. Triumfująca radość zalała me serce, a przyniesiona wiadomość jakby oddawała je w moją władzę. Czułem się jakby posiadaczem talizmanu, dokonywującego cudów. Ale nie chciałem się odrazu zdradzić. Tak było przyjemnie pozować na niewinnie skrzywdzonego, być otoczonym serdeczną troskliwością!

Herbata w altance — one obie gospodarują — dźwięczą ich młode głosy. Przebierając się w swym pokoju w czeczunczowe ubranie zauważyłem, że stojąca na biurku fotografja mej narzeczonej jest cała ukwiecona. Nie ucieszyły mnie te róże, przeciwnie, podkreśliły me oddalenie od Weroniki i cudze szczęście. Smutek zamiast radości, jaką chciano zrobić mi temi kwiatami.

Umyłem się, przebrałem i poszedłem do altanki, gdzie na mnie oczekiwano. Obie panie wikwintne, wesołe, rozmowne. Marja objaśniała, że Weronice śnił się dziś jakiś cudny sen, pod wrażeniem którego grała i śpiewała, czego dawno nie było. Weronika była rzeczywiście w nadzwyczajnem usposobieniu — nigdy jej takiej nie widziałem, niby solenizantka — uroczysta i rozpromieniona. Marja starała się podtrzymać ten nastrój, ale chwilami poprzez nienaturalny uśmiech spostrzegałem na jej twarzy jakiś dziwny wyraz: to przebija owa „okrutna prawda“ którą ukrywamy przed Weroniką. Jest mi wesoło i zabawnie, że mogę zapomocą posiadanego talizmanu w jednej chwili zmienić sztuczne uśmiechy w szczerą radość, a zarazem utwierdzić nadzieję Weroniki, będąca do tej pory tylko złudzeniem chorej, zbolałej duszy.

— Nie wiem, kto przystroił moje biurko różami, więc składam podziękę obu paniom.

— Niech pan podziękuje Weronice, to ona...

— Nie, to nie ja, to ona...

— Nieprawda! Ona, ona... Ona dziś taka szczęśliwa... śniło jej się...

Ton głosu Marji Mikołajewny jakby grozi opowiedzeniem treści snu, ale Weronika zarumieniona woła:

— Nie boję się, sama opowiem, nie chcę przed nim nic ukrywać. I bawiąc się gałązką glicynji opowiedziała, że widziała we śnie swego ukochanego.

Wtedy zdecydowałem się na cudowne odkrycie i spytałem:

— Jak się nazywa ten szczęśliwiec?

— Włodzimierz...

— Czy jego nazwisko — Rajewski?

Marja Mikołajewna uderzyła mię złym wzrokiem, ale to nie poskutkowało.

— Skąd pan zna jego nazwisko? — znów rumieniąc się, spytała Weronika.

— Czy pochodzi z Charkowa? — ciągnąłem dalej, nie odpowiadając na pytania.

— Tak...

— Był w armji generała Bredowa?

— Tak... — szeptem już odpowiedziała Weronika, utkwiwszy we mnie przestraszone i zdumione oczy. A ja uśmiechałem się wesoło. Zdumiała się i Marja, która prawdopodobnie nie wiedziała nawet, pod jakim generałem służył Włodeczek.

— Sen pani okazał się proporczy — jeżeli nie zupełnie, to przynajmniej w części. Otrzymałem pomyślne wiadomości o poruczniku Włodzimierzu

Rajewskim. Jeżeli to ten sam, którego... o którego pani się niepokoi, to on żyje i jest w Polsce...

— Drogi mój, dobry, kochany, szeptała Weronika, słuchając moich słów. Potem frunęła ku mnie i płacząc i śmiejąc się naprzemian, objęła mię rękami za szyję i zaszlochała. Głaskałem jej włosy i uspokajałem serdecznemi słowy. Marja stała z oczyma pełnemi łez i nie wiedziała, co począć. Weronika pocałowała mnie i wybiegła z altanki.

— I znów — nietakt, — powiedziała pod moim adresem Marja i pobiegła za Weroniką, a ja stałem upojony i oszołomiony tą pieszczotą i uśmiechałem się prawdopodobnie niemądrze w stronę odchodzącej.

XVI.

Nietakt! znów nietakt! Nie zdążyłem ochłonąć z wrażenia, gdy zjawiła się Weronika; była cała, jak wicher ognisty: policzki jej pałały, oczy błyszczały, ruchy były szybkie i nieopanowane.

— Kochany, drogi Janku! nie gniewaj się, że cię tak nazywam. Tyś dla mnie, jak brat, jak najlepszy przyjaciel! Sam kochasz, sam cierpisz w rozłące, a więc zrozumiesz i wszystko przebaczysz...

Mówiła tonem serdecznym i błagalnym, położywszy gorącą rękę na mem ramieniu, patrząc mi w oczy, — a mnie od tej bliskości kręciło się w głowie.

— Wszystko uczynię dla pani — wszystko... — powiedziałem, nie rozumiejąc jeszcze, czego ode mnie żądają. Zjawiła się Marja i swym spokojnym głosem przywróciła mię do równowagi.

— Wątpię, czy to jest możliwe... czy pan rozumie?

— Rozumiem... rozumiem...

— Kochany panie, nic pan nie rozumie. Weronika prosi, aby pan zaraz pojechał do Sewastopola z nią razem do lazaretu i zapoznał z tym oficerem, który to wszystko opowiadał...

— Dlaczego nie miałbym pojechać?...

— W szpitalach są dnie i godziny przyjęć. Byłoby daleko praktyczniej nie śpieszyć się i przedtem dowiedzieć... pan może pojechać sam, a potem, gdy...

— Jak wy nie rozumiecie, że ja nie mogę czekać!... — wybuchnęła Weronika.

Byłem wzięty we dwa ognie: zdrowy rozsądek i brak rozwagi dwóch kobiet.

— Może ty, Janeczku (znów to palące „Janeczku") pojedziesz i przywieziesz tutaj tego miłego oficera? Drogi, kochany, ty mnie rozumiesz... ty...

— Ależ jak to można, jeżeli on jest ranny. Po pierwsze — doktór nie pozwoli, a po drugie — nie wypada żądać tego od chorego, prawdopodobnie kulejącego człowieka, aby wspinał się po górach.

— No, więc co będzie? ja nie mogę czekać... sama pojadę...

Marja Mikołajewna spojrzała na mnie złem okiem i zrozumiałem, że znów mogę popełnić jakiś... nietakt.

— Pojadę zaraz do Sewastopola i zrobię wszystko, co tylko będzie można.

— Drogi, kochany, uściskam cię!...

— Można i bez uścisków — zauważyła Marja.

— Co ci do tego? A ja właśnie chcę pocałować swego przyjaciela, — kapryśnie odparła Weronika i poczułem jej oddech, a potem gorące usta na swem czole. Chciałem ucałować jej rękę, ale ona wyrwała mi ją i podała usta:

— Po bratersku, Janku!

Ile trzeba było siły woli, aby ten pocałunek był „braterski"!

— A więc jadę, Niko!

Udało mi się powiedzieć to spokojnym, braterskim tonem i ukryć moje zupełnie nie braterskie wzruszenie.

A więc „brat, przyjaciel, Janeczek". Jesteśmy niby coraz bliżsi sobie, a mimo to te pieszczotliwe

wyrazy są niby trzy mury, trzy niezwalczone przeszkody na mej drodze ku ukochanej kobiecie.

Weronika odprowadziła mnie do furtki ogrodowej i długo stała tam, powiewając białą chusteczką.

— Oj, Janku, Janku, powierniku cudzych przygód miłosnych! — zjadliwie ironizowałem sam nad sobą, siadając na linijkę, jadącą do Sewastopola.

Nie wiodło mi się w moich sprawach sercowych, ale okazałem się dobrym pośrednikiem. Udawało mi się nadzwyczajnie: pożądany oficer zgodził się pojechać do Bałakławy i nie wchodząc na górę, zaczekać na Weronikę w kawiarni, na dole. Doktór pozwolił mu jechać, a wysyłany niespodzianie samochód dostarczył nas do Bałakławy.

Porucznik Chłopin miał czekać na nas na brzegu zatoki na ławeczce pod akacjami, a ja pobiegłem na górę do Weroniki.

Gdy powiedziałem, że przywiozłem żądanego oficera, Nika tak się ucieszyła, że zupełnie straciła przytomność. Marja nie omieszkała ostudzić jej zapału, szkodliwego dla osoby „w takim stanie".

— Nie skacz, jak koza! Trzeba się jeszcze dowiedzieć, czy to ten sam Rajewski. Mało Rajewskich na świecie!

— Ja czuję, że to on — mój Włodeczek!

— Jeżeli pani ma fotografję tego... Rajewskiego... radzę wziąć ze sobą — poradziłem.

— Naturalnie... naturalnie... Jakiś ty mądry, Janeczku! Zaraz będę!

Wróciła z torebką i parasolką.

— Chodźmy!

— Tylko ostrożnie przy schodzeniu z góry, — wołała z balkonu Marja.

— Podaj mi rękę, Janku!

— Ależ nie należy się tak śpieszyć, on nie ucieknie!

Poprosiłem Nikę o pokazanie mi fotografji „Włodeczka".

— Kiedy fotografja niedobra. W rzeczywistości on jest daleko ładniejszy, on zawsze źle wychodzi na fotografjach.

Przypatrywałem się Włodeczkowi z ciekawością i źle skrytą zawiścią, starając się ukryć te uczucia pod życzliwym uśmieszkiem, ale w duszy gryzł mię robak urazy. Młody, piękny, dumny, zdaje się wysoki i zgrabny oficer z pogardliwym uśmieszkiem na ustach. Widać odrazu, że uważa się za bohatera i zdobywcę serc niewieścich. W porównaniu z nim — ja jestem niczem, szarym, marnym tworem.

— No cóż? Nie podoba się?

— Owszem, podoba.

— Nie mów nieprawdy, Janeczku! z twarzy widać, że ci się nie podoba. On źle wychodzi na fotografjach. No — proszę mi oddać, dosyć tych min...

Wyrwała mi z rąk fotografję i schowała do torebki, zamykając starannie.

— Jeżeli się kiedy z nim spotkasz, na pewno go polubisz. Jego nie można nie lubić, — powiedziała.

Gdy doszliśmy do ławeczki, gdzie siedział czekający na nas oficer, Weronika krzyknęła, jak mewa:

— Mikołaj Piotrowicz! Pan! Czy to możliwe!

— Ja sam, we własnej osobie. Ale pani skąd się tu wzięła? Patrzę i oczom nie wierzę!

Oboje są poruszeni nadzwyczajnm spotkaniem, śmieją się i zarzucają nawzajem pytaniami. Zrozu-

miałem, że spotkali się starzy znajomi i odszedłem, aby nie przeszkadzać zwierzeniom. Nika wogóle zapomniała na pewno o mej egzystencji: Chłopin opowiadał o Włodeczku, a ona śmiała się lub ocierała łzy i co chwila zmieniał się wyraz jej twarzy, na której malowała się radość i szczęście, naprzemian ze smutkiem i z rozpaczą.

Czułem się znów obcym i dalekim. Najlepiej byłoby odejść zupełnie, ale musiałem przecież odwieźć Chłopina do Sewastopola. Spacerowałem po wysypanych piaskiem alejkach ogrodu i pogwizdywałem smutną piosenkę, a oni nie mogli się nagadać... zupełnie o mnie zapomnieli.

— Iwan Pietrowicz! Janku...

Nareszcie sobie przypomniała!

Gdzie pan się podział?

— Nie chciałem przeszkadzać.

— Kochany! czyż pan może mnie przeszkadzać! Taka jestem szczęśliwa... i nieszczęśliwa!...

Śmieje się do mnie przez łzy.

— Ty, Janku, jesteś moinm dobrym duchem. Panie Mikołaju, gdyby nie on, dawnoby mnie już nie było na świecie.

I Nika zaczęła rozwodzić się nade mną i zachwycać.

Niemądra sytuacja!

— To pani, Weroniko Włodzimierzówno, z radości wszystko...

Porucznik Chłopin uśmiechnął się zakłopotany.

Poszliśmy we troje brzegiem zatoki do nadmorskiej kawiarni, piliśmy kawę i znów zaczęła się rozmowa bez końca o Włodeczku, w której ja nie mogłem brać udziału. Następnie Weronika odprowadziła nas do linijki i odjechaliśmy do Sewastopola.

XVII.

Wyjechała Marja Mikołajewna i zostaliśmy tylko we dwoje. Znękana dusza kobieca pragnęła zbliżenia z drugą ludzką duszą i naturalnie ja zostałem jej powiernikiem. Słoneczna radość, wywołana pewnością, że Włodeczek żyje, gasła odrazu przy najmniejszem przypomnieniu o tem, że Nika ma wkrótce zostać matką. Rzecz prosta, że nie poruszałem nigdy tego tematu wiedząc, że kryje się w nim jakiś dramat, ale panie, z któremi zdarzyło się nam zaznajomić w Bałakławie, nieraz w rozmowie lekkomyślnie żatrtobliwym tonem robiły różne do tego aluzje, pewne, że nam — młodym małżonkom — sprawiają ogromną przyjemność. Najbardziej cnotliwe i doświadczone w takich sprawach, nie krępując się moją obecnością, ofiarowały swą pomoc w szyciu wyprawki dla oczekiwanego małego przybysza, dawały rady, wypytywały, co chcielibyśmy: chłopca czy dziewczynkę i jakie damy imię. Czasem zapytywano o to mnie. Przyznać się do faktycznego stanu rzeczy, znaczyłoby dać temat do najbrudniejszych plotek, musieliśmy więc oboje odgrywać rolę rzeczywistych małżonków i jeszcze dziękować za interesowanie się naszemi intymnemi sprawami.

Po wyjeździe Marji nasza przyjaźń ostatecznie się utrwaliła, i to pomagało nam udawać małżeństwo, mówić sobie po imieniu, nawet czasem się sprzeczać, ale z biegiem czasu niespodzianie dla nas samych — ta gra zmieniała się w przyzwycza-

jenie i „ty Janku“ i „ty Niko“ wymawialiśmy już machinalnie nie zwracając na to uwagi. Była jednak różnica w tem „tykaniu“ między mną a Weroniką: jej „ty“ oznaczało tylko przyjaźń, a w mojem „ty“ mieściły się bardziej skomplikowane uczucia, między niemi i moja zatajona miłość. Weronika cała pochłonięta swoją miłością, nie mogła zauważyć mojej, a stworzywszy sobie przyjaciela, uwierzyła w tą przyjaźń. Jak ciężko było mi nieraz słuchać jej opowiadania o Włodeczku, detale ich znajomości, spotkań, rozłąki, przysiąg, a dla niej te wywnętrzania były poprostu duchową koniecznością. Znajdowałem jednak tyle sił, aby wysłuchać tego wszystkiego ze spokojną miną, przez co jeszcze bardziej przywiązywałem do siebie chorą duszę kobiety.

Najbardziej zbliżały nas do siebie nasze wieczorne przechadzki w góry, dokąd chodziliśmy podziwiać zachody słońca i cuda zorzy wieczornej nad morzem. Te złocisto purpurowe zorze nastrajały Weronikę tęsknie i sentymentalnie — i wtedy zaczynały się opowiadania, wspomnienia i zwierzenia, najbardziej skryte tajemnice duszy kobiecej. W takich chwilach Nika często zapominała, że jej słuchacz i przyjaciel jest rodzaju męskiego nie żeńskiego. Kiedyś np. opowiadała o tem, jak pocałowali się po raz pierwszy z Włodeczkiem.

— Pierwszy pocałunek! Jakby ziemia zachwiała się u stóp! Czy zauważyłeś to, Janku, kiedy po raz pierwszy pocałowałeś swą narzeczoną?

— Tak... tak... masz rację. Wydaje się, że ziemia usuwa się z pod nóg...

Milczenie... cisza... zamglony wzrok utkwiony w złocisto różowy odblask zachodu w morskiej dali... westchnienie... potem pytanie:

— Czy ty wierzysz w Boga? Ja wierzę! I wierzę w to, że to On zesłał mi ciebie...

W tej chwili uczułem na swej ręce, którą trzymała w swych dłoniach Weronika, dotknięcie gorących warg.

— Co robisz!

— Co robisz!

— Tyś mię uratował... dla Włodeczka! Po nim tyś mi na świecie najbliższy...

Zmieszałem się naturalnie okropnie tą sceną, a ona rzekła:

— Jak mogłabym ci okazać swą wdzięczność... słowami nie można tego wyrazić... nie można...

Kiedyś spytała:

— Powiedz mi, Janku, czy mógłbyś przebaczyć swej narzeczonej, gdyby tam — w Rosji — przytrafiło jej się nieszczęście — takie, jak mnie...

Udałem, że nie rozumiem.

— Ach! Jakiś ty niedomyślny!

— Gdybyś go zdradziła? Zachwiała się swych uczuciach?

— Nie... to nie to...

Umilkła — w oczach łzy...

— Nie... nie... nie mogę. Chciałabym ci opowiedzieć wszystko, odkryć moją tajemnicę, ale język odmawia posłuszeństwa... wstydzę się...

Przerwała, i splótłszy ręce, objęła niemi kolana i siedziała tak nieruchoma, patrząc na zachód. Morze było spokojne i zdawało się olbrzymiem zwierciadłem. Różowiały jeszcze wierzchołki gór, ale miasto tonęło już w sinofioletowej mgle, a zatoka wydawała się czarna.

— Niko!

— Co takiego?

— Jesteś smutna...

Otrząsnęła się, obtarła łzy i smutno uśmiechnęła.

— Boję się spokojnego morza, ciągnie mię ku sobie tym spokojem, mani w swe tajemnicze głębie. Wolę, gdy burzy się, szumi, lśni. Spokojne morze przypomina mi śmierć. Wieczny odpoczynek! Chodźmy! Straszno mi czegoś! Daj rękę! Widocznie kiedyś utonę w morzu. Często śni mi się pożar na okręcie... ja wierzę w prorocze sny. Czy pamiętasz, jaki miałam sen w przeddzień otrzymania radosnej wiadomości, którą przywiozłeś mi z Sewastopola? Nieraz miałam taki wypadek. A w tej chwili patrzyłam na wodę i zdawało mi się, że tonę. Teraz często śni mi się spotkanie z Włodeczkiem: on przechodzi i nie poznaje mnie. Ja przywołuję go, śmieję się do niego radośnie, a on nie chce się odwrócić... taki smutny...

Zamilkła, a potem cicho rzekła:

— Znaczy się, że nie przebaczy...

Zajrzała mi w oczy.

— Ty... tybyś przebaczył — jestem tego pewna... Taki jesteś! A on bardzo jest hardy, ciężko mu będzie przebaczyć. O Boże! jak ja się boję pierwszego spotkania. Tak cierpię z powodu rozłąki, tak marzę o zobaczeniu się z nim... i... Napisałam do niego list... niech najpierw przeczyta... Może nie zechce przebaczyć! w takim razie lepiej byśmy się więcej nie widzieli. I wszystko będzie skończone!

— Czy podczas rozłąki zakochałaś się w kim innym, Niko?

— Nie. Nawet myślą nie zgrzeszyłam wobec niego.

Wieczorem grała na fortepianie i całą duszą utonęła w muzyce. Gdy rozeszliśmy się do swych

pokoi, rozmyślałem — podniecony muzyką, w której wypowiadała się umęczona dusza kobieca — i starałem się odgadnąć tę dziwną tajemnicę. Wtem lekkie pukanie do drzwi i cichy głos, od którego zadrżało serce:

— Czy śpisz?

— Nie jeszcze... można... wejdź...

— Chcę, żebyś przeczytał mój list do Włodeczka.

— Wejdź — proszę...

— Nie... nie chcę... Tyś dla mnie jak brat — przeczytaj i powiedz: przebaczyłbyś, czy nie? Mógłbyś kochać — jak dawniej — czy też nabrałbyś wstrętu?

Przez półotwarte drzwi wsunęła grubą niezaklejoną kopertę i szczelnie zamknęła drzwi. Uciekła.

List do Włodeczka! Ona prosi, żeby go przeczytać! Dlaczego jakby coś nie pozwalało mi tego uczynić?

Chodziłem po mym pokoju z listem w ręku i miałem wrażenie, że za chwilę zrobię jakąś podłość. Jakbym przez szparę podglądał, co się dzieje w sąsiednim pokoju. Ależ przecież wolno mi przeczytać, proszono mnie o to! Czy też dałaby mi ten list, gdyby wiedziała, że ją kocham w tajemnicy i męce że jestem zazdrosny o Włodeczka, że wciąż czekam na coś i czegoś się spodziewam. Mam przeczytać, aby powiedzieć jej, czy darowałbym to tajemnicze dziecko? To ja—obłudny w swem postępowaniu — powinienbym prosić przebaczenia. Kocham cię całą, ze wszystkiemi twemi grzechami, przeszłością i przyszłością.

Opanowany poczuciem swej winy pobiegłem do pokoju Niki, ale drzwi były zamknięte.

— Niko! Śpisz?...

Cisza. Słucham... płacze... miłość zrodzona z cierpienia. Te łzy budzą we mnie złość na Włodeczka. W takich chwilach nienawidzę go. Patrzcie państwo! taki dumny — i trudno mu będzie... Ale ostatecznie w czem jest jej wina wobec tego bóstwa? Muszę wiedzieć, aby w razie czego móc jej bronić jak brat, jak przyjaciel, który wyrwał ją z objęć śmierci i ma wobec tego i nadal prawo i obowiązek bronienia jej przed życiem.

Wróciłem i usiadłem przy biurku. Muszę przeczytać!...

XVIII.

Włodzimierzu!

Nie gniewaj się za ten zimny zwrot! Kocham cię, jak dawniej, nie — daleko silniej, niż dawniej. W mej duszy zebrało się tyle tęsknoty za tobą, że wyrywają się z niej słowa pieszczoty, ale boję się inaczej do ciebie odezwać, gdyż... moja serdeczność mogłaby okazać się zbyteczna wraz z moją splugawioną miłością. Dlatego piszę do ciebie przedtem, nim się zobaczymy. Kto wie, może gdy dowiesz się o tem strasznem, co się ze mną stało — będzie lepiej, byśmy się nigdy więcej nie spotkali. Muszę przedtem wiedzieć, czy możesz kochać mię taką, jaką dziś jestem...

Gdy bolszewicy weszli do miasta, zaczęły się dni okropności, których opisywać ci nie potrzebuję. Sam to widziałeś. Do Charkowa przyjechali specjalni oprawcy robić z nami porządek. Zaczęły się areszty, rewizje, rozstrzelania, zabieranie zakładników. Przedewszystkiem ukryliśmy tatusia, gdyż „oni" wyszukiwali i zabijali wszystkich sądowników. Zostałam się w mieszkaniu sama z Tanią. Zaraz następnego dnia przyszli po tatusia.. powiedziałyśmy, że pojechał do Nieżyna. Zabrali mi wszystkie klejnoty... ocaliłam tylko medaljon — twój dar — z twoją fotografją. Tatuś ukrywał się u naszego chłopa z pod Czernichowa, który był stróżem w jednym z domów na Mikołajewskiej ulicy. Znasz go — był kiedyś u nas w kuchni i pił herbatę — i tyś z nim rozmawiał. Przebrał on ta-

tusia w swoje ubranie i przedstawiał za swego brata. Nie widywaliśmy się, tylko Semen oddawał mu nasze karteczki. Było umówione, że będziemy kłaść je w miejskim ogrodzie do urny: wieczorem Tania chodziła po kartki od tatusia i kładła nasze, które Semen następnie zabierał. Tak minęło kilka dni... potem zaczęto wzywać mnie na przesłuchania i żądać, abym powiedziała, gdzie się ojciec ukrywa. Krzyczano na mnie, grożono aresztem, rozstrzelaniem... ja zaś powtarzałam, że ojciec wyjechał do Nieżyna, a gdzie jest obecnie — nie wiem. Badał mnie jakiś zwierz, podobny do cygana, ale mimo wszystko z pewną ogładą. Wciąż pytał, kto to jest na fotografji razem ze mną. Gdy powiedziałam, że to mój nieżyjący narzeczony, zaczął szydzić i wypytywać... cynicznie i plugawie, mówić różne łajdactwa, co doprowadziło mnie do takiej pasji, że dałam mu w twarz. Myślałam, że mnie potem rozstrzelają, ale cygan roześmiał się i powiedział: brawo, towarzyszko, aprobuję! Stał się grzeczniejszy, nawet usłużny i zaczął okazywać, że umie być galantem wobec dam. Kiedyś przyszedł do naszego mieszkania i zachowywał się, jak gość na wizycie. Ubolewał nade mną i radził, bym wyszła za niego zamąż. Moje męki podwoiły się: przy każdem badaniu oświadczał mi się z miłością: raz krzyczał i tupał nogami, chwytał za rewolwer, to znów był pokorny i łagodny. Wtedy wydawał mi się jeszcze straszniejszy.

Wtem nasza korespondencja się urwała. Niema listów od tatusia, a nasze leżą w urnie niezabrane. Znaczy się, że coś się stało!... Tania poszła się dowiadywać. Było niebezpiecznie iść prosto do owego stróża — mogli śledzić i odkryć schronienie tatusia. Zdaleka tylko pilnowała, czy Se-

men nie idzie. Wkońcu spotkała go i upatrzywszy odpowiednią chwilę, zapytała. Okazało się, że przeczytali w gazecie, iż wzięto mnie jako zakładniczkę wobec zaginięnia ojca, i wtedy tatuś, chcąc mnie ratować, sam poszedł do CZEKA i oddał się w ich ręce. Wpadłam w rozpacz, szalałam, szukając ratunku. Wiesz — jak go kochałam — gotowa byłam oddać życie za niego! Zaczęłam biegać do zakochanego we mnie zwierza i błagać, by zamiast ojca rozstrzelali mnie. Byłam nieprzytomna: żyć z myślą, że w każdej chwili może tam właśnie jego zabijają — było męczeństwem — można było dostać obłędu — a ja byłam pod taką grozą przez cały tydzień! Codzień w gazecie była podawana lista rozstrzelanych poprzedniego dnia. Kiedy Tania kupowała i przynosiła do domu gazetę z taką listą, ukrywałam się, — słuchałam, jak ona się zachowuje, ale bałam się spytać. A gdy podchodziła do zamkniętych drzwi i pukała, mówiąc:

„Dzięki Bogu! niema naszego pana"

dostawałam ataku śmiechu i płaczu zarazem, a potem zapadałam w ciężki sen i budziłam się zupełnie rozbita. Nocami słyszałam jego drogi głos, wołający mnie po imieniu, kroki i kaszel w gabinecie, a raz widziałam tatusia przy biurku. Weszłam do gabinetu i zobaczyłam dokładnie jego plecy i pochyloną głowę... Zemdlałam...

Tego samego wieczora po mojem omdleniu zjawił się ten nieproszony gość, sędzia czy prokurator — nie wiem. Leżałam na kanapie w stanie sennego znieczulenia. Słyszałam, że Tania rozmawiała z kimś, na kogoś się gniewa i kłóci się... Opowiadała mi potem, że nie chciała go wpuścić, ale ten zwierz powiedział jej, że ja mogę ocalić ojca od śmierci, jeżeli on skłoni mnie do przyznania się

do czegoś. Wtedy ktoś wszedł na palcach do pokoju... ja to słyszałam, ale było mi wszystko obojętne... Słyszałam, jak zgrzytnął klucz przekręcony w zamku, ale nie wydało mi się to dziwne... wszystkie odgłosy i dźwięki wydawały się normalne i nie dochodziły do mych drzemiących zmysłów. Dopiero głos, który nazwał mnie po imieniu! krzyknęłam i usiadłam. Nie odrazu poznałam stojącego przedemną człowieka...

— Czy mogę usiąść?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, już siedział przy mnie.

— Przyjechałem spytać się... czy chcesz ratować ojca? Jest naznaczony do rozstrzelania na jutrzejszą noc...

— Tatusia... rozstrzelają... mojego najdroższego...

Zaszlochałam, padłszy głową na wałek kanapy. On pochylił się nade mną, objął mnie i szepnął do ucha, jak szatan:

— Wyratuję ci ojca, jeżeli ty...

Dotknał zuchwale mojego ciała i parsknął mi w ucho, jak koń:

— Oddaj mi się... nic ci się nie stanie... a ojca oswobodzę... chcesz?

— Tatusiu!

— Pocałuj raz i koniec! Czyż życie ojcowskie nie warte tyle?

— Pan może uratować tatusia... tak... tatusia!...

— No tak. Twojego ojca... masz... powąchaj...

Byłam bezwolna, bezwładna, podlegałam — jak w hipnozie — jakieś tajemniczej sile...

— Będziesz moja... i koniec... I tatusia uratujesz... wszystko głupstwo... tylko przesądy!...

Co on mi dał powąchać? Kręci mi się w głowie, jak pijanej — kanapa się pode mną chwieje...

Dlaczego on drze moją suknię?...

— Co ty! Po co? Ktoś ty?... Precz!...

— Milcz! Ach ty, moja miła... Tatusia uratujemy...

Gdy wróciła mi przytomność, leżałam poszarpana, splugawiona i nie odrazu zrozumiałam, co się stało.

Gdy pojęłam, chciałam wyskoczyć przez okno. Wypadkiem weszła Tania i zatrzymała mnie. Rozchorowałam się i... wyżyłam. I jeszcze raz zdecydowałam się umrzeć, i znów mi przeszkodzono.

Włodzimierzu! jestem w ciąży!... nienawidzę tego dziecka, które noszę pod sercem!...

Czy możesz mi przebaczyć?

Czy jestem wobec ciebie winna?

Czy możesz kochać mnie — taką zhańbioną?

Odpisz mi! Jeżeli masz jakiekolwiek wątpliwości, lepiej byśmy się nigdy już nie spotkali. Wiem, że będzie ci cizko, gdyż to zohydziło twoją miłość. Jeżeli zawiniłam, to tylko tem, że nie znalazłam w sobie dość siły, aby umrzeć czystą... Myślę często o tem, czy przyjąłby moją ofiarę biedny drogi tatuś, rozstrzelany na drugi dzień po tym wypadku. Ale on napewno mi przebaczył, i tylko tą myślą teraz żyję.

Weronika Berezań.

Trudno opisać moje wrazenie po przeczytaniu tego listu. Wstyd się przyznać — rozpłakałem się jak dziecko. Zapłakałem w poczuciu bezkarności za najcięższą krzywdę, jaką człowiek człowiekowi może zrobić. Jeżeli istnieje Najwyższy Sędzia

naszych postępków — jak może On pozwolić na taką ohydę! Sąd historji! Ależ my wszyscy zginiemy do tego czasu, — a zresztą — ten sąd — patrzący ze zbyt górnych sfer na ziemskie sprawy — uznaje nieraz zbrodnie za bohaterstwo, gwałt — za czyn heroiczny, a zbrodniarzy — za bojowników sprawiedliwości! Jak też ziemia może nosić takich Kainów! Czy też ten „Włodeczek". nie odczuje, nie zrozumie, że miłość Weroniki nie jest splugawiona, a umęczona — jak Chrystus — na krzyżu, który los zgotował rosyjskim kobietom? Tej zhańbionej należy się szacunek — ona jest dla mnie jak święta męczennica! A ona jeszcze pyta, czy jest godna naszej miłości?

Czy jabym jej przebaczył? Ależ ja gotów jestem ubóstwiać jej cierpienie!

Nie spałem całą noc — kilka razy podchodziłem pod drzwi Weroniki. Stałem ze spuszczoną głową, jak przed Golgotą.

Jeżeli do tej pory bywało grzeszne moje dla niej uczucie, to obecnie pozostało tylko pełne szacunku zrozumienie jej krzywdy. Pozostał we mnie tylko „człowiek" przyjaciel, brat. Właśnie taki, jakim ona sobie mnie wyobraziła.

Odchodząc od drzwi, zrobiłem przed niemi znak krzyża.

Rozmyślałem wciąż, co zrobić, aby do tego strasznego nieszczęścia i niesprawiedliwości nie dołączyła się jeszcze jaka zniewaga od nieznanego Włodeczka. Nie odczuwałem już ku niemu zazdrości, a zdawało mi się, że powinienem stać się kowalem cudzego szczęścia. W głowie roiły się różne projekty. Jeżeli ów Włodeczek jest człowiekiem dumnym, niezdolnym objąć i zrozumieć tego faktu zhańbienia ciała kochanej kobiety, to może

byłoby lepiej ukryć przed nim prawdę. Gdy urodzi się dziecko, wezmę je, uznam za swoje i wywiozę daleko — zniknę. Tylko czy ona zgodzi się na to zbawcze kłamstwo? Czy ta czysta dusza potrafi ukryć cokolwiek przed ukochanym człowiekiem? W każdym razie byłoby lepiej dla nich obojga, aby spotkanie nastąpiło już po urodzeniu dziecka. Należy nie dopuścić do wcześniejszego widzenia, aby Włodeczek nie widział jej w tym stanie. No, a jeżeli Włodeczek okaże się zbyt tępy, aby to zrozumieć? Ach, gdyby ona mogła jeżeli już nie pokochać mnie, to poczuć ku mnie skłonność — jako do mężczyzny. Czyż to niemożliwe, czy takie sympatje między osobami odmiennej płci nie przechodzą nieraz w małżeństwo? Jeżeli jest jej sądzone znieść jeszcze jeden cios do Włodeczka, dlaczego nie miałbym zająć miejsca w sercu Niki, które będzie wtedy wolne? Nie odrazu — a potrosze, gotów jestem służyć jej przez całe życie tylko za trochę nadziei. Nawet gdyby nie spełniła się, będę szczęśliwy — i kto wie, czy pod ochroną miłości braterskiej nie zatli się iskierka innego uczucia. Podobno kropla wody i kamień poruszy.

Rano spotkaliśmy się przy herbacie niby winowajcy. Nika czerwieniała i spuszczała oczy, jakby lękała się mnie. Bała się widocznie rozmowy na temat przeczytanego listu.

Najdroższa! Jak piękną jest w swej dziewiczej wstydliwości!

XIX.

Włożyłem list zpowrotem do koperty i położyłem na biureczku Niki podczas jej nieobecności. Nie poruszałem tego tematu — czekając na zapytanie — ale pytanie nie nastąpiło. O co miała pytać? Widziała wszystko, czuła i rozumowała z mych oczu, patrzących na nią z czułością, z mego głosu, z mej podwojonej czujności wobec jej słów, gestów i spojrzeń, które nauczyłem się zgadywać. Gdy spotkały się nasze oczy—oboje odczuwaliśmy pewne zakłopotanie i smutno uśmiechaliśmy się do siebie, a z jej żałosnych minek i ukradkowych spojrzeń czułem, że ona tem milczeniem dziękuje mi za niewypowiedziane uczucia.

Zwierzona tajemnica połączyła nasze dusze jakimś nowym niewidzialnym węzłem — subtelnym a silnym, dla którego brak właściwej nazwy. Przez to, że wiedziałem wszystko, co ona przeszła, a ona wiedziała, że ja wiem — nasza przyjaźń weszła w nową fazę, w nowy stan duchowy. Tak z amalgamatu wypławia się czysty metal. Nasz wzajemny stosunek jakby uświęcił się przez tę tajemnicę i przybrał świąteczną formę. Najdziwniejsze, że przy tem duchowem zbliżeniu coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie fizycznie — staraliśmy się usilnie skrywać przed sobą wszelkie drobne wypadki powszedniego wspólnego życia, jakby bojąc się obrazić prozą bytu tę duchową spójnię. Zmieniły się nawet formy naszego codziennego życia— było w niem więcej piękna, czystości, delikatno-

ści, ostrożności. Jeszcze cieplejszym tonem brzmiało jej „ty“ i przestał dźwięczeć odcień poufałości w jej „Janku“. Było w niem coś zupełnie różnego od dawnego „Janeczka“: serdeczność i zaufanie, a nie poprostu zdrobniała nazwa, jak poprzednio. I w mojem „Niko“ dźwięczała nowa nuta: wymawiałem to imię tak jakoś delikatnie i śpiewnie, i chwytałem wtedy na twarzy Weroniki radosny odblask lekkiego uśmiechu.

Nawet i nasz domek jakby zmieniał się od wewnątrz i od zewnątrz jakby też przyjmował udział w tajemnicy. Zdawał się uśmiechać do nas i mówić: nie lękajcie się, wiem wszystko — nikomu nie powiem.

Naokoło kwiaty, biel — wszystko błyszczy — świątecznie i uroczyście. Nika chodzi stale skromnie biało ubrana, co czyni ją podobną do polnego kwiatu z rodzinnych stron. Ja staram się jak najbardziej ukryć wszelkie niedokładności mej toalety. Nasze wspólne obiady i herbaty przechodzą uroczyście. I w mej miłości zgorzało wszystko ziemskie — uświęciła się i oczyściła — kocham ją spokojnie, głęboko i tylko pełnią duszy. Tak kocha się dzieci.

Sądziłem, że ta zmiana — to tylko moje osobiste wrażenie, które w innem świetle przedstawia wszystko wokoło. Ale przyjechała odwiedzić nas Marja Mikołajewna i zrobiła podejrzliwą i zdziwioną minę.

— Co się tu u was stało? Dlaczego tak uroczyście? Czy które z was obchodzi imieniny, urodziny lub coś podobnego?

— Nie.

— Pan wygląda tak, jakby miał się oświadczać!

Straszliwie podejrzliwa jest ta Marja Mikołajewna! Gdy Nika wyszła z pokoju—obrzuciła mnie przenikliwym wzrokiem i spytała:

— Mówiąc między nami — fikcja małżeństwa się chwieje?

Wzruszyłem ramionami.

— Słyszy pani, że dzwonią — tylko nie wie w jakim kościele.

— Wasz męski dzwon — wiem doskonale skąd dzwoni, ale ona... nie rozumiem zupełnie... Cóż... nic niema wiecznego pod słońcem... dla niej byłaby to może najlepsza droga wyjścia. Nie wierzę w możliwość jej szczęścia z Włodzimierzem. Obejrzała się wokoło, nachyliła ku mnie i cicho, nie bez pewnego szyderstwa w głosie, rzekła:

— Że pan jest w niej zakochany — nigdy nie wątpiłam. Nie ukryje się szydło w worku!

— Od kiedy została pani swatką?

— Cicho! Ona idzie!

— Janku! chciałeś się kąpać, nie krępuj się, idź — kochanie!

Marja spojrzała przenikliwie na Weronikę, poprawiła binokle i rzekła w moją stronę:

— Kochanie!... możesz iść!... Pozwalają!

Dziwne, że podejrzliwość Marji, która w tak prymitywny sposób zrozumiała zmianę w naszych stosunkach, nie rozgniewała mnie, a ucieszyła. Przecież gdzieś w zakątku mojej duszy tkwiła nadzieja, że kiedyś Nika mogaby zapomnieć o tamtym, a pokochać mnie, a podejrzenia Marji jakby potwierdzały tę możliwość. Przecież ja nie wierzę we Włodeczka i sama Nika nie wierzy, bo gdyby wierzyła, nie pytałaby: „czy możesz przebaczyć"? A jeżeli nie przebaczy — z dumą odepchnie! Czyż nie ma racji Marja, że w takim razie ja zostanę spadkobiercą szczęścia. Poczułem w na-

szej doktorce tajnego sprzymierzeńca — ale przestraszyłem się, żeby nie zaczęła rozmawiać na ten temat z Weroniką i nie zepsuła wszystkiego przez przedwczesny zamach na jej miłość ku tamtemu.

— Nie pójdę się kąpać, Niko.

— Dlaczego — źle się czujesz?

— Nie chce mi się — a zwłaszcza — szkoda mi was zostawiać.

— Umówmy się: czy panu żal opuszczać Nikę, czy mnie?

— Was obie.

— Tak odpowiadają chytre dzieci, gdy pytają ich: kogo bardziej kochają, mamusię czy tatusia.

Nika zaśmiała się, a ja dodałem:

„Przyzwyczajenie — od nieba dana... szczęścia zmiana".

— No, a gdybym zabrała Weronikę do Symferopola? ale na stałe, nie chwilowo?

Spojrzałem ukradkiem na Nikę, a widząc na jej twarzy cień zdziwienia czy protestu, odparłem:

— Musiałaby pani zabrać i mnie — jesteśmy nierozłączeni.

Nika znów serdecznie się roześmiała i dodała:

— To prawda. Nie mogę już sobie wyobrazić dnia bez niego.

— Nawet jednego dnia!

Gorąca fala radości zalała mi duszę: tak szczere i proste było jej powiedzenie. Żartem tak się nie mówi! Wstałem i poszedłem po papierośnicę, którą miałem w kieszeni, aby ukryć swe wzruszenie. Byłem szczęśliwy, lekki, nie czułem — jak to się mówi — ziemi pod stopami, ale gdy wróciłem, zastałem zupełną zmianę nastroju. Jakby sprzeczka — Nika zmieszana, wystraszona, jakby obrażona. Co się stało? Tak szybko! Udawałem, że nic nie zauważyłem, ale...

— Ktoś przyszedł do pana, — krzyknęła przez okno Sasza, nasza kucharka i pokojowa w jednej osobie.

Wszystkim było to na rękę — odetchnęliśmy z ulgą — ja poszedłem do domu, gdzie znalazłem rzadkiego gościa, doktora Kozłowskiego. Zaprowadziłem go zaraz do altanki ku wielkiej radości pań, zwłaszcza Marji, jego pierwszej niefortunnej miłości. I znów trzeba grać rolę męża i żony. Marja szelmowsko się uśmiecha.

— Tu u was, jak w raju. Różnica tylko w tem, że nie zostaliście z niego wypędzeni po grzechu takiej pasji, że dałam mu twarz. Myślałam, że pierworodnym.

Zakłopotanie. Ja zażartowałem:

— Ten raj należy do Marji Mikołajewny, a ona jest pobłażliwa dla ludzkich grzechów. Nie wypędza!

Po herbacie Marja ułowiła odpowiednią chwilę i szepnęła do mnie:

— Niech pan sobie idzie, tak, aby Weronika wiedziała, że pana niema w domu.

Spojrzałem zdziwiony.

— Nie rozumie pan? Chcę razem z doktorem zbadać ją, jak przechodzi ciąża.

— Pójdę do kąpieli...

— Doskonale.

W tym momencie przyszło mi do głowy, czy wypadkiem nie mają oni zamiaru uwolnić Niki od przeklętego dziecka.

— Proszę pani, jedno słowo... jeżeli... jeżeli to spodziewane dziecko jest nikomu niepotrzebne... jeżeli jest zawadą... to ja je zabiorę i uznam za swoje...

Odwróciłem się i poszedłem ku wyjściu.

XX.

Kiedyś — było to zdaje się w końcu maja — do lazaretu Mikołaja Matwiejewicza, gdzie nadal pracowałem, przywieziono nowy transport rannych z pod Aleksandrowska, świeżo odebranego bolszewikom. Od jednego z nich dowiedziałem się, że pod Aleksandrowskiem wzięto pociąg z personelem lekarskim, między którym była jakaś siostra miłosierdzia, dopytująca się o kogoś, noszącego moje nazwisko. Niestety, — nie pamiętał nazwiska tej siostry. Zajęty nawałem pracy, nie zwróciłem na to uwagi: wiele ludzi nosi takie samo nazwisko, a ja nie miałem między swemi znajomemi osób, które poszłyby jako sanitarjuszki do bolszewików.

Minął tydzień i zupełnie o tem zapomniałem. Pewnego wieczora, odpoczywając zmęczony w naszej altance z książką w ręku, udawałem, że czytam, słuchając dochodzącej przez okno muzyki. Nika grała nocturny Chopina i te dźwięki unosiły moją duszę daleko od książki, od ludzi — od rzeczywistości. Chwilami czytanie zmieniało się w nieuchwytne marzenie o nieziszczalnem, o tem, co mogłoby być, — ale się nigdy nie stanie. Wtem zabrzmiał głos kobiecy, wymawiający moje nazwisko. Muzyka ucichła i usłyszałem dwa głosy: jeden znajomy bliski — głos Niki, drugi — nieznajomy. Potem okrzyk Niki przez okno:

— Janku! Chodź prędzej! czeka cię taka radość!

Nika spotkała mnie na ganku, wzięła pod rękę i poprowadziła ku domowi z radosnym uśmiechem. Gdy weszliśmy, zobaczyłem... kobietę w brzydkim, pogniecionym kapeluszu, w grubych butach, ze zmęczoną i złą twarzą, z papierosem w ustach, siedzącą w męskiej pozie na kanapie...

— Dzień dobry, Iwanie Piotrowiczu!

Z mej pytającej miny zrozumiała, że jej nie poznaję i kiwając z wyrzutem głową, zagasiła papierosa w popielniczce i rzekła z westchnieniem:

— Dobry sobie, nawet nie poznaje!

— Nadia!...

— Nareszcie!

Zmieszana takiem powitaniem Nika śpiesznie zostawiła nas samych. Nie umiem wyrazić mego zakłopotania, przestrachu, upokorzenia, które odczułem na widok mej dawnej narzeczonej, której fotografja stojąca u mnie na biurku i otoczona różami, w niczem nie przypomniała obecnego oryginału. W najdalszych przypuszczeniach, nie mogłem sobie wyobrazić, aby w ciągu sześciu lat mogła zajść taka metamorfoza. Nadia była brzydka, niekobieca, kanciasta — mówiła ochrypłym głosem, wydawała się wielką — i wogóle jej obecność nie ucieszyła mnie, a przestraszyła.

— Pan się ożenił? spytała, gdy pochyliłem się do jej ręki.

— Nie.. — odpowiedziałem z pewnym wahaniem, które nie uszło jej uwagi.

— No... wszystko jedno... pan żyje z tą osobą...

— Mieszkam w jednym domu, w jednem mieszkaniu, ale...

— Mieszkanie ze wszystkiemi wygodami...

— Pani się myli!

— Ależ powiedziano mi, że pan jest żonaty.

— A pani już zdążyła zebrać informacje. To nowy system — bolszewicki...

— Czyż to źle? U nas wszystko robi się według dekretu i nikt przynajmniej nikogo nie oszukuje. A pan odrazu... skłamał...

— Ja nie kłamię. Ale wyjaśniać nie chcę i nie uważam za właściwe. A zresztą, paniby nie zrozumiała.

— Przyszłam tu zupełnie bez zamiaru burzenia pańskiego szczęścia. Miałam nadzieję, że nic nie przeszkodzi nam pozostać w przyjaźni, jeżeli miłość przeszła. Dlaczego pan przywitał mnie tak wrogo? Czy zrobiłam mu co złego?

— Pani... jest zbyt prostolinijna w swych sądach... Nic nie rozumiejąc, pani odrazu obrzuciła błotem istotę, godną tylko szacunku...

— Jest pan zwyczajnym burżuazyjnym szubrawcem.

Odwróciła się i wyszła. Ja stałem jak słup soli. Tak mógł się czuć człowiek związany za ręce i nogi, otrzymawszy ni stąd, ni zowąd policzek. Trzasnęły gdzieś drzwi, zaszeleściły czyjeś śpieszne kroki po piasku alejki, skrzypnęła furtka... Czy możliwe, bym kiedykolwiek kochał tą kobietę? To nie kobieta — a bolszewicki komisarz, nie rozmowa — a badanie. Przyszła i opluła nietylko swe młodzieńcze uczucie, ale i Nikę! Ogarnął mnie napad bezsilnej złości. Wpadłem do gabinetu, schwyciłem ze stołu z pośród kwiatów fotografję, rzuciłem na ziemię i zacząłem deptać nogami. Skąd to szaleństwo? Wszak było mi zupełnie obojętne — mnie, który dawno przestałem kochać Nadię—i tylko oszukiwałem otoczenie i siebie samego, ustawiając na biur-

ku jej fotografję, — co myśli o mnie ta ordynarna i brzydka kobieta. Dlaczego tak wziąłem do serca jej niezasłużone i prostackie wymysły? Rozmyślając nad tem obecnie, mógłbym objaśnić to zjawisko poprostu szyderstwem losu nad bezwolnym człowiekiem. Jak w baśni ludowej: djabeł dał złoto, które zamieniło się w błoto. Prawda—dawno przeminęła moja pierwsza miłość, ale w samym tym fakcie był miły smętek minionej młodości, smutek po czemś drogiem i na zawsze utraconem — w tem była poezja! Prawdę mówi poeta: „Zburzona świątynia zostaje świątynią, i bóstwo upadłe — jest bogiem!“ I na tle tej lirycznej melancholji tem silniej jaśniało szczęście nowe — nowe zjawisko — moja miłość ku Nice. I wtem ta zburzona świątynia i stracony ideał powstał przede mną w tak wstrętnem uosobieniu! Okrutne i złe szyderstwo losu, który obryzgał błotem nietylko zjawę niepowrotnych złudzeń, ale i nowe wcielenie ideału. Fotografja była tylko zmaterjalizowaniem tego wybryku przeznaczenia, — symbolem — i stąd pochodziła moja dzika wściekłość.

Połamawszy i zdeptawszy fotografję i ramki, poczułem naraz w sobie taki przypływ współczucia dla siebie samego, że usiadłem i ukrywszy twarz w dłoniach, zalałem się bezsilnemi łzami. Nie słyszałem, kiedy weszła Nika i zbliżyła się do biurka. Dopiero gdy położyła na mem ramieniu rękę z lekką pieszczotą i poczułem na głowie jej ciepły oddech — zadrżałem i odwróciłem się:

— To ty!... Zostaw mnie samego... potem... odejdź...

— Nie mogę, Janku! Co się stało? Ona cię już nie kocha? — spytała jakby ze strachem Nika i zaczęła delikatnie gładzić mnie po głowie.

— Biedaku mój, biedaku... myślałam, że szczęście... przyszło i do ciebie...

W jaki sposób mogłem wytłumaczyć swe głupie łzy i swój idjotyczny postępek z fotografją? Opowiedzieć o „szubrawcu", przyznać, że przez cały ten czas oszukiwałem ją i wszystkich tą fotografją — ale w takim razie dlaczego płaczę i poco ta zemsta nad niewinnym obrazkiem.

— Przestała kochać... takiego dobrego... takiego miłego...

— Przestała... — szepnąłem, nie odejmując rąk od twarzy i jeszcze głębiej tonąc w kłamstwie, ale w tej chwili instynkt drgnął pod wrażeniem tego kłamstwa i ubrałem je szczyptą prawdy:

— Ona tobie ubliżyła, i to jest dla mnie najboleśniejsze... — wyrwało mi się nagle.

— Przeze mnie! Przeze mnie! O Boże! Ja ją dogonię i opowiem całą prawdę! Poślę szukać... sama pobiegnę...

Nika poskoczyła ku drzwiom, głośno wołając na służącą.

— Nika! na miłość boską, nie trzeba, ja nie chcę!

— Jakto? Ja muszę z nią pomówić!

— Ona nic nie zrozumie, niczemu nie uwierzy, ona jest tępa, głupia, wstrętna... Jestem szczęśliwy, że jej już nie kocham! Przeszło, nic nie zostało.

— Przeze mnie... przeze mnie... — powtarzała Nika, gotowa się rozpłakać.

— Tyś mnie wyratowała... winienem ci wdzięczność... tylko wdzięczność... ona jest mi obca... płaczę po swoich złudzeniach. Nic nie było i niema. Kochałem płód swej wobraźni... zrozum... swoje przywidzenie... Rozumiesz?...

Zacząłem się śmiać, a ona patrzyła na mnie rozszerzonemi przestrachem oczami. Całowałem jej ręce powtarzając:

— Dzięki ci! uratowałaś mnie, gdyż ubliżając tobie, ona otworzyła tajniki swej duszy. Marna, podła istota! Jak mogłem kiedyś kochać taką, jak mogłem!

I znów śmiałem się, kopnąwszy nogą w kąt połamaną ramkę z fotografją.

XXI.

Prawdą jest, że najtrudniej zrozumieć siebie samego.

Dopiero wczoraj płakałem szczeremi łzami nad cieniem przeszłości, nad jakiemś upokarzającem szyderstwem losu. Płakałem, niszcząc stworzoną przez siebie zabawkę z wizerunku czegoś, co dawno minęło. Dopiero wczoraj grałem arcydramatyczną rolę, wyciskając łzy z oczu jedynej spektatorki — mej ukochanej. Obudziwszy się nazajutrz rano, poczułem się tak, jakbym szczęśliwie przeskoczył ponad głęboką przepaścią i pozostawił poza sobą główną przeszkodę do nowego życia i nowego szczęścia. Odrazu przeszła senność: przez otwarte okno biła radość wiosennego ranka, cudny błękit nieba, zielone plamy ogródka, świergot ptaków, wilgotne powietrze pełne aromatów morza i kwiatów. Zerwałem się z łóżka i nieubrany wyjrzałem przez okno na te cuda przyrody. Lśniąca tafla morska, złotemi blaskami uśmiechająca się do słońca, maniła przestworzem, swobodą, liljowemi mgiełkami i wszystko zdawało się cieszyć razem ze mną z mego wyzwolenia. Wczorajsze przejścia wydawały się czemś nie dramatycznem, a komicznem, i musiałem wstrzymywać się od głośnego, radosnego śmiechu. „Zwyczajny burżuazyjny szubrawiec“. Nie zwykły „szubrawiec“, a z dwoma przydomkami „zwyczajny i burżuazyjny“. Wspaniałe! Takie dokładne określenie mego „ja‘, jak z gimnazjalnego podręcznika przyrody. Dlaczego wczoraj

nie roześmiałem się, a cierpiałem? Nie rozumiem. I po co podarłem nic niewinną fotografję?

Wyjąłem podarty obrazek z połamanej ramki i wpatrzyłem się w smutne oczy dziewczyny. Przecież to nie ona, nie ta sama, co wczoraj! Sześć lat życia upodliło człowieka! Położyłem fotografję na oknie i zacząłem się pośpiesznie ubierać. Zapragnąłem pogrążyć się w morskie fale, lazurowe, lśniące i kuszące. Miasteczko już dawno się obudziło — czyściutkie, wesołe — rybacy powrócili już z połowu i wyładowali ryby, błyszczące w słońcu jak roztopiony ołów. Na bazarze rozlegały się gardłowe głosy krzykliwych jaskrawo ubranych Greków i Tatarów. W zatoce kołysały się rybackie barki, czółna i motorówki. Wilgotne morskie powietrze przenikało wszystko i krzepiło duszę i ciało. Dobrze jest żyć! zdawał się mówić każdy domek, każde drzewko, każdy kamyczek — zielone i żółte góry, łódki, żaglówki, piasek w muszelkach. Poczułem radość bytu, zanurzywszy się w zielonych morskich odmętach: tak samo muszą się czuć igrające delfiny. Nie umiałem przerwać tej rozkoszy i wyjść z wody — pociągała jeszcze i jeszcze. Chciwość nienasycenia.

Gdy wracałem do domu z kąpieli, czułem się jakby odrodzony, jakbym zmył z siebie wszystko kłamstwo, oplątujące — jak sieć pajęcza — mą duszę. Jak byłoby cudnie pójść i powiedzieć całą prawdę: że kocham ją — Nikę — oddawna, że fotografja była tylko parawanem, za którym kryłem swą prawdziwą miłość, że zupełnie nie cierpię z powodu zerwania z dawną narzeczoną — a przeciwnie, cieszę się, jako z ostatecznego wyzwolenia od całej przeszłości. Jak to trudno być szczerym i uczciwym. Kłamstwo jest tem straszne, że zobo-

wiązuje. Jeżeli zrobię komedję z wczorajszych dramatycznych przeżyć — to jakim marnym i śmiesznym się okażę! Ona wczoraj płakała i cierpiała za mnie, ona wierzy w mój dramat — a tymczasem bohater okaże się nagle symulantem-aktorem. Jeżeli przyjdę dziś wesoły, radosny, z uczuciem skrzydeł u ramion po wczorajszej scenie, to obrażę tem uczucia Niki, to będzie wyszydzaniem jej duszy.

Gdy wchodziłem na górę, spotkałem w winnicy naszą służącą.

— To pani posłała mnie szukać pana.... bardzo się niepokoi, gdzie się pan podział...

— Kąpałem się.

— Bardzo długo pan siedział...

Widocznie ona się boi, bym nie popełnił samobójstwa. Nie wypada mi być wesołym, szczęśliwym, śmiać się jakby nic się nie stało. Niestety, trzeba nadal grać rolę dramatycznego amanta... I znów mam minę zachmurzoną, smutną, rozczarowaną — jak prawdziwy „bohater". Idę za pokojówką, a ona ogląda się co chwila — czy nie uciekłem, prowadzi jak na sznureczku.

— Bo pani zapukała do gabinetu, a odpowiedzi nie ma. Zajrzała — pusto — wybiegła do ogrodu — też niema nikogo.... Nigdy jeszcze pan tak wcześnie nie wstał...

No — naturalnie — ona cierpi za mnie, boi się o moje życie. Pewno zobaczyła na oknie wyprostowaną fotografję i zrozumiała po swojemu, może nawet szukała pożegnalnego listu. Naturalnie! zachciało się jej uratować mnie tak, jak ongi ja ratowałem ją w Noworosyjsku. Nie, nie mogę zrobić z tego komedji, trzeba dalej grać swą rolę.

— Janek! Gdzieś ty, kochany, zginął tak od rana?

Stoi na ganeczku z miną radosną i zatrwożoną — w oczach wymówki, na ustach śmiech...

— Nie mogłem spać... poszedłem do morza... kąpałem się...

— Wyglądasz na zmęczonego...

— Czyż tak? Poprostu z niewyspania.

Jestem znów poważny, zamyślony, chwilami — ponury, pełen niewypowiedzanego cierpienia. Ona ukrywa swój przestrach, patrzy na mnie ukradkiem i żałośnie. Boi się dotknąć mnie nietylko nieostrożnym wyrazem, ale nawet spojrzeniem. Gdy poruszę się lub zacznę rozmawiać o zwykłych bagatelkach — jest niespokojna.

— No tak!...

— Co ty mówisz, Janku?

Mówię, że wszystko zawsze dobrze się kończy na tym najlepszym ze światów.

Milczenie. Znieruchomiała, upuściła łyżeczkę.

— Połóż się.

— Nie chcę, nie usnę...

— Może zasłonić okna... opuścić żaluzję?

Idę do gabinetu i zamykam się, słyszę jak od czasu do czasu Nika podchodzi do drzwi i przysłuchje się, czy śpię. Muszę udawać śpiącego i robić smutny wyraz twarzy. Robię to nie w celu oszukania jej, a przez delikatność wobec jej współczucia. Inego wyjścia nie mam. W domku panuje martwa cisza — rzecz prosta — dla mnie: ja śpię i nikt nie może zakłócać spokoju biednego cierpiącego człowieka. Dla niej — jestem biednym i cierpiącym, a dla tamtej „zwyczajnym burżuazyjnym szubrawcem". Kim jestem wreszcie naprawdę? Kłamca — symulant! Ale wszystko — co czynię — to z miłości dla Niki. Innych motywów niema w mem postępowaniu. Mędrcy twierdzą, że życie — to resztki tea-

tralne, a ludzie — to aktorzy. Dużo w tem prawdy: obecnie jestem rzeczywiście aktorem. A ona? Nika? Wielka dusza, pełna dobroci, ciepła, miłości — potrzebujących ujścia. Dopomaga jej wyobraźnia. Ale ona nie gra, nie udaje, poprostu żyje i dusza jej promieniuje tak, jak pachną kwiaty. Względem mnie zachowuje się troskliwie i delikatnie, jak wobec ciężko chorego. Tak płyną dni za dniami — w ciszy ale i w jakiemś trwożnem naprężeniu. Jak w domu, gdzie leży ciężko chory najdroższy człowiek.

Utrzymawszy się przez jakiś czas w charakterze zbolałego, zaczynam powoli „przychodzić do zdrowia". Siedzę i uśmiecham się w zadumie, ona się cieszy, na jej twarzy — też pojawia się uśmiech.

— „Przeszło" i „nie było" są równoznaczne, — wymawiam twardo i pewnie.

— Tak myślisz?

— Tak. Niema na świecie szczęścia wiecznego, ani niedoli bez końca.

— To prawda.

— Kto wyjeżdża na długo, powinien powiedzieć sobie: koniec miłości!

— Takich — to i kochać nie warto, i cierpieć przez nich nie warto...

— Ja, Niko, zupełnie nie cierpię... a czuję się tak, jakby po operacji. Trochę osłabienia... już przeszło.

— Czy naprawdę można tak prędko zapomnieć?

— Czasem wystarczy jedna chwila!

Stałem się rozmowniejszy, ona — weselsza. Już się mną nie opiekuje, jak kandydatem na samobójcę, ale jeszcze nie wierzy, że nie cierpię. Wie-

rzy, że bohatersko walczę z niespodzianym ciosem, że umiem kryć swe osobiste przeżycia, aby nie zaprzątać niemi otoczenia. Lecz ona to wszystko rozumie i ceni mnie jeszcze bardziej. To przebija codzień z tonu jej głosu, spojrzeń, troskliwości. Moje wyobrażane cierpienia jeszcze bardzie przywiązują do mnie jej duszę, robią ją serdeczniejszą i bardziej szczerą. Widzi we mnie jakby spowiednika, któremu pragnie mówić o wszystkich swych uczuciach i postępkach, pytać, co uczyniłby na jej miejscu. Nie leka się nawet drażliwego tematu bliskiego macierzyństwa, komplikującego się straszną tajemnicą poczęcia dziecka od czerwonego gwałciciela. Widzę, że Marja zdążyła powiedzieć jej o mojej propozycji przyjęcia dziecka za swoje i zostało to zrozumiane, jako poświęcenie z mej strony dla ułatwienia przyszłego małżeństwa z „Włodeczkiem".

Raz — kiedyś — zaczęła mówić Nika:

— Wiesz, Janku, co mię męczy?

— Powiedz.

— Tyś kiedyś powiedział Marji, że gotów byłbyś przyjąć moje dziecko za swoje.

— Tak jest. Jeżeli oddasz... bardzo chętnie. Ono jest niewinne, a może być, że... kiedyś...

— Poczekaj! Tyś taki niezwykle dobry dla mnie, serdeczny, że...

Uśmiechnęła się zakłopotana, nie umiejąc dobrać odpowiednich słów.

— Jeżeli powiedziałeś o tem jej, t. j. twojej dawnej narzeczonej... o dziecku... to rzecz prosta, że ona zrozumiała, że... no, rozumiesz mnie... Przecież to nadzwyczajne przyjąć za swoje dziecko

kobiety, którą ona znalazła tu razem z tobą. Nawet najlepsza kobieta mogła się omylić, pomyśleć, że ja...

Zaczęliśmy wtedy mówić o dziecku.

— Czyż można przed ukochanym zataić prawdę.

— Nie myślałem zupełnie, Niko, o ukrywaniu prawdy, a chciałem poprostu wybawić was od ciągłego wspomnienia tego, co się stało. Obecność tego nieszczęsnego stworzenia wśród was może stać się źródłem ciągłych cierpień dla was obojga i dla dziecka. Myślę, że będzie lepiej, jeżeli...

— Drogi mój, jedyny, rozumiem, że gotów jesteś ponieść dla mnie i tę ofiarę i cenię to. Jakiś ty dobry, najlepszy! Ale cobyś ty z dzieckiem robił? Będziesz przecież sam, bezradny. Rozumiałabym, gdybyś był żonaty i nie miał swoich dzieci, to co innego....

Ręce jej opadły i zadumała się. Potem zaczęła mówić o Włodeczku.

— Może on też się zmienił i..· taka długa okropna rozłąka... może i dla niego jestem tylko widmem przeszłości. On tak zachwycał się memi warkoczami, on nie lubił kobiet z krótkiemi włosami...

Milczenie.

— Tyś dzielny, jak ty umiesz panować nad sobą. Jakbym ja chciała mieć taką silną wolę! W naszej miłości jest coś poddańczego — poddajemy się zwycięzcy — robimy się niewolnicami uczucia.

— I wśród was różnie bywa.

— Przynajmniej ja jestem taka — bezbronna— ja nie wiem, coby było się stało ze mną, gdyby nie wypadkowe spotkanie ciebie na drodze mego życia.

Znów milczenie, smutny uśmiech.

— I teraz, mój drogi, myślę często, że cokolwiekby się dziś stało, mam wiernego przyjaciela, obrońcę, co kocha mnie bezinteresownie...

Przerwała cichem pytaniem:

— Czy tak?

— Cokolwiek się stanie, pamiętaj, że nie jesteś sama...

— Wtedy, gdy zginąłeś po zerwaniu z twoją Nadią, tak się wystraszyłam! Poczułam, że zbliża się coś strasznego. Błysnęła myśl, iż może zechcesz zrobić to, co ja wtedy... Kocham was obu, Włodeczka i ciebie, każdego z was inaczej, ale jednakowo silnie i głęboko.

XXII.

„Nam — ziemia i wola, a burżujom — Czarne morze“. Takie ulotki krążyły po Krymie w ciągu ostatniego miesiąca przed jego upadkiem. Czerwona fala zwycięsko zalewała ostatni kawałek ojczystej ziemi, a walka stawała się coraz okrutniejsza. W rzeczywistości zostawała tylko głąb morska, „biali“ robili wszelkie wysiłki, aby nie strącono ich w tę wodną otchłań. Wszyscy opowiadali o niedostępności krymskich pozycyj, o zupełnem zabezpieczeniu przed wtargnięciem strasznych wrogów na półwysep, ale panika rosła z każdym dniem. Nas, ludzi stojących blisko sfer wojskowych, dochodziły faktyczne, pesymistyczne wieści — i nie łudziliśmy się nadzieją po chwilowych powodzeniach na froncie.

Sewastopol stracił równowagę... Opustoszały rynki, zginęła mąka, cukier, masło. Ceny na wszelkie produkty rosły jak na drożdżach, naftę kupowało się na buteleczki i chowało, jak skarb. Widać już było wszystkie oznaki bliskiej katastrofy.

Na froncie ludzie umierali, na tyłach — rodzili się... Jeżeli śmierć nie zwracała niczyjej uwagi, to narodziny oddawna zdawały się niezasługującym wspomnienia drobiazgiem.

Jednak w naszym domku na górach Bałakławy był to wypadek najważniejszy, wobec którego odeszły na dalszy plan wszystkie strachy i okrop-

ności wojny domowej. Nika przechodziła straszne męki, o jakich nie miałem dotąd pojęcia. Stało się to, a właściwie zaczęło w głuchą noc, podczas strasznej niepogody, gdy wył żałośnie wicher i deszcz walił w szyby i dachy. Tego wieczora długo rozmawialiśmy i rozeszliśmy się do swych pokoi o pierwszej w nocy. Spałem już, gdy obudziła mnie służąca:

— Proszę pana, co robić!... zdaje się, że pani chce rodzić!

— Czy być może,—odpowiedziałem półsennie, wstając z łóżka, lecz w tej chwili usłyszałem straszny głuchy krzyk, przypominający bolszewickie tortury, o których właśnie niedawno rozmawialiśmy.

— Omyłka o cały tydzień — przeklinałem naukę, Mikołaja Matwiejewicza wraz z Marją Mikołajewną, którzy okazali się złymi prorokami — i zacząłem obmyślać, co czynić, jak dowódca podczas nieoczekiwanego ataku. Znów jękliwy głos służącej:

— Co robić! Ja jestem dziewczyna, nigdy nie rodziłam, nie znam się na tem.

Przedewszystkiem trzeba odszukać akuszerkę, gdyż choć miałem dość wiadomości medycznych, w tej specjalności byłem laikiem. Ale mimo to mogłem być stokroć pożyteczniejszy przy chorej, niż pokojówka...

— Leć po akuszerkę, a ja zostanę. Czekaj! jeszcze pójdziesz na telegraf, nadasz depeszę...

Napisałem dwie depesze do Sewastopola: do doktora Kozłowskiego i do Marji, która miała przyjechać na poród. Dziewczyna pobiegła, a ja przebrawszy się w czystą bieliznę i wziąwszy biały fartuch, pośpieszyłem na pomoc chorej.

— Janku! zaczęło się.... i niema nikogo...
— Nie zapominaj, że ja jestem doktorem...
— Nie chcę... wstydzę się...
— Trzeba chodzić... zaraz będzie akuszerka...
Prowadziłem ją po pokojach. Chwilami przystawała i zgrzytała zębami.
— Krzycz! nie trzeba się wstrzymywać!
Twarz umęczona, przesmutne oczy, jakby przedśmiertny niepokój, i znów krzyk przez zaciśnięte usta, od którego cały się wzdrygam...
— Przeklęty — szepce Nika, odchylając głowę i ściskając mocno moją rękę.
— Niko, najdroższa, uspokój się...
— Lepiejby umrzeć...
Czas wlecze się pomalutku, jęki są coraz częstsze i dłuższe. Wróciła dziewczyna, cała przemoczona, mówiąc urywanie, że akuszerka jest w Sewastopolu i przyjedzie dopiero jutro, a depeszę nadała.
— Rozpal ogień, gotuj wodę, nastaw samowar! Czystą bieliznę na łóżko!
Poczułem się jak kapitan tonącego okrętu, i odrazu zginęło moje zakłopotanie. Tak bywa zwykle w chwilach bez wyjścia, kiedy staje się jasne, że niema żadnej nadziei...
Bóle porodowe stawały się już nie do zniesienia i w nich ginęła męka wstydu. Nika patrzyła na mnie z błagalną prośbą w oczach i posłusznie spełniała me polecenia. Ale chwilami cierpienia przechodziły jej siły i wtedy szeptała:
— Daj mi morfiny... żeby usnąć zupełnie... na zawsze... Ja umieram... wszystko jedno — umrę. To i lepiej!
I znów rozdzierający duszę krzyk...

W kuchni zjawiła się jakaś obca baba. Prawdopodobnie zawezwała ją służąca z sąsiedniej chaty rybackiej. Zaczęła mi doradzać: trzeba iść do popa, żeby otworzył wrota w ołtarzu.

— Dobrze, idźcie do popa, niech otworzy...

Nie będę się przecież spierał w tej chwili.

— Tylko tam proszę nie wchodzić... Można spowodować zakażenie, trzeba pilnować nadzwyczajnej czystości.

Już słońce zaglądało w okna, a bóle wciąż trwały. Czułem, że i moje siły się wyczerpują i opuszcza mnie dotychczasowe męstwo. Nika zupełnie osłabła, rzucała się na posłaniu, nawet krzyk przechodził w jakieś monotonne jęki. Chwilami była nieprzytomna i zdawało się, że umiera.

Posłałem dziewczynę do apteki z kartką: „na miłość boską, proszę przysłać zaraz doktora — możliwie akuszera — i akuszerkę — przedwczesny poród, niebezpieczeństwo" i podałem adres.

Gdy wyprawiłem służącą i zostałem sam w kuchni, usłyszałem straszny krzyk. Rzuciłem się do chorej: stało się! Miałem w rękach gorący, mokry i czerwony kawałek mięsa w ludzkiej formie. Dziecko zdawało się nieżywe: uderzyłem je trzykrotnie i w naszym cichym domku zabrzmiało piskliwe zawodzenie.

Nika leżała z zamkniętemi oczami, mocno — mocno zaciśniętemi z półotwartemi ustami. Na czole perliły się duże krople potu, na rzęsach drżały łzy, na wargach zastygł ledwie dostrzegalny uśmiech. Jak umarła! ale oddech był równy i głęboki, pierś wznosiła się miarowo.

Szalona radość zalała mi duszę, jakby straszny ciężar spadł z pleców i odrazu poczułem szalone zmęczenie. Ręce mi drżały, nogi uginały się pode

mną, miałem ochotę śmiać się, niewiadomo z czego. Nareszcie skończyły się tortury, wszystko ucichło. Domek zasnął: śpi matka i u jej nóg zawinięte w prześcieradło dziecko. Ale, któż się urodził? nadzwyczajne, dotąd nie wiem, kogo przyjąłem. Odwinąłem — spojrzałem:

Dziewczynka — i prześliczna — pewno będzie do matki podobna!

Służąca przyprowadziła akuszerkę. Kiedy ta się dowiedziała, że już wszystko skończone, prawie, że się obraziła, iż na nią nie zaczekano. Tęga baba z olbrzymią torbą.

— A myśmy leciały, jak do pożaru! Pozwoli pan usiąść.

— Proszę, proszę — dziękuję... proszę się rozebrać i wziąć ode mnie ster rządów, przepraszam, jak pani imię?

Zaznajomiliśmy się i odrazu wytworzyła się ta zażyłość specjalna w takich wypadkach.

— Proszę dysponować — jak u siebie w domu — oto klucz od kredensu — proszę dawać polecenia służącej — ona wszystko poda, pokażę... a ja idę spać... spać...

— Mężowie też mają za swoje! Prawdę mówi przysłowie: cierp ciało — kiedy ci się chciało... Czy dziecko wykąpane?

Ależ skąd! To już pani zrobi.

Oddałem zarząd i wypiwszy kieliszek konjaku, rzuciłem się na łóżko. Dawno już nie spałem tak słodko i tak spokojnie. Zasypiając, uśmiechałem się radośnie i myślałem:

„Dziewczynka — moja dziecina — zapracowałem na nią. Nie oddam nikomu — nazwę Weroniką". Potem przypomniałem sobie akuszerkę.

Teraz jestem spokojny — bardzo dobra kobieta — taka sympatyczna!

Pogrążyłem się w słodkie sny, jak w morskie fale.

Potem dowiedziałem się, że przyjechał Mikołaj Matwiejewicz, i znalazłem na stole jego kartkę z dopiskiem: winszuję urodzenia córeczki.

XXIII.

Dlaczego tak cicho w domu? Nadsłuchuję.

Zupełnie jakby przechowywała się tu w tym domku jakaś świętość. Straszna cudowna świętość: tu wchodzi w życie nowy maleńki człowiek. Życie jest straszne i wstrętne, śmierć kosi ludzkie istnienia jak trawę, a poza tym bezlitosnem kosiarzem na skoszonej łące już wyrastają nowe kwiatki, — nie lękają się, nie chcą wiedzieć, że ludzie zamienili ziemię w piekło.

Uroczyśce nastrojony przekradam się tam — do ołtarza tego sakramentu. Zaglądam ostrożnie przez półprzymknięte drzwi: jasnozielone jedwabne story są opuszczone do połowy, przez co w pokoju panuje półmrok — jak w lesie. Tak tu uroczyście od panującej wokoło bieli, czystości, porządku. Na łóżku leży śpiąca, umęczona kobieta z rozkrzyżowanemi rękami. Jaka piękna! Ile niewypowiedzianego uroku jest w kobiecie, która dopiero co przeszła męki macierzyństwa! Mam ochotę paść na kolana i dotknąć nabożnie ustami do tej bezsilnej ręki. Ogromna czułość i ubóstwienie przepełniają moją duszę przy tem męczeńskiem łożu matki i patrzę na Nikę z pogodnem uczuciem, jakie miewałem w dzieciństwie przed obrazem zdjęcia Chrystusa z krzyża.

Poruszyła się —· przerzuciła rękę. Przestraszyłem się i na palcach wyszedłem z pokoju. Wtedy przypomniałem sobie o nowym człowieku. Gdzie jest moja maleńka córeczka, Weronika. Wróciłem

i zajrzałem przez drzwi: niema nigdzie — co się z nią stało? Może dziecko jest u piersi matki, a ja tego nie zauważyłem. Ale to niebezpieczne, bywały wypadki, że śpiące matki według specjalnego ludowego wyrażenia „zasypiały“ swe niemowlęta. Rozgniewałem się na akuszerkę, że tak mało inteligentna.

Gdzie ona jest? dlaczego zostawia chorą samą? Zatrwożony i niezadowolony idę do kuchni, skąd słychać szmery i szepty. Nasza służąca pierze, a akuszerka pije herbatę.

— Gdzie jest dziecko? dziecko?...

— Na krzesłach w stołowym pokoju. Trzeba kupić koszyk.

— Dlaczego w jadalni?

Mówię podrażnionym tonem, co wywołuje również podrażnienie u kobiety.

— A cóż mam z niem zrobić? Do gabinetu zanieść — do pana?....

Wzruszam ramionami.

— Dziecko powinno być przy matce.

— To dawniej tak bywało... teraz inaczej... nowomodnie...

— Nie rozumiem.

— Teraz i spojrzeć na dziecko nie chcą. A jednak pierwszy raz widzę taką matkę: „zabierzcie i nie pokazujcie“! No a kto będzie karmić? Można poczekać do jutra, ale co będzie jutro? Trzeba w takim razie zgodzić mamkę. Ach, te współczesne damy! Tylko myślą o swej figurze. Nawet pieluszek nie było kiedy przygotować. — Akuszerka wpadła w mentorski ton, a ja słuchałem z miną ucznia i nie umiałem jej przerwać.

— Jak troszkę przyjdzie do siebie, wtedy...

— A wszyscy cierpią... Nie rozumiem poprostu, żeby nie chcieć nawet zobaczyć swego dziecka... Kiedy zapłakało, kazała wszystkie drzwi zamykać: słuchać — proszę ja kogo — nie może! Biedna dziecina! Prześliczna dziewczynka, zdrowiutka, ślepki czarne, jak paciorki, rączki z fałdeczkami, jak aniołek!

Nasza służąca przestała prać i również zaczęła się zachwycać dzieckiem. Dwa głosy apelowały do mniemanego ojca. Przechodząc przez jadalnię, zatrzymałem się przy dwóch zestawionych krzesłach, gdzie w łóżeczku — leżała **moja** córka.

Główka mocno związana chusteczką — zupełnie minjaturowa wiejska babinka. Mocno zaciśnięte oczki i usteczka. Podbródek z dołeczkiem, wyraz buzi poważny — jakby w głębokiej zadumie.

Radośnie i trwożnie bije moje serce, czułość przepełnia duszę, a na wspomnienie tego, co usłyszałem, ogarnia mnie tkliwość ku temu dziecku i mam łzy w oczach.

— Biedna ty, nieszczęsno dziecino, przybyszu nieproszony, niepożądany! Nic to, kochanie, nic to, ja będę twoim tatusiem — ja!

Jakby przeczuło maleństwo moje współczucie, moje łzy: zmarszczyło buzię, otworzyło czarne oczęta i zapłakało. Nie umiem opisać tego uczucia, które przepełniło moje serce w owej chwili ku temu obcemu dziecku, którego poczęcie było splugawione ludzką podłością. Z przekleństwem poczęte, z przekleństwem na świat wydane. Dlaczego? W czem twa wina i dlaczego taka niesprawiedliwość pada na twą główkę?

Przyszła akuszerka i przewijając dziecinę, zaczęła z nią rozmawiać i dogadywać, skarżąc się na matkę. Dziecko płakało, kładąc piąstki w buzię

i oczki. Patrzyłem wystraszony, jak bezceremonjalnie obchodziła się poczciwa kobieta z drobnem, różowem ciałkiem i bałem się, że zgniecie je swemi wielkiemi rękami. Zawinęła, zrobiła duży pakiet, jak w sklepie i podając mi, powiedziała:

— Niech tatuś potrzyma.

Wziąłem lękliwie i niezręcznie trzymałem na rękach, przyciskając do piersi, a dziecko już przestało płakać i patrzyło jakby zdziwione na mnie i wszystko otaczające. Nie wytrzymałem i dotknąłem ustami maleńkiego czółka. Pewno podrażniły je moje wąsy i dziecina zapłakała. Wtem zadźwięczał dzwonek.

— Matka wzywa—powiedziała akuszerka, poprawiając poduszki, i dała mi do zrozumienia głosem i wzrokiem, abym poszedł do Niki.

Trzymając dziecko, poszedłem do drzwi i cicho spytałem:

— Czy możemy wejść do mamusi?

Milczenie.

— Niko — pozwól wejść...

Zajrzałem. Nika podniosła się cokolwiek na łóżku i oparta patrzyła z przerażeniem na drzwi. Dziecko ucichło. Zda się, że bez końca trwało ciężkie milcznie — najwidoczniej Nika wahała się.

— Mamusiu! nic nie zawiniliśmy wobec ciebie — odezwałem się błagalnym głosem.

— Boże, co za męka — słychać szept za drzwiami.

— Przebacz nam...

— Boję się, boję... — krzyknęła Nika.

Wtedy zdecydowałem się. Otworzyłem cicho drzwi i wszedłem. Nika leżała z twarzą ukrytą w poduszkach, wpijała się w nie twarzą i rękami.

— Niko!

Milczenie.

— Pomyśl tylko za co?... gdyby dziecko mogło przemówić, spytałoby ciebie: za co mnie karzesz mamo? Popatrz tylko na tego aniołka... Nie chcesz, mamy odejść? Dobrze, Bóg z tobą. Niech dzieweczka będzie tylko moja. Będę ją kochał za nas dwoje...

Skierowałem się ku wyjściu, gdy usłyszałem szept:

— Poczekaj... lepiej... że dziewczynka...

— Prześliczna dziewczynka — będzie do ciebie podobna, popatrz tylko!

Usiadła na łóżku, pochyliła głowę i smutnie się uśmiechnęła:

— Nie wiem, Janku— straszno mi — boję się sama nie wiem czego...

Podszedłem do łóżka, mówiąc pieszczotliwie do dziecka o mamusi i położyłem je na poduszce.

Nika przez chwilę siedziała w dotychczasowej pozie—ze spuszczoną głową i utkwionym w kołdrę wzrokiem — wtem odwróciła się i wpiła oczy w dziecko. Obserwowałem jej twarz: z początku była wystraszona i zdziwiona, potem zjawiła się ciekawość, przemknął uśmiech i znikł zaraz, jakby przestraszył się sam siebie. Odwróciła oczy, między brwiami ukazała się znajoma zmarszczka, westchnęła głęboko i naraz upadła na poduszki i zaszlochała.

— Nika! kochanie... czego... nie trzeba...

Dziecko też zapłakało. Wziąłem je i wyszeptałem

— Nie, nie... nie chcę... nie mogę... nie mogę... nie męcz mnie... nie męcz!

Podeszła akuszerka.

— Grymasi pani. Proszę mi je dać, napoję je wodą z cukrem.

Zasnęła!

Nie chciałem oddać dziecka. Nosiłem na ręku, nucąc jakąś smutną piosenkę. Zabrałem je z sobą do gabinetu, zamknąłem drzwi i jak skąpiec pogrążyłem się w szczęściu posiadania mego żywego skarbu. Nigdy nie przypuszczałem w sobie takiej czułości ku dzieciom, jaka rozgorzała w mej duszy ku temu odtrąconemu przez matkę biedactwu. Położyłem je na kanapie, usiadłem obok, pilnując, jakby bojąc się, aby mi kto go nie zabrał. To dziwne, ale w tym momencie, kochałem ją bardziej, niż Nikę. Było w mej duszy coś z wiecznej sprawiedliwości, która nie mogła się pogodzić z układem naszego mizernego ludzkiego żywota i naszą względną sprawiedliwością — równie małostkową i zależną od wypadku.

Nazajutrz wieczorem przyjechała nakoniec Marja Mikołajewna z całym pakietem „wyprawki dla dziecka". Spotkałem ją u furtki.

— No jak tam?

— Wszystko dobrze.

— Kto przyjmował? Mikołaj Matwiejewicz?

— Ja sam przyjmowałem.

— Co pan mówi — naprawdę? Chłopiec?

— Dziewczynka. Nie wiem, co począć. Nika nie chce jej widzieć ani karmić.

Poszliśmy do altanki na naradę. Potem zaczęły się tajemnicze szepty dwóch kobiet.

Znów szepty, łkanie, milczenie za drzwiami. Przeciągły krzyk głodnego dziecka. Nad ranem, gdy wszyscy wyczerpaliśmy już siły w tej walce o życie bezbronnej istoty, zasnąłem na kanapie

w jadalni, gdy Marja poruszyła mnie za ramię. Otworzyłem przestraszony oczy, a ona pogroziła mi palcem i uśmiechnęła się.

— Co się stało?

— Tss... Karmi...

Podeszła akuszerka i zaczęliśmy szeptać we troje, jak spiskowcy, radząc nad sytuacją.

— Teraz już wszystko będzie dobrze — jeżeli zdecydowała się karmić — sprawa załatwiona.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Nagłe tragiczne zakończenie walki o Krym przerwało i moje notatki. Rozgrywało się tam wiele scen tragicznych i komicznych, bohaterskich i odrażających, wzruszających do łez lub przejmujących najgłębszem oburzeniem. Była wspaniała scena przejścia 150 tysięcy rosyjskich uchodźców przez Morze Czarne, przypominająca wyjście Żydów z Egiptu, błąkanie w pustyni wszelakich upokorzeń — były wszystkie plagi egipskie. Wszystko to wystawiał bezlitosny reżyser naszego życia — nazwany Historją — z zadziwiającą pomysłowością i artystyczną maestrją. Przyjmowali tam udział i bohaterowie niniejszych notatek, przypominając opowieść biblijną o ucieczce świątobliwego Józefa i Marji z Dzieciątkiem przed rzezią niewiniątek, uczynioną przez Heroda.

Ciężko i trudno byłoby opisywać te szczegóły, i czy nie byłyby one zbyteczne w tej historji miłości, zwyciężającej i pokonywującej wszystkie ohydy życia i władczo kierującej swoich bohaterów czy też swe ofiary na niewiadome a zgóry przeznaczone szlaki?

Opowiem krótko: Po długiej tułaczce, nędzy i upokorzeniach, przeżytych podczas ucieczki i w cudnym jak bajka Szeherezady Konstantynopolu, gdzie rosyjskie kobiety uważane były za najtańszy towar dla poszukiwaczy rozpusty, po długiem błąkaniu się jak głodne widma w złocisto-róża-

nych mgłach u lazurowych brzegów morza w tem bajkowem, zaczarowanem mieście, — znaleźliśmy wreszcie spokojny przytułek i odetchnęli duszą i ciałem.

Było to już przy schyłku lata — pod jesień — t.j. prawie w rok po ucieczce z Krymu. Pomyślny wiatr uchodźczy skierował nas do cudownego zakątka Bułgarji — Warny.

Maleńkie miasteczko u brzegu Morza Czarnego, tak zaciszne, skromne, tonące w zieleni, barwne i malownicze miasteczko, gdzie pomieszał się Wschód z Zachodem, chrystjanizm z islamem, które zdawało się leżeć na południu Rosji, czy też być kawałeczkiem Grecji czy Turcji, gdzie tak gwarne są bazary, tak bajecznie kolorowe stragany z owocami, tak jaskrawa odzież ludzka, a tak spokojni, prawie imponujący swym spokojem ludzie, wszyscy — od bogatego kupca do kamieniarza.

Mieszkaliśmy blisko morza wśród ogrodów, w izdebce z glinianą podłogą — ale po wszystkich przejściach czuliśmy się jak w pałacu, zupełnie niezależnymi panami swego losu. Jakież to szczęście mieć swój własny kąt i być pewnym, że nikt nie napadnie, nie wyrzuci, nie ograbi, nie zabije, nie zgwałci!

Nika sprzedała swój ostatni klejnot, który przechowywała do ostatka, nawet podczas dni głodu w Konstantynopolu, ja sprzedałem ocalony aparat fotograficzny i wydzierżawiliśmy pół ogrodu z prawem mieszkania w chatce i obowiązkiem pilnowania owoców i zbierania odpadków.

Mówiąc krócej — stałem się ogrodnikiem, a Nika znalazła zarobek w rosyjskiej restauracji, urządzonej na bulwarze przez dawne panie z towarzystwa. Spełniała obowiązki służebnej, uszlachet-

nione wysokiem urodzeniem wszystkich współpracowników. Poza ogrodem i sadem pełniłem jeszcze rolę niańki przy dziecku podczas nieobecności Niki. Maleństwo zaczynało już chodzić i wyrastało na śliczną dziewuszkę. Ochrzciliśmy ją jako naszą córkę i nazwali po matce — Weroniką. Dla odróżnienia matki od córki, nazywaliśmy dużą Weronikę — Niką a malutką — Wiką. Nie wiem, jak się to stało, ale wkrótce Nika zaczęła nazywać mnie — „Iką". Wszyscy rodacy uważali nas za małżeństwo i mówili o nas „Ika, Nika i Wika". Cieszyliśmy się ogólną sympatją i życzliwością, Nika miała w restauracji masę wielbicieli, którzy starali się usiąść przy jednym z jej stolików i zostawiali szczodre naddatki, ale miało to inny charakter, niż w Konstantynopolu, gdzie musiała znosić ordynarne żarty, dwuznaczne, a nawet ubliżające propozycje. Wszyscy nas szanowali, a Wika stała się znana na bulwarze, na wybrzeżu i psuta przez całą publiczność w restauracji, która obdarzała ją owocami, słodyczami i zabawkami. Znaleźliśmy tu serdecznych przyjaciół pośród kobiet i dziewcząt, które odwiedzały nas i pomagały niańczyć Nikę. Najdziwniejsze, że wszyscy uważali, iż Wika jest do mnie podobna:

— Wykapany tatuś!

Uśmiechałem się wesoło na takie twierdzenie. Nika odwracała twarz, na której widziałem wtedy zakłopotanie i smutek. Względem dziecka była nierówna, nieraz całemi dniami była podrażniona i widocznie nie mogła go znosić, to znów jakby czuła się winna wobec małej — zaczynała ją pieścić i psuć: kupować drobiazgi — to pończoszki, to czapeczkę, to turecki fezik. Kilka razy ją boleśnie wybiła, a potem płakała i wpadła w długą poważną

zadumę — jakby nie widząc nic i nikogo z otaczających.

— Co się z panią dzieje? — pytali życzliwi.

— Źle się czuję...

Zaczynał się długi okres zamyśleń, milczenia, zamknięcia w sobie. Następnie jakby słoneczko wyjrzało z za chmur: smutny uśmiech, łagodny i serdeczny głos, miłe spojrzenie, cicha piosenka, a czasem i delikatna pieszczota: pogładzi mnie po głowie i westchnie. I znów następuje jasny okres naszego życia, jesteśmy znów: „Ika, Nika i Wika" połączeni silnie czyjąś nieznaną wolą. Narzeczona Włodeczka nienawidziła Wikę, ale matka nie mogła nienawidzeć i zauważyłem, że w chwilach podrażnienia samym faktem istnienia tego dziecka w Nice przebudzała się tęsknota i oczekiwanie tego „narzeczonego o północy", które poprzednio jakby się stuszowały. Jakieś przelotne spotkanie z dawnym oficerem, rozmowa o odnalezieniu kogoś, uważanego oddawna za przepadłego, wesele wśród uchodźców, — i znów ciąży nad nami cień „Włodeczka" i trzyma w swej władzy duszę Niki — robiąc nas z Wiką obcymi burzycielami tych zbudzonych fantazyj. Przeszkadzaliśmy jej wtedy pogrążać się w słodkiej nadziei: „Przybytek twój widzę w ozdobie, ale nie wnijdę weń, bo nie mam szaty godowej".

Ostatni wielki tydzień spędziliśmy w Sofji i chodzili codzień do rosyjskiej cerkwi. Zauważyłem i wtedy, że ile razy chór śpiewał ten werset, Nika klęczała i płakała. „Przybytek Twój widzę, o Panie, ale nie wnijdę weń, bo nie mam szaty godowej". Nadziei właściwie nie było żadnej. Szukaliśmy Włodeczka przez ogłoszenia w rosyjskich zagranicznych gazetach, spotykaliśmy wielu oficerów z armji

generała Bredowa, którzy wrócili do Krymu z Polski przed ewakuacją białej armji: Włodeczek zginął jeszcze na granicy Rumunji i słuch o nim przepadł. Jeden z tych oficerów, znający go osobiście, wątpił nawet w prawdziwość radosnej wiadomości, którą usłyszałem swego czasu w szpitalu w Krymie.

— U nas uważają go za nieżyjącego — przyznał mi się jeden z nich, gdy zostaliśmy sami. Nika podawała się za siostrę zaginionego.

Musiałem teraz wolno, stopniowo i ostrożnie okólnemi drogami przygotować Nikę do pogodzenia się z myślą, że dawny narzeczony jest stracony bezpowrotnie. Myśl ta powstawała w jej umyśle samodzielnie, a ja starałem się ją podtrzymywać. Chwilami zdawało się, że Nika pogodziła się już ze swoim losem ,ale od czasu do czasu występowały jeszcze wybuchły tego dziewczęcego uczucia, jak ostatnie drgawki umierającego. Ale i te porywy stawały się coraz rzadsze i krótsze. Zauważyłem, że po każdym takim ataku Nika czuła się jakby winną wobec mnie i okres niechęci zamieniał się na czas czułości i serdeczności. Najczęściej bywało to podczas naszych przechadzek nad morzem, gdy — wolni oboje od zajęć i obowiązków, zabieraliśmy wózek z Wiką, zapasy żywności i na długo chroniliśmy się w gaju nadmorskim lub kładli się na gorącym piasku plaży pod palącem słońcem i słonym oddechem łagodnych fal szafirowego morza. Niknęła rzeczywistość, uciekały troski wobec spokoju morza, przypominającego o wieczności i zdawało się, że jest nas tylko troje na świecie, Ika, Nika i Wika — i nikogo więcej nie zostało. Ta myśl, że tam gdzieś daleko za sinemi i liljowemi mgłami horyżontu — na przeciwległym brzegu — jest nasza ojczyzna i cała nasza przeszłość — kazała nam tu-

lić się do siebie i uznawać konieczność nakazanego przez jakąś wyższą siłę naszego współżycia. Czuliśmy się w takich chwilach rzeczywiście członkami jednej rodziny.

Tutaj też, w Warnie, Nika dawno już podejrzewając mnie o inne uczucie pod pokrywką przyjaźni, przekonała się ostatecznie, że domysły jej były słuszne i wymówiła mi, że tak długo i tak dobrze udawałem. Dowiedziała się o tem przypadkiem, znalazłszy pokrywanej przeze mnie tece z memi osobistemi papierami, swe obcięte warkocze, przechowane przeze mnie podczas tych wszystkich niedoli tułaczych, jak największy skarb.

— Janku ty kochasz mnie... jak kobietę...

— Nareszcie odgadłaś, Niko! Wyznaję ze skruchą... wybacz!

Była wtedy w radosnym nastroju i śmiała się ze mnie, jak mała dziewczynka a potem rzekła półserjo:

— Jeżeli kiedy zostanę twoją żoną, to tylko pod tym warunkiem, że gdyby odnalazł się Włodeczek, zwrócisz mi wolność. Mimo wszystko, kocham go bardziej niż ciebie.

II.

Bywają na morzu takie chwile, gdy staje się ono podobne do opalowego zwierciadła i przypomina wygrzewającą się leniwie na słońcu panterę, mruczącą cicho z miłosnej tęsknoty. Ucichły fale, znieruchomiały białe obłoczki, wyciągnięte długą linją na roziskrzonym błękitnym horyzoncie jak stado białych łabędzi. Jakby skamieniała u brzegu łódka z opuszczonym, niby postrzelone skrzydło ptaka, żaglem. Oczy oślepia blask, promieniejący z wodnej topieli i jakby usypiał umysł tej wewnętrznej radości. Kołysze serca to opalowe morze i koi wszystkie bóle, budząc nieświadomą radość bytowania. Jest ono wtedy jak ledwie dosłyszalna muzyka z poza ściany.

Cudne zaczarowane królestwo znieruchomiałej radości życia.

W jeden z takich dni — wykąpawszy się — leżeliśmy na złocistym piasku, poddając się pieszczocie promieni słonecznych i odczuwając całą radość życia. Rozkoszna ociężałość przejmowała całe jestestwo przenikało ciało razem z promieniami słońca i kazała mu się oddzielić od duszy, żyć własnem życiem — tak jak trawa, drzewo... W tej słodkiej niemocy napięte były wszystkie zmysły, ale wszystkie wrażenia były przyjmowane tylko ciałem, nie przechodząc przez kontrolujący aparat mózgu. Widziałem przed sobą lśniącą taflę wodną, słyszałem łagodny szmer fali na brzegu, czułem za-

pach morza, jodu, wodorostów, odczuwałem gorący piasek pod swem obnażonem ciałem, pieszczotę słońca, ciepły oddech wiatru,którym dyszała morska toń, — ale wszystko to widziałem, słyszałem tylko fizycznie, komórkami, muskułami, krwią — całem ciałem.

Bawiąca się na piasku Wika zasnęła. Nika leżała półnaga na kosmatem prześcieradle, rozłożywszy ręce i przykrywszy twarz ręcznikiem. Byliśmy oboje w kostjumach kąpielowych — podobnych raczej do figowych listków naszych prarodziców, niż do ubrania wygnańców z raju — zresztą niczem się nie różniących od kostjumów przyjętych na wszystkich plażach morskich. Była tylko ta różnica, że nie lubiliśmy się kąpać w miejscach publicznych, w gwarnem i krzykliwem towarzystwie, a przekładaliśmy sam na sam z morzem. Dawno już przyzwyczailiśmy się nie wstydzić się swej względnej nagości, tak samo jak wszyscy nadbrzeżni współmieszkańcy, i nigdy dotąd nagość ta nie budziła we mnie wrażeń, które jest przyjęte nazywać „grzesznemi". Otóż wtedy nad tem opalowem morzem, w tem zaklętem królestwie, gdy mój mózg przestał działać — odczułem nagle obecność Niki tylko ciałem, jak nigdy dotąd... Byłem tak wdrożony do „świętości" naszego stosunku, że nietylko zdumiałem się, ale i przestraszyłem. W tej zmysłowej atmosferze obudził się „zwierz" i opanował mnie, bezbronnego. Działanie mózgu opóźniło się: tamten już uchwycił swą ofiarę i cnotliwe nakazy były bezsilne. Oparłszy się na łokciu i zakrywszy twarz rękami, ja — jak złodziej — zacząłem upajać się widokiem cudnego ciała kobiecego. Nika jakgdyby odczuła ten mój wzrok: nieoczekiwanie zerwała recznik z twarzy i spotkały się nasze oczy.

Na mej twarzy zastygł zażenowany i prawdopodobnie niemądry uśmiech. Ona poczerwieniała i zaczęła kręcić głową z wyrzutem, śpiesznie zakrywając się prześcieradłem. Opuściłem ręce i upadłem twarzą na gorący piasek.

— Oj, Ika, Ika...!

Zaśmiała się cichutko, przysunęła do mnie i zaczęła łaskotać mą szyję suchą gałązką wodorostu.

— Nie męcz mnie... wiesz przecież, że cię kocham...

— Oj, Ika..., Ika...

Schwyciłem ją, przyciągnąłem do siebie i zacząłem całować po rękach. Ona wyrywała się i śmiała.

— Puść... boli... oszalałeś...

Wyrwała mi rękę, odsunęła się, a ja jak zwierzę przypełznąłem bliżej i objąwszy jej nogi obiema rękami, położyłem głowę na jej kolanach. Ona chciała się wyrwać, ale upadła na wznak. Zakręciło mi się w głowie i stałem się zuchwały.

— Ktoś idzie — szepnęła Nika przestraszonym głosem, i wtedy opanowałem się i padłem plackiem na ziemię. Ona stanęła opodal i śmiała się dziwnym śmiechem. Przypominał mi się jej śmiech w Noworosyjsku nad wzburzonem morzem, gdy przeszkodziłem jej utopić się. Tak śmieją się aktorki na scenie.

— Otóż i rycerz! Wystawiasz sobie rachunek za uratowanie mnie? Czy tak?

— Jakaś ty okrutna... człowiekiem jestem i nieobce mi jest wszystko, co ludzkie...

— Ludzkie!... zbyt ludzkie...

— A ty żądasz... bym był człowiekiem...

— Takim wydawałeś mi się, czy też takiego udawałeś....

— Poprostu chciałem zwalczyć samego siebie... kochałem cię od pierwszego wejrzenia.

Nika odeszła wolno ku brzegowi, usiadła na ogromnym kamieniu i podobna była do marmurowej statui.

Dawno już uciekł wystraszony „zwierz“ a na jego miejsce zjawił się „zdrowy rozsądek“ i zaczął dusić mnie wyrzutami sumienia. Czułem się upokorzony, rozbity, marny i zdawało mi się, że cała natura, morze i niebo, złocisty piasek, i śpiąca Wika — wszystko powtarza za Niką:

— Oj, Ika... Ika...

Nigdy w życiu nie byłem taki nieszczęśliwy, jak wtedy. Tak musiał czuć się Adam po upadku, który wbrew wymysłom poetów — nie oznaczał wcale grzechu cielesnego, tylko przestępstwo moralne, gdyż dopiero po wygnaniu z raju według czwartej Księgi Bytu „Adam poznał Ewę, żonę swoją, i ona poczęła i porodziła syna Kaina“. Nie wiem, czy Adam płakał, znalazłszy się za wrotami raju, ale ja rozpłakałem się z upokorzenia i żalu ze stracenia czegoś bardzo drogiego w mym stosunku z Niką — a właściwie w stosunku Niki względem mnie. Tak jakbym rozbił kryształowy puhar z boskim napojem, od którego rozświetlają się dusze ludzkie.

Płakałem bezdźwięcznie, leżąc na piasku, przytulony do ziemi z twarzą ukrytą w dłoniach i czułem, jak z oczu, niby deszcz wiosenny — spadają krople łez. Zapłakała Wika. Słyszałem szelest piasku pod stopami Niki, uspokajającej dziecko, — potem wzięła ją pewno na ręce. Wsłuchiwałem się w pieszczotliwy, podobny do gruchania gołębicy głos matki, mówiącej do dziecka i jeszcze bardziej rozczulałem się nad sobą samym. Jakgdyby rozer-

wała się trójca: Ika, Nika i Wika. Odeszły one obie — a ja zostałem sam. Wtem zaszeleściał piasek — poczułem zbliżenie Niki. Bałem się spojrzeć.

— Zabierz nas, tatusiu!

Czuję, że Nika przyklękła z dzieckiem tuż przy mnie. Wika złapała rączkami za moją czuprynę — chlipie i ciągnie. Lekko unoszę głowę.

— O, zdaje się, że i tatuś nam płacze! Pocałuj biednego tatusia!

Rozmawiała z dzieckiem, ale ta rozmowa była dla mnie, ze mną za pośrednictwem dziecka. Ostrożnie — nie bezpośrednio — dawała mi do zrozumienia, że wszystko minęło, że zapomniała, przebaczyła, że współczuje ze mną i że nic się nie zmieniło wskutek mego dzikiego zachowania.

— Ika! no spójrz na nas!

Nie patrząc na Nikę, wziąłem z jej rąk dziecko i zacząłem je szalenie całować w wielkiej radości przebaczenia.

— Jaka dobra ta twoja mamusia... taki jestem winny wobec niej... — mówiłem, całując dziecinę po całem ciałku, a ona zanosiła się od śmiechu, gdyż moje wąsy łaskotały jej delikatną skórkę.

Wtedy rozświetliły się nasze dusze i uśmiechnęliśmy się serdecznie do siebie. W ten cichy złocisty wieczór nad morzem coś się stało, jakiś zwrot w naszem życiu — w naszej przyjaźni. Przypomnieliśmy sobie, że jesteśmy mężczyzną i kobietą. I nasz pierwszy pocałunek na dobranoc, dotychczas ulotny i jakby bezpłciowy — tym razem był zupełnie odmienny: Zadrżały czerwone wargi Niki, a ja przymknąłem oczy.

Gdy położyliśmy się i zgasili światło, zaczęliśmy rozmawiać przez przepierzenie.

— Może być — Niko — że stało się to wszystko dlatego, że kiedyś powiedziałaś mi: „gdybym została twoją żona, to z warunkiem“...

— Ja kocham cię, ale wydaje mi się, że w tem uczuciu brakuje czegoś koniecznego do małżeństwa.

— Ja wiem.

— Nie umiem określić — czego właściwie brakuje. — Może być, że przyzwyczaiłam się szanować cię i kochać — jako człowieka. — Niema we mnie tego odurzenia, tego... które... Ta miłość moja jest taka jakaś — bezgrzeszna... Jestem pewna, że żylibyśmy ze sobą dobrze, nie kłócąc się...

Nika przerwała i zamyśliła się, potem jakby zastanowiła się nad czemś, nie dającem się określić — i spytała:

— Powiedz, dlaczego kobieta wie nieraz, że mąż... no... zły, zaniedbuje ją, wogóle, jak to się mówi, nie jest jako człowiek wiele wart, a mimo to ona nie może przestać go kochać. Nie szanuje go, ale nie ma sił wyzwolić się z miłosnych więzów. Widzisz, mój drogi, jestem przekonana, że gdybyśmy się pobrali, a raptem stał się cud i zjawił się Włodeczek, to... nikt... niczem byś mnie przy sobie nie utrzymał... Być może, że on jest gorszy od ciebie, mniej czysty, mniej subtelny — ale mam do niego specjalny pociąg... jako do mężczyzny...

To „jako do mężczyzny“ mówiła po pewnej pauzie i ciszej, z pewnem wahaniem — a może z tajemnem zawstydzeniem. Zdawałoby się, że nie było w jej słowach nic obrażającego, ale taka już jest nasza męska natura; te ostatnie zdanie o mężczyźnie obraziło mnie, uraziło bardzo głeboko, upokorzyło. Jak policzek!

— Więc cóż mamy począć? — odezwałem się tragicznym tonem, — niema innego wyjścia, musimy się rozłączyć.

Przerwałem. Sam się przestraszyłem swoich słów. Ona ucichła, po chwili rzekła:

— Jeżeli tak bardzo ciężko ci... żyć tak, jak dotychczas...

Nie dopowiedziała.

— Nie jestem świętym... ani umarłym...

Miałem szaloną ochotę powiedzieć jej, że nieboszczyk przeszkadza jej kochać mnie.

Nastąpiła naprężona cisza. Jak po bliskim armatnim strzale, gdy wszystko wokoło jakby zamiera, tylko jakaś struna cichutko dzwoni w uszach.

Nie mogłem spać tej nocy. Budzę się i przysłuchuję panującej ciszy. Żeby choć Wika zapłakała!

III.

Zazwyczaj wstawałem wcześnie, nastawiałem samowar i szykowałem do śniadania w ogródku pod oknami. Ale następnego ranka po tej rozmowie — śpiąc bardzo źle przez noc — zaspałem. Nika już ubrana i gotowa do wyjścia do pracy zajrzała do mnie z Wiką na rękach i cicho zawołała:

— Iwanie Piotrowiczu!

Otworzyłem oczy.

— Muszę już iść. Czy można zostawić u pana Wikę?

Ten zwrot „Iwanie Piotrowiczu" i „pan" przypomniał mi wczorajsze wypadki i pogrążył w trwodze. Zupełnie jakby odgradzała się ode mnie tym „panem". Udałem, że tego nie zauważyłem i odparłem:

— Naturalnie — ty idziesz?

— Tak.

Posadziła dziecko na mojem łóżku, przyczem zauważyłem, że ma zapłakane oczy.

— Do widzenia, idę... — powiedziała zgaszonym głosem zwolna, jakby przypominając sobie, co ma mi powiedzieć. Ale nie powiedziała nic więcej i wyszła, mignąwszy jasną plamą na tle zieleni ogrodu.

Ot — i rozpadło się w gruzy moje życie. Tylko jedna Wika może przeszkodzić naszemu zerwaniu, którego nie chcę, nigdy nie chciałem, a którego zawsze się bałem. Co za przeklęte siły wyrwały wczoraj z mych ust tą głupią groźbę rozejścia. Jak

to wstrętnie wyszło: jeżeli mi się nie oddasz — musimy sie czem prędzej rozstać. Taki był sens mojej tragicznej deklamacji. Jaki fałsz! To wszystko stało się pod wrażeniem chwili. Nie odczuwam żadnych mąk Tantala i gotów jestem być choćby niańką tego dziecka za szczęście patrzenia na Nikę i czuć ją stale obok siebie. Skąd ta poza? Wszedłem nie w swoją rolę: grałem z powodzeniem rolę rezonera, szlachetnego ojca, przyjaciela, ale było mi tego za mało. Zachciało mi się przejść na role bohaterskie i pierwszego amanta. I tu zupełna klapa!

„Jeżeli ci zbyt ciężko żyć nadal, tak, jak dotychczas...“

Przeżyliśmy obok siebie półtora roku — i nagle — ultimatum. Jakie to wstrętne i marne. Jakgdyby rzeczywiście było taką męką dla mężczyzny kochać kobietę i nie posiadać jej. Też cierpiętnicy!

Byłoby wszystko dobrze się skończyło, gdyby nie ta nocna rozmowa przez przegródkę. Nika zrozumiała i wybaczyła mi moje zachowanie na brzegu morza, wróciliśmy w zgodzie... A potem ta rozmowa i moje ultimatum, kłamliwe i teatralne! Właściwie to nie było ultimatum. Chciałem poprostu wytłumaczyć i usprawiedliwić swoją „zwierzęcość“, ustroić się w jakąś „tragedję“, wymagającą „wyjścia z sytuacji“. My — mężczyźni — zawsze jesteśmy aktorami w miłości, zawsze w koturnach. Zato jak prosta i szczera jest tragedja duszy kobiecej! Np. miłość Niki do ojca, do zaginionego — jej tragiczne macierzyństwo. To jedna wielka ofiara...

— Wiko, Wiko, gdybyś mogła wiedzieć, co się stało!

Pieściłem maleńką, skarżyłem się przed nią na moje nieszczęście, prosiłem bronić mię — a ona się

śmiała roskosznie, ciągnęła mnie za wąsy i nos — aż stał się wypadeczek. Ten śmieszny fakt wyrwał mnie z zaklętego koła samobiczowania i powrócił do rzeczywistości, zmuszając do przemienienia się w dobrą i cierpliwą niańkę. Potem poszliśmy do ogrodu i leżeli na trawie, bawili się jabłkami, budowaliśmy domek i starali się rozmawiać gestami i wykrzyknikami. Obecność dziecka dawała mi nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży i zostanie po dawnemu. Niedawno zdawało się, że rozpadliśmy się na dwie części, a oto znów jestem jak zwykle — z Wiką. A potem pójdziemy na spotkanie matki — i znów będzie trójca: Ika, Nika i Wika.

Wszystko stało się, jak codzień. O godzinie trzeciej, wystroiwszy się, poszedłem z Wiką do restauracji na spotkanie mamusi. Powitano nas tam wesoło i gwarno.

Niki nie było: wyszła wcześniej, uwolniwszy się dla załatwienia interesów.

To mię przestraszyło i zatrwożyło: te „interesy" to był dalszy ciąg wczorajszej historji. Panując nad sobą, rozmawiałem i żartowałem ze znajomymi jakby nigdy nic. Spytałem jednej z towarzyszek pracy Niki:

— Nie wie pani, dokąd poszła moja żona?

— Szukać mieszkania.

— Ach tak!

— Jeżeli państwo znajdą inne mieszkanie, ja wezmę wasze...

— Dobrze.

Jak zwykle zjadłem obiad (dodatek do wynagrodzenia Niki w restauracji — dwa bezpłatne obiady) i oddawszy Wikę pod opiekę znajomych pań, dobijających się o przyjemność noszenia jej, karmienia słodyczami, zaspokojenia w ten sposób pragnienia macierzyństwa.

Gdy wróciliśmy do domu, zrobił się prawdziwy dramat: Nika zalana łzami, siedziała w kapeluszu przy stole w pozie pełnej rozpaczy. Na krzesłach otwarta waliza, na łóżku — paski z pościelą.

— Niko! co to znaczy?...

Uciekła do sieni — ja za nią. Stała przytulona do ściany, drżąc całem ciałem, dusząc się od płaczu.

— Chodziliśmy na twoje spotkanie... powiedziano nam, że poszłaś szukać mieszkania...

— Mogę się przenieść do hoteliku... — ledwie zdołała wyszeptać Nika, zakrywając twarz chusteczką.

— Na miłość boską! Czyż jestem ci aż tak wstrętny, że tak się śpieszysz...

— Nie chcę cię męczyć... nie mam prawa... ty i tak już... Tyś przeze mnie stracił narzeczoną... Zła jestem — dawno domyślałam się, że mnie kochasz, jak kobietę, i trzeba się było rozstać... A ja wciąż odkładałam..., ja przywiązałam się do ciebie, jak do rodzonego...

— Niko... jak można tak nagle — nie porozumiawszy się ze mną...

— Ależ tyś sam powiedział, że niema innego wyjścia...

— Chodźmy do ogrodu, kochanie, ja tak nie mogę...

W tej chwili na szczęście zapłakała Wika, przypominając nam obojgu, że jest jeszcze do rozwiązania kwestja dziecka. Pobiegłem do pokoju i wróciłem z Wiką na rękach.

— Daj mi ją...

Ale Wika mocno trzymała mnie łapkami za szyję i nie chciała iść do płaczącej matki.

— Widzisz — Wika nie chce mnie porzucić!

Poszliśmy do ogrodu, siedli na ławeczce pod jabłonią.

— Ale co począć, Janku, jeżeli żądasz niemożliwości...

— Słuchaj, Niko, wyznam ci całą prawdę...

— Tak... tak... koniecznie...

Zacząłem swą spowiedź. Poczułem przypływ szczerości. Nie szczędziłem swej męskiej dumy. Może samo otoczenie dopomagało mi w tem — tyle prostoty, prawdy było w tym zakątku sadu, w śpiewie ptasząt, w fantastycznych cieniach słonecznych na trawie, w jasnem niebie, przeglądającem się przez listowie drzew. Powiedziałem Nice szczerze o wszystkiem — powtórzyłem to, co myślałem o sobie, o aktorstwie swem w miłości.

— Widzisz więc, moja cudna, nie potrzebne mi jest żadne „wyjście", sam boję się wszelkich zmian w naszych stosunkach i błagam cię zapomnij o wszystkiem, co się stało. Męki miłości są rozkoszą. I nie żądam nic ponad twą obecność, twój głos, twój uśmiech... A Wika? Czy mógłbym ją oddać lub zabrać, czy mogłabyś ją wziąć ode mnie

— Nie wiem, nic nie wiem... byłabym najszczęśliwsza, gdyby nic się nie było stało... gdyby wszystko zostało po dawnemu. Jeżeli ty możesz to...

Patrzyła mi w oczy i uśmiechnęła się smutno, jak winna...

— Tyś taki dobry, szczery, może kiedyś potem... poczuję, że... Ale teraz, zrozum, że nie mogę zapomnieć Włodeczka...

— Rozumiem to, rozumiem. Nic mi nie trzeba, prócz twojej obecności. Nie odbieraj mi tego, co miałem i straciłem pod wrażeniem chwili. Przysięgam ci, że to się więcej nie powtórzy.

Śpiewały ptaki, listki jabłoni, drżały pod ciepłym powiewem wiatru, gdzieś wdali szumiało morze. Jakby zmęczone naszemi przeżyciami, oddy-

chało z zadowoleniem, że wszystko pomyślnie się skończyło.

— No idź — Wiko — do matki, a ja nastawię samowar. Pić mi się chce szalenie.

— Idź!

Nika jeszcze ze łzami na rzęsach — wzięła ode mnie dziecko, i gdy szedłem ku domowi, słyszałem, jak wesoło i radośnie bawiła się z Wiką, która zaśmiewała się.

Wszedłem do pokoju i widok otwartej walizy podziałał na moje nerwy. Zrzuciłem ją z krzeseł i kopnąłem nogą w kąt. Niech wszystko będzie tak jak było! Nie trzeba, aby cokolwiek przypominało o zajściu. Rozwiązałem paski, wyjąłem pościel i ułożyłem na miejscu.

Potem porwałem samowar, naszą dumę i bogactwo, i nucąc zacząłem go nastawiać.

Piliśmy herbatę w ogrodzie, gdy zjawiła się jedna pani z restauracji, oznajmiając z radością, że znalazła dla nas doskonałe mieszkanie.

Oboje z Niką roześmieliśmy się.

— Zostajemy w starem.

Tego pamiętnego dnia byłem wesoły, podniecony, dowcipny i pełen radości życia. Czułem się jak człowiek, który cudem uratował się podczas katastrofy kolejowej, zatonięcia statku, czy t. p.

A Nika była zmęczona, rozbita, osłabiona. Jakby tylko co wstała po ciężkiej chorobie.

Tylko Wika nie zwracała żadnej uwagi na bieżące wypadki: była wesoła i beztroska, jak skaczący po alejce wróbelek.

— Miły wróbelku! jak cię kocham i jak ci dziękuję, za pomoc w nieszczęściu!

IV.

„Ika, Nika i Wika“ czyli „święta rodzina“. Tak nazywali nas rodacy w Warnie. I nikt nie podejrzewa, że to wszystko jest nieprawdziwe: i mąż, i żona i dziecko. Nie wiem, kto wymyślił tę nazwę „święta rodzina“ czy to był prosty przypadek, czy też jakiś dowcipniś zauważył lub odczuł, że w naszym wzajemnym stosunku jest coś odmiennego od normalnych zasad rodzinnego bytowania. Może ta nasza „czystość“ kładła swoje piętno na nasz sposób bycia i stawała się widoczna dla uważnego obserwatora. Mężowie i żony zazdrościli nam zupełnie otwarcie. Nieraz ponury mąż — prawdopodobnie bezpośrednio po sprzeczce ze swą połowicą, przysiadał się do mego stolika w restauracji, wzdychał ciężko jak lokomotywa, podjeżdżająca do stacji — i mówił w zamyśleniu:

— Pan ma idealną żonę. Państwo dawno po ślubie?

Kobiety były jeszcze szczersze. Często przy mnie mówiły do Niki:

— Niech pani Bogu dziękuje! Takich mężów niema teraz na świecie — ze świecą nie znajdzie!

Odpowiadałem na takie uwagi żartami:

— Jam zawsze zadowolony — z siebie, z obiadu i żony.

— I macie państwo taką przemiłą córeczkę...

— I z córeczki jestem zadowolony...

— Tak, panie dobrodzieju, szczęśliwe małżeństwo — to rzadkość teraz!

Nika śmiała się wesoło:

— Wszyscy oni dobrzy zdaleka!

— Przypuśćmy, że państwo jesteście jeszcze bardzo młodem małżeństwem, ale co się tyczy pana, to dałabym sobie uciąć rękę, że z niego będzie wzorowy ojciec rodziny.

— Rozkaz! — odpowiadałem po wojskowemu.

— Za takiego można ręczyć, że nigdy nie zawiedzie...

— Słusznie.

Jakgdyby nic nie zmieniło się w naszem życiu i wszystko szło normalnie.

Ale to było tylko z pozoru, a w rzeczywistości odbywa się w nas ciągle przez całe życie fizyczny i moralny proces ciągłej przemiany. Nic nie przemija bezkarnie, mędrcy twierdzą, że nawet żadne wypowiedziane słowo nie ginie w nieskończoności bez śladu. Może dlatego mówi ludowe przysłowie: „słowo nie wróbel — nie złapiesz, gdy ucieknie" — a religja liczy się nietylko z naszemi słowami, ale nawet z naszemi myślami, z grzechem myślą — nie uczynkiem.

Czyż mogła przejść bez śladu dla psychiki naszej „świętej rodziny" historja nad brzegiem morza, która o mało co tej rodziny nie rozbiła. To być nie mogło i nie było. To przejście poddało w wątpliwość i analizę samą świętość naszych stosunków — narzucając nam ciągłe przypomnienie, że jesteśmy odmiennej płci, i że miłość między dwojgiem takich istot wymaga władczo ostatecznego dopełnienia. A z chwilą, gdyśmy to zrozumieli i odczuli, nie mogło pozostać „po dawnemu", musiała wytworzyć się nowa forma współżycia. Ta zabawa w małżeństwo doprowadziła nas do położenia bez wyjścia: tak zżyliśmy się z naszą sytuacją, iż nie spostrzeg-

liśmy, że jesteśmy jakby w potrzasku. Rozejście stało się nie do pomyślenia. Oboje przestraszyliśmy się tej groźby jednakowo silnie, uznaliśmy za katastrofę i pośpiesznie zawróciliśmy z tej drogi do swego potrzasku.

Nie było ku temu żadnych podstaw materjalnych, żadnej konieczności ekonomicznej: pod tym względem byliśmy oboje zupełnie swobodni i niezależni. Przestrach był natury czysto duchowej; moralnie stanowiliśmy jedną całość: Ika, Nika i Wika.

Drogą niewidocznej psychicznej ewolucji fikcja małżeństwa i fikcja rodziny zmieniła się w rzeczywistość. Po historji nad morzem i po naszem pogodzeniu ta przemiana — niby po nieudanej rewolucji — zaczęła iść przyspieszonem tempem. Jakgdyby groźba zniszczenia tej spójni rodzinnej nadała nam wzajemnie nowe prawa i obowiązki na wzór praw i obowiązków w prawdziwym związku. Najdziwniejsze, że powstała w nas w stosunku do drugiego jeżeli nie zazdrość, to coś bardzo podobnego. Nika była wyjątkowo piękna. W restauracji — jak już zaznaczałem, krążyła koło niej — jak muchy koło miodu — masa mężczyzn wszelakiego wieku, jednakowo wrażliwych na wdzięki. Gdy przechodziliśmy przez ulicę, nawet Grecy i Turcy wytrzeszczali na nią gały i cmokali językiem. Dawniej śmieszyło mię to i wbijało w pewnego rodzaju dumę, — obecnie wywoływało uczucie podrażnienia, a nawet obrazy, jaką odczuwają ślubni małżonkowie, gdy amatorzy przygód zaczepiają ich żony na ulicy. „Bezczelni— jakiem prawem"! Kobieta jest stworzona do podobania się mężczyznom. Pod tym względem Nika miała też pewną słabość. Trudno — nie można zmienić natury. Przecież i kwiaty kwitną, aby cieszyć wzrok ludzki

i podobać się. Ale co dziwniejsze, że od tego czasu Nika zaczęła gniewać się na komplementy, a tym co ofiarowywali jej swe towarzystwo na spacer lub odprowadzenie do domu, stale odpowiadała:

— Proszę się nie trudzić — mnie odprowadzi mąż.

Wogóle Nika zaczęła przypominać wszystkim wielbicielom, że ma męża.

W ostateczny zachwyt i zdumienie pogrążył mnie następujący wypadek.

Jedna z towarzyszek Niki z restauracji zakochała się we mnie, oczywiście bez najmniejszego współudziału lub zachęty z mej strony. Bywa tak z kochliwemi pannami: ni stąd ni zowąd zapała afektem do obcego prawie nieznanego mężczyzny i poprostu szaleje. Zakochała się a właściwie zawróciła sobie głowę. Na mój widok poprostu traciła równowagę: oczy w słup, zapomina o swych obowiązkach, o klientach w restauracji, a nawet o tem, że jestem żonaty. Zdarzało się, że wypadkiem usiadłem przy stoliku, do niej należącym. Wtedy zaczynała mówić do mnie specjalnym tajemniczym szeptem, patrzeć w oczy jakimś błędnym wzrokiem, nucić cichutko takie „znaczące" urywki romansów cygańskich, np. „Ach dlaczego spotkałam się z tobą", „Nikt nas nie spotka" „Tobą oddychać, ciebie ukochać i umrzeć z tej miłości". Wszystko to przy podawaniu talerzy, chleba, barszczu lub bitek w śmietanie. Zrozum, człowieku! To zakochanie, będące dla wszystkich otaczających oddawna publiczną tajemnicą, zaczęło przybierać poprostu nienormalny charakter. Pannę zaczęto wyśmiewać, a Nikę uprzedzać, że nasz romans zbliża się do niebezpiecznego finału. Najbardziej przejmowała się tem tak niedawno jeszcze wychwalająca moją wierność Anna Iwanowna. W swej

głupocie postanowiła ratować nasze rodzinne szczęście i rozmówić się z zakochaną panną. Widocznie robiła jej wymówki, z których tamta wywnioskowała, że naprawdę mogłaby być przyczyną naszego rozwodu, jeżeli nią jeszcze nie jest, i że nasze stosunki małżeńskie są podważone. Kiedyś razem z menu podsunęła mi list na błękitnym papierze: „wiem, że mnie kochasz i tylko z litości ciągniesz jarzmo małżeńskie i żyjesz z kobietą, która stała ci się wstrętna. Bądź śmiały, zerwij okowy, a będziemy szczęśliwi, jak bogowie! Dziś wieczorem czekam cię na wybrzeżu, a stamtąd... ukochać cię, utulić i płakać z tobą wraz".

Nie wiedziałem, co zrobić z tym listem. Nie mogłem go zostawić na stole na ogólne pośmiewisko — schowałem do kieszeni. W domu pokazałem Nice. Przeczytała, zaczerwieniła się i poważnie rzekła:

— Najwidoczniej dałeś powód tej idjotce do napisania czegoś podobnego.

— Nic podobnego, ani słowem, ani spojrzeniem...

— Cóż! niech pan skorzysta z okazji. Z mej strony niema żadnych przeszkód.

Tak dziwnie zabrzmiał jej głos! drży w nim uraza i obrażona duma. Czyżby zazdrość! Na to wygląda. Byłem szalenie szczęśliwy i śmiałem się serdecznie.

— Szkoda tylko, że taka głupia. Zresztą wy, mężczyźni, takie właśnie wolicie.

V.

Gdybym był starożytnym Rzymianinem, wierzyłbym święcie w to, że ja, czy też ktoś z mych przodków ściągnął na siebie gniew bogini miłości, Wenery, i ja stałem się ofiarą jej zemsty.

Nigdy nie była łaskawa dla mnie ta cudna bogini i od mych najwcześniejszych lat pastwiła się nad każdem mojem uczuciem.

Mając lat dwanaście kochałem się w pewnej młodziutkiej damie, byłem zazdrosny i cierpiałem jak mężczyzna, ale mój dramat był tylko tematem drwin i uciechy dla otoczenia. Potem ubóstwiałem jednego z moich kolegów, pałałem ku niemu miłością czysto platoniczną, starsi splugawili ją brudnemi podejrzeniami i złośliwemi drwinami. Jako student zakochałem się w ślicznej, zgrabnej i delikatnej dzieweczce, Nadi i przez sześć lat nosiłem w duszy jej obraz, strojąc go we wszystkie zalety bohaterek Turgenjewa. Po sześciu latach stanęła przede mną ona, wprawdzie też podobna do jednej z kobiet Turgenjewa — ale wyjątkowo antypatycznej istoty — akuszerki Maszurinej z romansu „Now", i nawymyślała mi od zwykłych burżuazyjnych szubrawców. Następnie moja miłość ku Nice, romans, w którym jestem fikcyjnym mężem i ojcem — a teraz może jako epilog mych sercowych przygód — otrzymałem nazwę Don Juana, uwodziciela niewinnych dziewcząt.

Nocą 17 września otruła się zakochana we mnie owa panna z restauracji. Wiera Princessowa,

pozostawiwszy dwa listy. W jednym prosiła nie obwiniać nikogo z powodu jej śmierci, w drugim, adresowanym do mnie, napisała: „Czekam cię! jeżeli nie jesteś podłym tchórzem i kochasz mnie, zrozumiesz, że niema i dla ciebie innego wyścia".

Treść tego listu, w różowej kopercie z całującemi się gołąbkami, przez pierwsze kilka dni była znana tylko władzom śledczym. Osobiście nigdy nie przypuszczałem, aby istniał wogóle jaki list do mnie. Gdybym był wiedział, byłbym może przedsięwziął jakieś środki ostrożności, aby swem postępowaniem nie nasuwać podejrzeń o bliskim stosunku z nieszczęsną Wieroczką, co zaczęli podejrzewać wszyscy, dowiedziawszy się o treści owego przeklętego listu, napisanego najwidoczniej w nienormalnem podnieceniu. Ale ja i Nika dowiedzieliśmy się o tym liście ostatni. Składało się tak, jakgdyby sam los chciał oskarżyć mnie w tym smutnym, ale głupim wypadku.

Wiera i Luba, towarzyszki Niki z restauracji, obchodziły swe imieniny. Czułem się zawsze wobec Wiery niby winny, że przez sam fakt swego istnienia jestem powodem jej cierpień. W dzień owych imienin opustoszyłem rabaty naszego ogródka i ofiarowałem Wieroczce olbrzymi bukiet, a Luboczce — mniejszy. Imieniny obchodzono w ścisłem kółku w jednym z gabinetów restauracyjnych. Nika została z dzieckiem, a ja miałem reprezentować naszą rodzinę. Przyszedłem około godziny dziewiątej, gdy całe towarzystwo było już „pod gazem" i w pokoju, w kłębach tytuniowego dymu — panował ten hałaśliwy i rozlewny nastrój — zwykły na wszystkich rosyjskich zabawach towarzyskich. Moje zjawienie z bukietami było powitane wesoło i szumnie. Posadzono mnie między dwoma solenizantkami, które były już w zbyt różowych

humorach. Wiadomo, że towarzysto „nagazowane" nie znosi ludzi trzeźwych: ze wszystkich stron krzyczano na mnie, żebym „doganiał". Piję rzadko i mało, a tu kazano mi pić jakiś podejrzany kruszon, którego skład — jak wiadomo — ulega zmianie w miarę podniecenia pijących. Po trzech szklankach tego kruszonu jeżeli nie zrównałem się z bardziej zaawansowanymi, to w każdym razie wpadłem w nastrój beztrosko-figlarny i wzniosłem jakiś szalenie niemądry, ale zupełnie odpowiedni do uroczystości i panującej atmosfery — toast za zdrowie solenizantek na temat wiary, nadziei i miłości, przyczem na pierwszem miejscu stawiałem wiarę.

— Jeżeli jest wiara, to będzie i nadzieja i miłość. Niech żyje nasza Wiera! — Tak zakończyłem ten idjotyczny toast, a Wieroczka w radosnej ekstazie zerwała się, krzyknęła: „Wiara bez uczynków martwa jest" i podała mi usta do pocałunku. W tej chwili przypomniałem sobie ów list, obiecujący niedawno „kochać, tulić i płakać" i przyznam się, że się przestraszyłem. Żeby ukryć przestrach i zmieszanie, rzekłem znacząco:

— Tylko potajemny pocałunek ma urok.

Trąciłem się kieliszkiem z Wierą i pocałowałem ją w rękę. Ona nadąsała się i odparła:

— Tylko mężatki całuje się w rękę.

Zaczęto nas godzić, popychać ku sobie. Nie pamiętam już, jak się to stało, że w pewnej chwili gorące ręce — dziś już martwe i zimne — objęły moją szyję, a purpurowe — dziś już sine wargi — przylgnęły do moich. Pamiętam jeszcze, że zachowałem się wtedy zupełnie biernie, a Wiera okazywała taką pewność siebie, jakby takie pocałunki nie były między nami rzadkością.

Wszyscy zaczęli bić brawo, a Wiera zupełnie oszołomiona, deklamowała „Miłość — to sen w upojeniu".

Bardzo ładnie wyglądała tego ostatniego wieczoru w swojem życiu. Biała suknia, obnażone pełne ramiona, w wieńcu, który splotła z mych kwiatów i w takiej samej przepasce; podniecone ruchy, zamglone oczy i specjalnie namiętny śmiech, białe błyszczące wśród purpurowych warg — zęby. Podobna była do pijanej bachantki — i przyznaję się, że siedząc obok niej, miałem grzeszne myśli. Nie— nie myśli, a odczucia — i byłem wtedy skłonny zapomnieć o jej duchowych brakach. Tylko, że te wrażenia były przejściowe i powierzchowne...

Zabawa trwała do północy, poczem ktoś rzucił projekt spaceru nad morzem. Wiera wzięła mnie za rękę i przytuliła się w specjalnie znaczący sposób. Uściśnie rękę i puści — po chwili to samo. Noc była ciemna, bezksiężycowa, gdzieś tam wysoko migotały gwiazdy, wzdychało morze, pachniały akacje.

„Ukochać cię, utulić i płakać z tobą wraz" cicho nuciła Wieroczka i tuliła się do mnie. Nagle ogarnął mnie niepokój. Przechodziliśmy właśnie obok uliczki, prowadzącej do mego mieszkania. Przystanąłem i zacząłem się żegnać.

— Nie mogę, proszę państwa, wiecie przecież, że jestem żonaty. Chciałaby dusza do raju, ale grzechy nie puszczają.

— Pan nie pójdzie? — spytała Wiera groźnym tonem. — Stanowczo?

— Nie mogę.

— A jeżeli poproszę, by mnie pan odprowadził?

Całe towarzystwo już się oddaliło, a Wiera nie chciała puścić mej ręki.

— Niestety, musiałbym odmówić. Muszę być w domu przed drugą.

— Doskonale! w takim razie ja pana odprowadzę.

Wesołe towarzystwo zginęło już w nocnych ciemnościach, tylko od czasu do czasu w ciszy uśpionych uliczek rozbrzmiewały dalekie wybuchy śmiechu. Byliśmy sami.

— Znudzili mnie już wszyscy... chodźmy do lasku...

— Nie mogę... innym razem...

Weszliśmy w moją uliczkę. Nagle Wiera puściła moją rękę i pobiegła zpowrotem

„Tchórz!" zabrzmiał kobiecy okrzyk w ciemnościach. Po chwili — śmieszek.

Oto wszystko, co zaszło na kilka godzin przed samobójstwem tej dziewczyny. Całe towarzystwo pamiętało, że oddaliliśmy się wtedy we dwoje i zniknęli — i na tej podstawie budowano następnie domysły i haftowano wszelkie przypuszczenia.

Wczesnym rankiem zaczął sie złowrogi zamęt i bieganina między emigrantami. Otruła się Wiera Princessowa.

My wszyscy umiemy kochać swych bliźnich daleko bardziej po śmierci. I śmierć tej kwitnącej dziewczyny, pięknej, porywczej, zaledwie wczoraj obchodzącej swe imieniny, tańczacej i śmiejącej się bez przerwy, wydała się wszystkim czemś potwornem i niemożliwem. Kiedy z rana druga wczorajsza solenizantka zapukała do naszego okna i oznajmiła tę nowinę, nie wierzyłem własnym uszom ani Lubie. Pomyślałem, że poprostu przejadła się lub wypadkiem wypiła coś trującego.

— Jednak trzeba będzie na wszelki wypadek zawezwać doktora, — powiedziałem do Luboczki po

przez kotarę, otulając się kołdrą, zły, że mię obudzono.

— Ależ ją zabrali już do szpitala, — zawołała dziewczyna i rozpłakała się.

I śpiesznie ze łzami w oczach opowiadała, że gdy przed godziną całe towarzystwo powracało ze spaceru nad morzem, ona idąc do domu wstąpiła po drodze na podwórze, gdzie mieszkała Wiera, aby dowiedzieć się, czy już wróciła.

— Pan z nią wczoraj razem odszedł, — zauważyła mimochodem, poczem znów opowiadała:

— Tymczasem na podwórzu pod jej oknami stało moc ludzi, a po chwili zjawiła się policja.

— Co się stało? zapytuję, wtem słychać straszny krzyk z jej okna. Po chwili ją zabrali...

— Czy jest przy niej ktoś bliski? — trwożnie spytała Nika.

— Niema...

— Niechże pani prędzej idzie!

— Boję się...

— Janku, ty musisz tam iść, kochany, Bóg wie, co tam się stało, przecież jesteś jednak doktorem...

— Chodźmy, Iwanie Piotrowiczu, chodźmy, mój drogi panie! ona pana tak ubóstwiała! — zawołała Luba.

— Dobrze, za chwilę.

Ubrałem się szybko i poszliśmy do szpitala.

Otruła się rozczynem sublimatu, pomoc doktorska spóźniła się — umarła w strasznych męczarniach. Pogrzebem zajęła się restauracja, o czwartej było pierwsze nabożeństwo. Wiera leżała w trumnie w białej sukni, tej samej, co wczoraj, zasypana kwiatami, a na jej półotwartych ustach, jakby zastygł wczorajszy uśmiech. Nie umiem wyrazić, jak strasznie było mi jej żal! tej niemądrej egzaltowanej dziewczyny. Przecież to był poprostu wypadek

a nie rezultat jakichś głębszych przeżyć duchowych. Może popchnęło ją do tego podniecenie alkoholem. A może gdybym był odprowadził ją do domu — przyznałaby mi się ze swego zamiaru i udałoby mi się jej to wyperswadować? W tej chwili wstrząsnęła mną myśl, że może Wiera otruła się przeze mnie!

Początkowo z mych oczu płynęły łzy żalu, ale na myśl „może przeze mnie“ poczułem, że czerwienieję i blednę, w głowie mi się kręci, a przed oczami wszystko miga jak na ekranie marnego kina. Nie mogłem wytrzymać przy tej trumnie, obok której staliśmy razem z Niką i zacząłem wysuwać się ku wyjściu. W tym zaduchu od potu ludzkiego, woni kadzideł, zapachu kwiatów zrobiło mi się niedobrze i musiano wziąć mnie pod ręce i wyprowadzić na świeże powietrze.

Nie poszedłem więcej na żałobne modlitwy i nie byłem na pogrzebie: pilnowałem chorej Wiki, a poszła tylko sama Nika. Posłaliśmy ogromny wieniec z róż herbacianych. Wtedy — na pogrzebie — Nika się dowiedziała, że Wiera zostawiła list do mnie adresowany. Dopiero wtedy zrozumiałem, dlaczego podczas nieobecności Niki policjant przyniósł mi wezwanie do władz śledczych — aby zjawić się na badanie następnego dnia.

Wszystkie okoliczności złożyły się tak, jakby samo życie było szulerem i grało ze mną znaczoną talją kart. W restauracji wszyscy dawno już spostrzegli, że między mną a Wierą zawiązał się flirt — znaleźli się świadkowie, którzy widzieli, że podczas obiadów zamienialiśmy między sobą listy. Dowiedziano się od Luboczki, że Wiera przyznała się jej, iż dawno już ja i ona .. kochamy się w sobie. Ci którzy byli na imieninach, spostrzegli, że między nami „coś zaszło“ a wszystko, co stało się potem — nasze wspólne oderwanie się od towarzystwa owej

pamiętnej nocy, treść pozostawionego przez Wierę listu dla mnie, która stała się ogólnie wiadoma, zawezwanie mnie na badanie sądowe — wszystko to potwierdzało tylko ludzkie domysły, że uwiodłem dziewczynę i zgubiłem, skorzystawszy z jej nieświadomości i miłości ku mnie...

W ciągu trzech dni stałem się tragicznym kochankiem zmarłej Wiery i oburzenie ogólne przejawiło się gniewem i pogardą mężczyzn, a przestraszoną ciekawością kobiet.

— To ten! — słyszałem nieraz za sobą lub koło siebie, idąc wśród tłumu ulicznego.

VI.

Tłum jest zawsze tylko stadem małp — nawet jeżeli składa się z ludzi kulturalnych. Tłum niekulturalny jest jak krwiożercze zwierzę, tłum kulturalny, jak gryząca w piętę żmija. Sąd jego jest głupi i niesprawiedliwy, gdyż feruje wyroki poza naszemi plecami i niema przed kim się usprawiedliwiać, ani do kogo apeloweć.

Byłem osądzony, jako uwodziciel niewinności. Nawet patentowani miejscowi Don Juani, z których każdy na mojem miejscu byłby bez skrupułu skorzystał z egzaltacij i zakochania niemądrej dziewczyny, okazywali mi swą pogardę i wstręt, tem samem jakby podkreślając swoją szlachetość. W restauracji zaczęto mnie bojkotować, stronić ode mnie i nie zauważać. Wyjątek stanowiły dwie damy „piękne pod każdym względem" według klasyfikacji Gogola, które zapałały ku mnie ciekawością, jako do bohatera romansu o tragicznem rozwiązaniu. Mężnie przeciwstawiając się bojkotowi, przysiadały się do mego stołu podczas obiadu i zaczynały rozmowy o „miłości silnej jak śmierć".

Trzeba mieć dużo cywilnej odwagi, aby lekceważyć opinję. Ja nie miałem jej poddostatkiem — i przestałem chodzić do restauracji. W mej nieobecności jadowite strzały oburzonego sumienia ogółu zaczęły trafiać w moją „żonę". Nika zaczęła coraz częściej wracać od pracy zdenerwowana. Jej osobiście jeszcze nie szykanowano, ale często roz-

mawiano o mem przestępstwie rozmyślnie głośno, aby ona słyszała. Uchodzcy na obczyźnie są jak zające podczas powodzi na małej wysepce: w gromadzie. Tęsknota za ojczyzną, bieda, ciasnota fizyczna i duchowa — zmuszały do warzenia się we własnym sosie — dlatego każda błahostka w tem życiu zdawała się być wydarzeniem wielkiej wagi, a plotka zastępowała gazetę. Plotkowali wszyscy, mężczyźni i kobiety. Czyż można było tak łatwo puścić w niepamięć mój romans z Wierą, dający tak obfity materjał i temat do gadania! Teraz oboje z Niką byliśmy jak pod mikroskopem. Nie przeszło to bez śladu: wkrótce zrobiono oszałamiające odkrycie: Nika okazała się nie moją żoną, a kochanką. Wobec tego stało się ogólnie zrozumiałem, że Wieroczka padła ofiarą mojej żądzy.

Niedługo przed samobójstwem Wiery przeniósł się z Warny do Sofji ten sam oficer z armji Bredowa, z którym zaznajomiliśmy się w Sofji w rosyjskiej cerkwi. Aby wytłumaczyć wówczas swe zainteresowanie losem Włodeczka, Nika podawała się za jego siostrę, nie przywiązując do tego drobnego kłamstwa żadnego znaczenia. Tymczasem to właśnie naprowadziło wywiadowców na trop nowej sensacji.

Czując nieprzewyciężony pociąg do człowieka, który był towarzyszem Włodeczka, Nika przyprowadziła go kiedyś do nas i wzruszona opowiadaniami o swym narzeczonym, pokazała gościowi fotografję Włodeczka.

— Oto on, mój najmilszy!

Na fotografji widniał napis, jakich się siostrom nigdy nie pisuje.

— Berezań! co toznaczy?

— To — moje nazwisko.

— Pani nazwisko? wtedy w Sofji — zrozumiałem inaczej i sądziem, że pani jest siostrą porucznika.

Gość zerknął ku mnie okiem sędziego śledczego, poskubał wąsik i zadeklamował:

— Hm...· jak to powiedział poeta: z życia żywy niech korzysta, zmarły w grobie niechaj śpi...

Z przeciwległego kąta staiałem się gestami powstrzymać zbyt otwartego przybysza. Nika zbladła jak płótno, zerwała się i wyszła z pokoju. Gość zmieszał się i patrzył na mnie ze zdziwieniem, — a ja — zapomniałem, że jestem mężem i ojcem.

— Ona wciąż czeka, spodziewa się, że Rajewski żyje·.. Nie trzeba zniszczyć tej nadziei...

Gość przepraszał, mówił „hm"..., wzruszał ramionami i naturalnie nic nie rozumiał. Dla niego stało się tylko jasnem, że ja nie jestem mężem, że ona mnie nie kocha. Więc kim ja jestem?

— Byłem przekonany, że...

Gość umilkł zmieszany — Nika nie wracała. Zaprowadziłem go do ogrodu, częstowałem herbatą — opowiadaliśmy sobie wzajemnie o swoich przejściach, przyczem starałem się wytłumaczyć mu nerwowość Niki i jej odejście — niezatartem jeszcze wrażeniem przebytych w Noworosyjsku okropności. Przysłowie powiada: „graj, ale nie odgrywaj się". Opowiadając o tragicznej ewakuacji z Noworosyjska, wspomniałem, że Nika byłaby tam zginęła, gdyby nie było mi się udało wywieźć jej, jako swojej żony. Temi trzema wyrazami „jako swojej żony", kóre wyrwały mi się nieopatrznie, zepsułem ostatecznie całą sprawę.

Gdy zaczęły się plotki i gadania na temat romantycznego samobójstwa i mojej w niem roli, ów oficer zdążył już zżyć się z towarzystwem i naturalnie nie pozostał biernym słuchaczem, ale wniósł

też swój udział. Jemu to na pewno zawdzięczaliśmy to odkrycie. Ja nie jestem mężem, a narzucającym się kochankiem. Narzeczony — mój przyjaciel — powierzył mi ocalenie swej narzeczonej, a ja, korzystając z zamieszania przy ewakuacji, wykorzystałem jego zaufanie i położenie bez wyjścia Niki i zmusiłem ją do współżycia ze mną.

Z pośród wszystkich naszych znajomych w Warnie jedna tylko Anna Iwanowna, ta która w swoim czasie dawała sobie rękę uciąć za moją wierność, w dalszym ciągu wierzyła, że „święta rodzina" — Ika, Nika i Wika — jest rzeczywiście prawdziwą i szczęśliwą rodziną, a tylko zazdrośni chcą rozbić to szczęście plotkami i złośliwością. Kiedyś zdenerwowana i oburzona, wpadła do nas podczas nieobecności Niki, oderwała mnie od pracy w warzywniku, zaprowadziła do odległego cienistego zakątka ogrodu i spytała ostro drżącym głosem:

— Czy to prawda, co o was mówią? nie mogę tego dłużej słuchać — na miłość boską, niech pan powie mi całą prawdę. Przecież... proszę tylko posłuchać, co o was gadają... niedobrze się robi...

I opowiedziała mi wszystko, co mówią na mieście, co przedtem już opisałem.

— Ktoś z przyjezdnych — wojskowy — wciąż na pana napada....

Zapragnąłem tylko jednego: niech sobie mówią, co chcą, byle nie wtrącali się do naszego życia — jak to czyni ta szanowna osoba. Nie mogę przecież zwierzać się wszystkim ze swych bolączek.

Pozostawiwszy gościa na ławce pod jabłonią, poszedłem do domu i przyniosłem dokument, wydany na moje imię wraz z żoną Weroniką Włodzimierzówną.

— Niech pani czyta!

Przeczytała, rozpłakała się, przeżegnała i głęboko odetchnęła..

— Ja to wiedziałam, wiedziałam... Boże! ile to podłości jest na świecie... dziękuję ci, mój drogi. Niech panu Bóg pomoże uchronić swoje domowe ognisko od błota ludzkiego i od wszystkich zatrutych jadowitych żądeł.

Wytarła łzy i pokręciwszy głową, roześmiała się.

— No tak! Nic więcej mi nie potrzeba. Bo przecież poprostu obrzydzenie człowieka bierze. Sama nie zaznałam szczęścia w małżeństwie, ale przynajmniej wiem, że bywa ono na świecie.

— Naturalnie, że zdarza się, proszę pani...

— Tak... tak... ale szczęśliwych ludzie nie lubią...

— Nie lubią... nic...

— A gdzie wasz aniołeczek?

— Śpi.

— Spojrzę na niego choćby tylko jednem oczkiem.

Zaprowadziłem ją do pokoju, gdzie spała Wika. Stanęła przy łóżeczku i ściskając w ręku chusteczkę, długo i tkliwie wpatrywała się, wstrzymując oddech.

Wyszła wesoła i uspokojona. Moje rozdrażnienie przeszło. W ciekawości tej kobiety było coś odmiennego, niż u wszystkich ludzi. Byłem zdumiony i wzruszony. Anna Iwanowna była tak mało znaczącym członkiem naszej emigracji i zawsze śmieszyła mnie myśl, poco ona uciekała od bolszewików? ta poczciwa „boża krówka“, jak nazywano ją w restauracji. Wtedy dopiero zrozumiałem, że jest to maleńki człowieczek, ale o wielkiej duszy, gdyż pragnącej zachować w duszy wiarę w czło-

wieka, w zwycięstwo sprawiedliwości i zapoznanej prawdy, — wiarę w istnienie szczęścia i miłości na świecie, tonącym w morzu krwi i łez...

Czy dobrze postąpiłem, oszukując ją przez okazanie fałszywych dowodów? Ale czy mogłem postąpić inaczej? Przecież moja prawda tkwi w grubej warstwie fałszu i kłamstwa, jak jądro w skorupie. W swojej bezgranicznej naiwności nie zrozumiałaby na pewno, że święta rodzina" wraz z dzieckiem nie zawiera ani męża, ani żony, ani kochanków, ani ojca. Czy jest możliwe wytłumaczyć ludziom moją tajemnicę?

Zajęcie w restauracji stało się dla Niki coraz bardziej nie do zniesienia. Czuliśmy się w Warnie, jak w obozie wrogów — zaczęliśmy żyć samotnie, odludnie, bez towarzystwa. Nika rzuciła restaurację, co było możliwe wobec tego, że udało mi się pomyślnie zlikwidować obfity zbiór owoców. Ta przymusowa samotność zbliżyła nas jeszcze bardziej. Ale wkrótce i to życie stało się nie do zniesienia; w naszej twierdzy zaczęto nas bombardować anonimami. Codzień przychodził list lub karta z wierszami i prozą lub obrazkiem i wstrętnym dopiskiem.

Zatruwano nam systematycznie życie, nie oszczędzając pamięci zmarłej Wieroczki.

Wyczerpała się nasza cierpliwość: zlikwidowaliśmy nasze interesy i zabrawszy rzeczy wyjechaliśmy z Warny.

Uciekliśmy do Sofji. W podróży Nika płakała całą noc. Myślałem, że płacze pod wpływem przykrości i zniewag, które uwoziliśmy w naszych duszach, ale myliłem się. Okazało się, że ostatniego dnia przed wyjazdem, gdy biegałem po mieście, załatwiając ostatnie interesy, ona dostała list od owego dawnego towarzysza Włodeczka z armji Bredowa.

— Masz — czytaj!

„Szanowna Pani! Proszę mi wierzyć, że tylko chęć przyjścia jej z pomocą skłania mnie do napisania tego listu. Widocznie spodziewa się pani, że jej narzeczony czy krewny, co jest dla mnie dotąd nie wyjaśnione, Włodzimierz Mikołajewicz Rajewski, którego pani poszukuje, znajdzie się i wyswobodzi panią z potrzasku, w jakim się pani znajduje. Uważam za swój moralny obowiązek odkryć prawdę, którą zataił przed panią z niewiadomych powodów człowiek, z którym pani jest związana w sytuacji bez wyjścia. Włodzimierz Rajewski, jak mi wiadomo z najpewniejszego źródła, zginął przy usiłowaniu przejścia przez granicę Rumunji. Zawiadamiając o tem nieszczęściu, ja — jako towarzysz pułkowy ś. p. porucznika Rajewskiego, śmiem ofiarować pani swą bezinteresowną pomoc w tym wypadku, gdyby pani zdecydowała się wyswobodzić z pułapki.

Podpis i dokładny adres tego dobroczyńcy.

Przez całą drogę Nika płakała cicho, starając się to ukrywać przed ludźmi, — spała lub udawała, że śpi. Ja bawiłem Wikę. Był to ostatni przypływ rozpaczy. Potem zeszło na nią pokorne poddanie się losowi i pogodzenie się z utratą ostatniej nadziei.

VII.

Wtrącanie się ludzi w nasze osobiste stosunki, doświadczone przez nas w Warnie, poza przykrościami moralnemi, zagrażało nam jeszcze komplikaciami bardziej groźnemi: lękaliśmy się, aby władze nie chciały formalnie sprawdzać prawdziwości naszego małżeństwa, na co dotąd nie zwracaliśmy uwagi. Zaczęliśmy zastanawiać się, jak się bronić. W Warnie nasze rozejście było niemożliwe: byliśmy zameldowani z fałszywych dokumentów, pochodzących z czasów ewakuacji z Noworosyjska. Obecnie, przy zmianie miejsca pobytu, był odpowiedni moment dla wyjścia z tej niebezpiecznej sytuacji. Zamieszkaliśmy w Sofji, w olbrzymim domu-hotelu Continental, oddanym do wyłącznej dyspozycji rosyjskiej emigracji. Dom był pod zarządem komendanta z wyboru — byłego pułkownika, i żył swem własnem, chaotycznem rosyjskiem życiem. Była tam własna jadłodajnia, kooperatywa, kantor i redakcja rosyjskiej gazety. Jakby okręt na morzu pod flagą rosyjską. Mieszkając tam, miało się zupełną pewność osobistej wolności — gdyż ten przytułek był jakby na prawach eksterytorjalności. Komendant był niby gubernatorem, który reprezentował mieszkańców wobec bułgarskich władz. Dla nas była to okoliczność wielce pomyślna: komendant był moim znajomym.

Wtedy właśnie „rozwiedliśmy się". Stałem się znów kawalerem, a Nika figurowała pod swem panieńskiem nazwiskiem. Zamieszkaliśmy w oddzielnych pokojach, nawet nie na tem samem piętrze. Zo-

stało tylko jedno kłamstwo: podałem Nikę za swoją siostrę, aby przez to pokrewieństwo ułatwić sytuację i nie gorszyć współmieszkańców naszą zażyłością. Nika dostała duży słoneczny pokój, porządnie umeblowany, wesoły, z balkonem od frontu, z łóżkiem za przepierzeniem, jednem słowem: drogi numer w pierwszorzędnym hotelu. Zato ja ulokowałem się na poddaszu w maleńkim pokoiku biednie umeblowanym, przypominającym mi żywo niepowrotne lata studenckie.

W mieście nazywano nasz dom „Arką Noego". Bardzo trafnie — bo też kogo tam nie było? Ludzie wszelkiego stanu, wieku, profesji, zamożności — cywilni i wojskowi, panie i panny, oficerowie i duchowni, młodzież i dzieci. Między mężczyznami większość była w mundurach, ale kto wtedy nie nosił munduru — angielskich płaszczy i butów z owijaczami. Dziennikarze, muzycy, poeci, aktorzy, siostry miłosierdzia, zrujnowani kupcy i obywatele, studenci i uczniowie — wszyscy nosili angielskie płaszcze i buty, nazywane „tankami".

Chwilami można było zapomnieć, że dzieje się to wszystko nie w „Zamoskworeczji", a w stolicy Bulgarji.

Nasze wprowadzenie do Arki Noego początkowo było przyjęte z niechęcią. Na pokój Niki było masę amatorów, uważających się za pierwszych kandydatów. Myśmy o tem nie wiedzieli, a znajomy pułkownik, komendant, prawdopodobnie uległ urokowi pięknej kobiety i poza kolejką umieścił nowoprzybyłą damę z dzieckiem. Patrzono na nas zukosa, przez pierwszy tydzień czuliśmy się obco, co było nam zresztą bardzo na rękę. Nika przeżywała ostatki swego bólu i religijno-mistycznego nastroju. Nosiła czarną suknię i woal żałobny, mówiła cicho, chodziła wolno, nie zajmowała się niczem, nie opuszczała ani jednego na-

bożeństwa w naszej cerkwi i modliła się tak jakoś gwałtownie, jak wiejskie kobiety. Przyciskała krzyż do czoła i piersi, klęcząc i jakby przełamując się, skłaniając głowę na kamienne płyty podłogi, i tak zastygała na dłuższą chwilę, jak czarny kłębuszek. Podnosząc się z ziemi, kierowała wzrok w górę za „ikonostas", gdzie wisiała kopja Madonny Wasniecowa z Dzieciątkiem na tle ciemnego, gwiaździstego nieba, i w jej oczach lśniły łzy. Czasami zachodziłem i ja z Wiką do cerkwi i zastawałem Nikę na kolanach, skuloną na ziemi lub też znieruchomiałą, z oczami utkwionemi w Matkę Bożą. Oddawała się całkowicie modlitwie i zdawało się, że nietylko my z Wiką, ale i cały świat dla niej nie istnieje. Raz Wika, zobaczywszy matkę, zawołała wesoło na cały kościół: mamusiu! Ten radosny i niespodziewany wykrzyknik dziecka, jak ptasi świergot, zwrócił ogólną uwagę i wywołał uśmiech na wielu twarzach, tylko Nika się nie poruszyła, jakby nie słyszała i żaden muskuł nie drgnął na jej twarzy.

Kiedyś zakupiła nabożeństwo żałobne. Ja o tem nie wiedziałem i jak zwykle, zaszedłem po nią, by razem wrócić do domu. Nika nas nie zauważyła, a ja uczułem się zbytecznym, niewłaściwym i pomyślałem, że i jej wydaję się takim w tej chwili modlitwy za Włodeczka. Dziwne uczucie: dlaczego nie mogę tak jak ona modlić się „za spokój duszy" zabitego żołnierza, bojara Włodzimierza?

Nie chciała podzielić z nikim bólu swego, ani swej modlitwy. Może i słusznie. Dla mnie śmierć Włodeczka była tylko zgonem szczęśliwego rywala, a wielkie, cierpiące oczy Niki przypominały mi tylko, że ona kocha nie mnie, ale jego, i że nie byłoby nic podobnego, gdybym to ja zginął, nie Włodeczek. Naturalnie byłoby jej przykro, byłoby nabożeństwo — a nawet i łzy, ale to wszystko byłoby inne — bez te-

go zazdrosnego zapamiętania się w swoim bólu, bez tego ukrywania swego cierpienia. „Mój Boże, jak mi żal tego biednego Janka". mówiłaby, ocierając łzy, ale z radosnym uśmiechem na widok tamtego. Czułem się jak nigdy dotąd — obcy jej na tem nabożeństwie.

— Chodź, dziecinko — szepnąłem smutnie do Wiki i wziąwszy ją na ręce, wyszedłem z cerkwi.

Był słoneczny, jesienny dzień, z lekkim przymrozkiem: złotem i purpurą gorzały sady, zdrowe, czyste powietrze przejmowało specjalną świeżością i było jakby bardziej przezroczyste z błękitnemi cieniami i złotemi plamami od słońca. Zupełnie jak świeżo namalowany olejny obraz. Oboje z Wiką odrazu rozruszaliśmy się i poczuli radość życia. Podbiegł przyjacielsko jakiś pies — zajęło to Wikę. Młody jeszcze szczeniak ceter — podobała mu się zabawa, nie odchodzi, skacze, szczeka...

Przyszło mi na myśl: „i żywemu psu lepiej jest, niż martwemu lwu".

Potem myślałem o Nice. Jak piękną jest w swem cierpieniu — zachwycam się nią. Może to i lepiej, że dowiedziała się prawdy o swym Włodeczku. Może skończy się nareszcie to straszne panowanie nieboszczyka, — przeboleje, żal i smutek przeminą, a wtedy... I zrobiło mi się wesoło na duszy. Dlaczego? Czy nie dlatego, że to zginął Włodeczek, a nie ja: „Z życia żywy niech korzysta, zmarły w grobie niechaj śpi!"

Wróciliśmy do „Arki Noego". W westybulu, jak zawsze, tłum ludzi, skupiający się przy tablicy, na której wywieszane są różne ogłoszenia, listy, poszukiwania zaginionych, krewnych. Wiem, że niema dla mnie listów, gdyż nikt nie wie, gdzie się znajduję, a jednak zawsze patrzę, oczekując cudu. Listów naturalnie niema. Idę ku schodom, z których schodzi

wojskowy, o kuli, z taką znajomą twarzą. Gdzieś i kiedyś na pewno spotykaliśmy się. Spojrzawszy na siebie, odwróciliśmy się i znów obejrzeli. Zatrzymaliśmy się obaj i cokolwiek zmieszali, potem uśmiechnęliśmy się.

— I pan tu? Rzeczywiście — góra z górą...

Przywitaliśmy się.

— A jednak nie mogę sobie przypomnieć, gdzie...

— Porucznik Chłopin. Jeździliśmy autem z Sewastopola do Bałakławy...

Naturalnie, przypomniałem sobie odrazu: Bałakława, Sewastopol, lazaret, i ranny oficer, którego woziłem do Niki — i pierwszy jej pocałunek w podzięce za radosną wiadomość...

— Pan mieszka tu, w Arce?

— Tak.

— To się zobaczymy. Przyjdę. Które piętro i numer?

Podałem mu adres swego gołębnika.

— Teraz idę na opatrunek — nie mogę. Źle jest z moją nogą.

Nie wiem dlaczego, ale zupełnie mię to spotkanie nie ucieszyło, a raczej przestraszyło.

VIII.

Dopiero później zrozumiałem, dlaczego nie ucieszyłem się, a przestraszyłem spotkania z porucznikiem Chłopinem. Znów przemknął cień Włodeczka. Jego towarzysz z pułku, przyjaciel, razem uciekali i byli ranni. Nika modli się za umarłych, a tu znów ukazuje się człowiek, który wierzy w to, że Włodeczek żyje i będzie przeszkadzał Nice wyswobodzić się z pod władzy umarłego, zapomnieć o tem co przeszło, a odrodzić się do nowego szczęścia. Lepiej, żeby go nie widziała. Ucieszyłem się zaś dlatego, że widok tego człowieka przypomniał mi czarowny Krym, miasteczko nad lazurową zatoką, domek w górach, Nikę w białej sukni — to wszystko takie dawne i takie miłe, co ofiarowała mi na pożegnanie ziemia rodzinna.

Zając spłoszony boi się nawet krzaka... a ja byłem wtedy bardzo spłoszony: nie mogłem przyzwyczaić się do nowych warunków — kiedy przestałem być „mężem", ojcem, głową rodziny — a musiałem zadowolić się rolą kuzyna. Zdawało mi się, że dwoje nieboszczyków: Włodeczek i Wiera przez zemstę wdzierają się między „świętą rodzinę" i chcą ją zniszczyć. Rozerwali nas, zmusili do oddzielnego mieszkania, że mnie zrobili jakiegoś „porzuconego męża", z Niki — wdowę czy też zakonnicę. Wychodziło na to, jakbyśmy żyli szczęśliwie, żona zakochała się i wyszła za innego, owdowiała, a teraz ja przebaczyłem jej zdradę i widujemy się w imię wspomnień o dawnem szczęściu — ale żyć razem nie

możemy. Miałem właśnie takie uczucie opuszczonego męża zawsze, gdy siedziałem w swym studenckim pokoiku w okresie religijno-mistycznych ekstaz Niki.

Szczęście przebywania pod jednym dachem z ukochaną kobietą, oddychania tem samem powietrzem, czucia przy sobie jej obecności dniem i nocą, słuchania jej głosu, szelestu sukien, odczuwania jej obecności wszystkiemi myślami — to szczęście staje się zrozumiałe dopiero wtedy, gdy się je utraci. Jakkolwiek byłem tylko mężem „na niby", który nie osiągnął szczęścia najtajniejszego zbliżenia się z ukochaną, a może właśnie dlatego jeszcze silniej odczuwałem to wewnętrzne zbliżenie, nie różniące się poza tem od wrażeń prawdziwego małżonka. Trudno jest wyrazić to słowami. Myślę, że zrozumieją mnie tylko porzuceni lub niedawno owdowiali mężowie.

W ciągu pierwszych kilku dni chodziłem bez głowy, błąkając się po korytarzach, wchodząc i schodząc ze schodów. Nie wiedząc, co z sobą robić w swym pustym pokoiku i gdzie się podziać, wymyślałem preteksty, aby zajść do Niki — gdzie stałem się obcym. Już podchodząc ku jej drzwiom odczuwałem tę zmianę. Na drzwiach bilet wizytowy: Weronika Berezań! tak jakoś wrogo na mnie patrzył przypominając, że to nie moje, a czyjeś mieszkanie, i że wchodzę tam jako gość, często nieproszony. Nieraz na moje nieśmiałe pukanie, drzwi pozostawały zamknięte.

— Nie można — dźwięczał głucho beznamiętny jak przeznaczenie głos.

Dodawał zawsze: „jestem nieubraną", „myję się" i t. p. ale ja wiedziałem, że albo płacze, albo się modli lub też poprostu pragnie samotności. Ratowała mnie Wika, gwałtownie przeszkadzając temu oddaleniu. Nice pomagała pokojowa Mania, ale tylko czasami,

a gdy Nika szła do cerkwi, posyłała po mnie i wtedy zakwaterowywałem się w jej pokoju. Po powrocie Nika bywała serdeczniejsza względem mnie, po dawnemu nazywała mnie „Jankiem“, wysiadywaliśmy razem po kilka godzin i chwilami zaczynałem zapominać o swem odosobnieniu. Ale na korytarzu zegar wybijał godzinę jedenastą i Nika mówiła:

— Czas już na ciebie...

Wika coraz bardziej przywiązywała się do matki, a i Nika jakby dopiero teraz poczuła się matką tego biednego dziecka... jakby śmierć Włodeczka wyzwoliła w niej uczucia macierzyńskie. Żeby nie odczuwać tak swego smutku i osamotnienia zacząłem rano zabierać Wikę na spacer — wogóle starałem się nie wysiadywać samotnie w swym pokoju. Dwa razy znalazłem w swych drzwiach zasunięty bilet porucznika Chłopina i wtedy odczuwałem zawsze pewien przestrach. Kiedyś nareszcie zastał mnie w domu i najwidoczniej spostrzegł pewne zmieszanie na mej twarzy.

— Przepraszam, może panu przeszkadzam?

— Proszę... bardzo proszę...

— Kilka razy już byłem, ale nigdy pana nie zastałem.

Przez długi czas nie kleiła się rozmowa — nie było o czem mówić. Musiałem zacząć się wypytywać o jego chorą nogę: nie zdążył jej wyleczyć w Sewastopolu, podczas ewakuacji był cały tydzień bez opatrunku — rana się zaogniła, zagnoiła — trzeba było skrobać...

— No — i co?

— Było lepiej... teraz znów się pogorszyło.

Wyczerpał się temat, zaczęliśmy mówić o Bałakławie, poczem naturalnie przeszła rozmowa na Nikę i na Włodeczka. Porucznik wiedział już, że Nika tu

mieszka — widział ją w cerkwi, ale ona go nie poznała i nie oddała ukłonu.
— Dlaczego jest w żałobie?
— Ona... ojca jej rozstrzelali w Rosji...
— Czy to pana krewna?
— Cioteczna siostra...
— Wyjątkowo sympatyczna, — pomyślał głośno porucznik, i zrozumiałem, że chciałby bardzo odnowić swą dawną zażyłość z Niką, czego właśnie najbardziej się bałem.
— Mówią, że żyje w zupełnem odosobnieniu, gdybym się nie bał być natrętem, z przyjemnością... uważałbym za swój obowiązek odwiedzić ją. Byliśmy kiedyś z nią i Włodkiem Rajewskim w wielkiej przyjaźni.
— Widzi pan, właściwie...
Zacząłem radzić mu wstrzymać się narazie z tą wizytą. Siostra tak bardzo odczuła śmierć ojca, że nawet ja staram się jak najmniej jej pokazywać.
— Ciąży jej towarzystwo ludzkie... nawet najbliższych...
— Szkoda.
Znów zabrakło nam tematu i znów jako doktór zacząłem mówić o chorej nodze gościa.
— Byłem u rosyjskiego profesora Worobjewa. Wysyła mię nad morze — mam zamiar osiedlić się w Warnie.
— Prześliczne miasteczko — zawołałem odetchnąwszy z ulgą i spojrzałem na zegarek.
— Pan się śpieszy?
— Hm... mam jeszcze kilka minut czasu... może już razem wyjdziemy.
Zaczęliśmy znów mówić o Warnie. Porucznik opowiadał, że ma tam znajomego pułkownika, towarzysza walk, i podał nazwisko tego nienawistnego mi oficera, który zaofiarował się Nice z pomocą wyrato-

wania jej ode mnie. Miły i sympatyczny porucznik Chłopin, połączenie rasowego panicza z bujną kupiecką naturą — przez samo wymówienie tego nienawistnego nazwiska wydał mi się odrazu wstrętny — i zacząłem go przepraszać, że muszę iść... jestem zajęty. Zeszliśmy razem ze schodów i na piętrze, gdzie mieszkała Nika — ku memu przerażeniu, zobaczyliśmy ją stojącą u drzwi z Wiką na ręku.

— Tatusiu! — zawołała Wika, i ten okrzyk najwidoczniej mocno zadziwił mego towarzysza.

Nika obejrzała się, porucznik brzęknął ostrogami i zasalutował.

— Może pan mię odwiedzi? — spytała Nika.

— Z wielką chęcią, ale boję się przeszkodzić...

— Nigdy nie może pan przeszkadzać... będzie mi bardzo miło...

— Uważam za swój miły obowiązek...

— Co ci jest, Janku, — spytała Nika, patrząc na mnie smutnemi oczami.

Miałem prawdopodobnie w tej chwili odrażający wygląd przyłapanego na kłamstwie oszusta.

IX.

Jak to dobrze, że porucznik Chłopin wyjechał do Warny. Spadł mi ciężar z serca. Raz tylko był on u Niki i znów na długi czas poruszył wszystkie bóle jej duszy — rozmową o Włodeczku. Było to pewnej niedzieli — Nika ledwie wróciła z cerkwi. Ja pilnowałem Wiki, a potem skorzystałem jak zwykle z okazji aby pozostać dłużej. Ledwie zasiedliśmy do śniadania — ktoś zapukał. Skoczyłem do drzwi i przez szparę zobaczyłem wyelegantowanego porucznika. Zmieszałem się i przez chwilę nie otwierałem drzwi, a miałem wtedy wyraz twarzy jeżeli nie zły, to przynajmniej nieżyczliwy i to wrażenie odrazu odbiło się na twarzy gościa.

— Zostałem zaproszony i właśnie... czy mogę widzieć się z Weroniką Włodzimierzówną?...

— Naturalnie — odpowiedziała z głębi Nika, i porucznik, nie zwracając uwagi na mnie, stojącego przy drzwiach, powiedział „przepraszam" i wszedł do pokoju. Gdy potem chwilami przypatrywał mi się, czułem na sobie jego wzrok nieprzyjazny i podejrzliwie badawczy. Rozmawiał tylko z Niką — a gdy ja wtrącałem się do rozmowy, pozostawiał mnie bez odpowiedzi. Nie odpowiedział mi nawet na pytanie, jak się miewa jego noga, — niby nie słyszał. Rzecz prosta — głównym tematem znów stał się Włodeczek i znów poczułem się zupełnie obcym, zaś gdy Nika opowiedziała, że otrzymała zupełnie pewne wiadomości o jego śmierci, porucznik zaprzeczył energicznym gestem. Wszystko to przeczuwałem i te-

go właśnie się bałem. Wspomnienia o przeżyciach wojennych, strasznych lub też szalonych i bohaterskich, których bohaterami byli obaj z Włodeczkiem — zostały niespodziewanie przerwane atakiem spazmów. Gość zmieszał się i zaczął przepraszać, Nika uciekła za przepierzenie, Wika się rozpłakała — ja nie umiałem ukryć swego podrażnienia.

— Pójdę...

— Tak... to będzie najlepiej... uprzedzałem pana... Żegnam.

Ze złością zatrzasnąłem drzwi za odchodzącym i zamknąłem na klucz.

— Idjota!

Przylazł i tak okrutnie podrażnił gojące się już rany jej duszy — i to tylko dlatego, że zachciało mu się poflirtować z ładną kobietą. „Włodeczek" był tylko pretekstem do wychwalania własnej odwagi i bohaterskich czynów.

Zabrałem Wikę od matki i starałem się uspokoić ją i zabawić.

— Patrz... patrz... twój miś spaceruje z lalką po ulicy!

Posadziłem ją na oknie i dziecina odrazu zapomniała o płaczu, wpatrując się jeszcze pełnemi łez oczkami w ulicę. Nika także ucichła: promień słońca zaigrał na podłodze ruchomemi plamami — gdzieś wdali zagrała katarynka... i znów płacz za zasłoną...

Prędko ubrałem dziecko i zszedłem z niem do ogródka, aby pozostawić Nikę w samotności. Wychodząc, zamknąłem drzwi na klucz, aby nikt jej nie przeszkadzał. Podbiegła pokojowa.

— Czy można iść na chwilę do pani?

— Teraz nie można — odpowiedziałem ostro i odszedłem, chowając klucz do kieszeni. Głupia dziewczyna uśmiechnęła się podejrzliwie i pobiegła z chichotem. Prawdopodobnie zrozumiała mój

postępek po swojemu i zacznie rozgadywać, że zamykam panią na klucz. Ust jej nie zamknę. Naokoło ciekawe i podejrzliwe spojrzenia — zwłaszcza kobiet, które uważały się za pokrzywdzone niesprawiedliwością oddania pokoju. Patrzą na mnie i na Nikę złemi oczami — nie można uchronić się od plotek.

Podobno, jak człowiek umiera, nie należy przeszkadzać mu hałasem, krzykiem lub płaczem. To samo jest z umierającemi uczuciami — nie należy przeszkadzać im umierać przez wywoływanie wspomnień. Przez kilka dni trwały nowe ataki płaczu i trzeba było całego miesiąca, aby zabliźnić tę ranę i pogodzić Nikę z rzeczywistością. Dla mnie te wypadki przyjęły pomyślny obrót: Nika zaczęła bać się samotności i prosiła, żeby z nią siedzieć, póki nie zaśnie. Bywało, że w napadzie bojaźni zmuszała mnie do pozostawania przy niej przez całą noc. Wtedy kładłem się na małej kanapce z dostawionem krzesłem, gdzie mogłem leżeć tylko w pozycji, przypominającej literę S. Wolałem jednak nie spać zupełnie. Od czasu jakiegoś wypadku w nocy, o którym Nika nie chciała opowiedzieć, bała się ona ciemności, to też nie gasiłem światła i przeważnie czytałem lub pisałem te moje notatki.

Około Bożego Narodzenia Nika uspokoiła się i zaczęła wracać do życia. Znów dźwięczał jej dawny głos, twarz rozświetlała się uśmiechem, oczy błyskały ogniem,—zaczęła się radować słońcu, nawet gniewać po dawnemu—robić sprawunki Wszystko stało się wesołe i miłe i jej śmiech i podrażnienie — gdyż były to oznaki powrotu do powszedniego realnego życia. Bardzo pomogło urządzanie choinki dla Wiki. Znów jakby odżyła „święta rodzina" Ika, Nika i Wika. Całe dnie spędzaliśmy razem w domu i poza domem. Kupowaliśmy zabawki, owoce, sło-

dycze, kleiliśmy lampiony, radziliśmy, które dzieci zaprosić — przyczem nie obeszło się bez rozmów o mieszkańcach „Arki Noego, bez śmiechów i troszki obmowy.

W Boże Narodzenie Nika po raz pierwszy ubrała się biało, uczesała po dawnemu — zabrała mi swe warkocze i owinęła około głowy. Byliśmy w teatrze na występach znanego śpiewaka. Nika była tego wieczoru wyjątkowo piękna i zwracała ogólną uwagę — wszystkie oczy męskie były w nią wpatrzone. W antraktach spacerowaliśmy pod rękę i czułem się dumnym — jak zwykle czuje się mąż pięknej kobiety. Byłoby zbyteczne zaznaczać, jak byłem szczęśliwy. Po przedstawieniu namówiłem Nikę na zjedzenie kolacji w Słowiańskim Bazarze. Tak już dawno nie byliśmy w takiem otoczeniu, gdzie muzyka i wesoły gwar miesza się z brzękiem talerzy i wybuchami śmiechu. Zapragnęliśmy dostroić się do ogólnego tonu: kazałem podać wina i owoców. — Nika wypiła kieliszek i też się rozweseliła. Śmieszyło ją uczucie podniecenia:

— Janku, wiesz... upiłam się — szeptała — wszystko mi się kręci przed oczami...

Wróciliśmy bardzo późno, długo stukaliśmy, zanim otworzyła nam zaspana pokojówka, pilnująca Wiki. Służąca odeszła, gdy Nika spostrzegła, że niema jej kto rozpiąć sukni.

— Pozwól, pomogę ci...

Powiedziałem to spokojnie i obojętnie. Ona spojrzała.

— No — dobrze.

Trzęsły mi się ręce — odmawiały posłuszeństwa, ale zapanowałem nad sobą.

— Dziękuję — no — teraz idź do swego gołębnika...

— Przestałaś się bać?
— Kogo ?
— Ciemności.
Roześmiała się.
Stałem, patrząc smutnie na swoją kanapkę.
— Do widzenia, dobranoc — powiedziała Nika — podając mi rękę do pocałowania. Ucałowałem ją ze czcią i wyszedłem wolniutko, jakby czekając, że każe mi się wrócić. Ale gdy wyszedłem, usłyszałem zgrzyt klucza w zamku. Zamknęła się.

Wszystko zaczynało wracać do normy. Martwiłem się tylko, że pieniądze się kończą, a poszukiwania zarobku były bezowocne. Nice lepiej się poszczęściło: dostała lekcje muzyki w rosyjskiem gimnazjum, poznajomiła się z bułgarskimi muzykami i zaczęła w niedziele i święta grywać w orkiestrze w Grand Hotelu. Ja miałem obiecaną posadę pomocnika prowizora w aptece, ale tymczasem nie miałem zajęcia i znów zostałem specjalistą od zajęć kobiecych: niańczyłem Wikę i gotowałem na prymusie obiady i kolacje. Ale nie szemrałem na swój los: nie straszne było być kucharką i niańką dla ukochanej kobiety — przez te zajęcia straciłem poprzednie okropne uczucie osamotnienia. Od rana do wieczora byłem u mojej „pani" i z moją „panią" — w gołębniku tylko nocowałem. W święta Wika zostawała z pokojówką, a ja szedłem do Grand Hotelu na muzykę. Z sali było widać grających na chórze członków orkiestry, a między nimi, przy fortepianie, i moją „panią". Porozumiewaliśmy się gestami i spojrzeniami. Po skończeniu gry powracaliśmy razem do domu.

Tak płynie nam życie... I niepostrzeżenie nadchodzi wiosna.

X.

Otóż i wiosna! Tylko, że na obczyźnie. Wiosną odczuwa się zawsze smutek — to też oboje z Niką — smucimy się. Ale smucić się we dwoje — jest też rozkoszą. Zwykła wiosenna melancholja zwiększała się tęsknota za krajem.

— Jasno świeci słoneczko, ale nie tak, jak tam u nas....

— Inaczej!..

— Sprzedają na ulicach pierwsze kwiatki, ale nie takie, jak u nas...

— Inne...

Dzwonią w cerkwi wielkopostne dzwony, ale inaczej, niż w ojczyźnie. Pojedyńczy dzwon — jeszcze bardziej budzi tęsknotę do swego kraju.

Marzyły mi się wielkopostne dzwony w naszych miastach. Dźwięczały — jak jęki żalu — i w tych jękach dusza przeżywała całą historję życia od narodzin do śmierci.

Nie... nie... inaczej brzmią dzwony tam...

Oddaleni od ojczyzny, nie wspominaliśmy jagiekoś określonego miejsca, gdzie brzmią teraz te bliskie sercu dźwięki. Wspominaliśmy wszystkie do chwili wygnania — i zdawało się nam, że jęki całej naszej — jak ocean bezkresnej — umęczonej ojczyzny — zlewają się w jeden wielki dźwięk wszystkich wielkopostnych dzwonów. Oczyma duszy widzieliśmy tysiące ludzi, ciągnących ku świątyniom, klasztorom, wiejskim cerkiewkom —

z woskowemi świeczkami w rękach, słyszeliśmy głębokie westchnienia i korny głos z ambony:

— Boże! Władco żywota naszego!

Tu wszystko jest inaczej. I wiosna — inna zupełnie — niema w niej tego cudu przebudzenia się do życia. U nas — jak cudownie: burzliwie i radośnie szumią potoki i rzeki, smętnie krzyczą w wieczornych mrokach żórawie — z ziemi, z ogrodów, pól — opary — jak dymy kadzielnic — wznoszą się pod niebiosa. Oczy radują się zieleniejącą trawką, pierwiosnkami, — w powietrzu świergocą skowronki, jaskółki... Tu nawet nie zauważyliśmy, jak przyszła wiosna. U nas — niby oblubienica — długo... długo stroi się ziemia do ślubu, — a tu naprędce zmienia szaty, i już — gotowe.

Po nabożeństwie poszliśmy do zamiejskiego sadu — naszego ulubionego miejsca spaceru. Można tu było na chwilę zapomnieć, że jesteśmy na obczyźnie. Pusto, cicho — jasne pnie brzóz bieleją na tle szmaragdowych jodeł i malachitowych sosen — wąskie ścieżki nęcą w nieznaną głąb — pachną liście i grzyby. Na zalesionem wzgórzu widać niebieskie kopuły — to cerkiew akademji duchownej — przypomina rosyjski klasztor.

Byliśmy we troje. Wika miała już półtora roku i była prawdziwym maleńkim człowiekiem. Śpieszyła się korzystać z nowych zdobyczy życiowych — biegała wciąż i gaworzyła bez końca. Ktoś nazwał jej buzię — „twarzyczką Wasniecowa". Minjaturowa kopja matki — cała twarz stanowi jakby tło dla oczu. Była tak rozkoszna w swej niewinnej radości ze spaceru z tatusiem i z mamusią — śmieszyła nas ciągle i rozpraszała smutek.

Tego dnia byliśmy oboje w wyjątkowo sentymentalnym nastroju i patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Były momenty, kiedy wzrok Niki zatrzy-

mywał się na mnie z taką serdecznością i czułością, że miałem ochotę krzyczeć: ty kochasz mnie — powiedz — nie wstydź się — nie ukrywaj! A może te spojrzenia — to tylko odbicie wiosennych promieni, białych brzóz, niebieskich kopuł nad lasem, może to tylko tęsknota za krajem, za wszystkiem, co najdroższe. Może ten wzrok łagodny, pieszczotliwy — to odpowiedź duszy na ogólny smutek

Powróciliśmy do domu w smętnym, ale miłym nastroju, zgłodniali i spragnieni. Zapaliłem „ognisko uchodźców" jak żartobliwie nazywaliśmy prymus, zrobiłem jajecznicę z szynką. Nakarmiliśmy i uśpili Wikę, którą odurzyło wiosenne powietrze—i dziecko zaraz usnęło: wypiliśmy herbatę. Nika przebrała się i poszła na lekcje muzyki do pewnej solidnej bułgarskiej rodziny. Nie miała ochoty iść...

— Cóż robić... nieprędko wrócę — z lekcji pójdę do szkoły. Musisz się już poświęcić, mój drogi, Wika bardzo mało jadła — ugotuj jej potem kaszki...

Posłała mi w powietrzu pocałunek i zniknęła w drzwiach.

Po chwili drzwi znów się otworzyły.

— Janku, jeżeli chcesz odpocząć, połóż się na mojem łóżku — nie męcz się na tem madejowem łożu — tylko naturalnie — bez butów.

Madejowem łożem nazywaliśmy kanapkę z połamanemi sprężynami, na której zwykle odpoczywałem.

Byłem oszołomiony tem pozwoleniem, nie zdążyłem nawet podziękować. Ta nieoczekiwana łaska ze strony bardzo wrażliwej Niki nietylko mnie wzruszyła, ale i wydała mi się nowym dowodem zmiany jej uczuć ku mnie. Może wiosenny wiatr przyniesie mi nieoczekiwaną radość, wieść o zbli-

żającem się szczęściu, o którem już oddawna nie śmiałem marzyć.

Wyszedłem na balkon i nie poznawałem miasta: całe w słonecznych blaskach, wesołe, sympatyczne, strojne...

— Mamusiu!

Dopiero po chwili zorjentowałem się, że to wołanie pochodzi nie z ulicy, a z naszego pokoju.

Pobiegłem do Wiki. Posadziłem ją na nocniczek i trzymałem, gdyż spała w dalszym ciągu. Jak szalenie kochałem to maleństwo! Przytuliłem swą twarz do jej plecków i oddychałem tym specjalnym zapachem śpiącego dziecka. W takich razach miałem wrażenie bliskości nietylko dziecka, ale i matki. Ułożyłem ją zpowrotem w łóżeczku i długo wpatrywałem się w spokojną buzię — widząc w niej znów tylko ukochane rysy. Miałem wrażenie, jakby Nika cudem zmieniała się w tą maleńką, śpiącą istotkę.

Zdjąwszy buty i marynarkę, wziąłem gazetę i położyłem się na łóżku Niki. Cała pościel była przesycona jej zapachem, który mnie odurzał. Przymknąłem oczy i rozpamiętywałem swoje szczęście. Oszołomiony tem szczęściem, nie pamiętam, kiedy zasnąłem i jak długo spałem.

Przebudzenie było tak okropne, że trudno je opisać.

Podobne wrażenie musiałby mieć człowiek, któremu zwaliłby się sufit na głowę. Potworny ból i szum w głowie, jak wtedy, gdy stoi się tuż obok dzwonu. Przez pierwszą chwilę nie mogłem się zupełnie zorjentować, co się dzieje — potem zrozumiałem, że otrzymuję ciosy po głowie i po twarzy.

Próbowałem się podnieść i otworzyć oczy, ale znów nastąpiło uderzenie. szum i wściekły krzyk. Pomyślałem, że napadł na mnie jakiś warjat —

zbieg z domu obłąkanych. Nie mogłem dojrzeć twarzy, gdyż cios następował za ciosem, widziałem tylko, jak poruszała się jakaś krzycząca i ciężko dysząca figura i migały zaciśnięte pięści.

Zacząłem krzyczeć o ratunek, ale zalana moją krwią poduszka wysunęła się z pod głowy i zakryła mi zupełnie twarz. Gdybym nie był zdążył zakryć ust ręką, byłbym prawdopodobnie się udusił. Pozwalało mi to oddychać — mimo ciągłych razów i nacisku czegoś ciężkiego. Wtedy zacząłem rozróżniać wyrazy i sens dzikich okrzyków.

— Zaduszę, jak psa... podłe bydlę... nie wart jesteś kuli, łajdaku!

Zapłakała Wika, i możliwe, że głos ten oprzytomnił trochę mojego napastnika. Poczułem, że ciężar z poduszki się zsunął, a rozszalały zwierz odszedł gdzieś w kąt, ciężko dysząc.

— Mimo to, nie odmawiam się od pojedynku!

— Tatusiu! tatusiu! — krzyczała Wika.

Zrzuciłem poduszkę i usiadłem, opuszczając nogi na ziemię. Otarłszy twarz, zalaną krwią, przez szpary zapuchłych obolałych oczu zobaczyłem mego kata: mężczyzna w mundurze z rewolwerem w ręku — gotów do ataku.

— A teraz rozmówimy się!

Kiedy zwrócił się w moją stronę, przypomniałem sobie fotografję, która stała tuż obok na nocnej szafeczce, i zrozumiałem, że to jest właśnie „Włodeczek".

— Wcale nieźle urządziłeś się, łajdaku! W Warnie byłeś mężem, a w Sofji zostałeś ciotecznym bratem! A to co? — wskazał uzbrojoną w rewolwer ręką na szlochającą rozespaną Wikę — cioteczny przychówek?

— Jestem bezbronny... a przedewszystkiem... to wszystko jest nieporozumieniem. Uczciwi kultu-

ralni ludzie starają się przedewszystkiem porozumieć....

— Milcz! To tylko zadatek! Jeżeli uważasz się za obrażonego, proponuję pojedynek. Wyzwij mnie!... no... wyzwij!...

— Dajcie mi wody!....

Spróbowałem wstać, ale zachwiałem się. Tamten podał mi wody, a gdy przełykałem ją pomieszaną z własną krwią, usłyszałem łkanie. Potem znów ryk tygrysa. Włodeczek przekręcił klucz w drzwiach i krzyknął:

— Won! bo zabiję cię na miejscu!

Ledwie mogąc utrzymać się na nogach, drżący w gorączce, okrwawiony i napół rozebrany, plując krwią, zacząłem znów coś mówić o przyzwoitości, ale zezwierzęcony człowiek wpadł znów w furję i kopnąwszy nogą drzwi, wyrzucił mnie na korytarz, gdzie stał już zebrany tłum ludzi.

— Na Boga! państwo, pomóżcie mi dojść na górę... i doktora!...

Nie pamiętam, jak znalazłem się na łóżku w swym pokoiku. Ocknąłem się cały obandażowany, oślepły z szumem w głowie. Ktoś cichutko płakał u mego wezgłowia.

— Kto tu? — zachrypiałem.

— Ja — Nika — odpowiedział szept.

Czyżbym oślepł? Ogarnęło mnie przerażenie. Wyjąłem czem prędzej ręce z pod kołdry i podniosłem ku oczom.

— Nie ruszaj, Janku!

Zdjąłem kompres i poczułem światło, zupełnie jekbym patrzył przez szparę uchylonych drzwi na oświetlony pokój.

Osłabiony przez ogromny upływ krwi budziłem się co chwila ze stanu pół snu, pół jawy. Te chwile drzemki zdawały mi się całemi nocami,

a przebudzenie całemi dniami. I wciąż przy przebudzeniu słyszałem szept i płacz Niki. Podczas jednej z chwil przytomnych spostrzegłem, że na świecie jest rozsłoneczniony dzień, usłyszałem wesoły gwar uliczny i zobaczyłem Nikę, rozmawiającą z doktorem. Zmieniano mi opatrunek — już nie taki szczelny, jak poprzedni.

— Doskonale, nawet nie będzie trzeba zszywać, — a mnie nagle rozśmieszył ten wyraz „doskonale".

Gdy doktór wyszedł, spytałem Niki:

— Ile dni minęło?

Nie zrozumiała. Wytłumaczyłem jej, że nie wiem, ile czasu już leżę. Okazało się, że przeszła tylko jedna noc.

XI.

Bywamy nieraz podobni w życiu do marjonetek, któremi bawiono nas w dzieciństwie. Ja, Nika i Włodeczek jesteśmy temi lalkami, którym jakaś niewidzialna ręka, pociągając za sznureczki, poprzywiązywane do naszych dusz, każe wyobrażać bohaterów tej śmiesznej i zajmującej dla postronnych widzów historji. Najkomiczniejszym jestem ja — tragiczny Pierrot, czy też rudy clown, którego wciąż biją po twarzy.

Włodeczek, ów nieoczekiwanie zmartwychwstały nieboszczyk, który omal nie wyprawił mnie na tamten świat, pozostawił na stole swój bilet z napisem: „jeżeli w ciągu tygodnia nie zostanę wyzwany na pojedynek przez twego kochanka, zastrzegam sobie swobodę działania. Porucznik Rajewski, Warna, rosyjska restauracja“. Jak mi opowiadano następnie, nikt z licznie zebranych świadków tego napadu nawet nie próbował dowiedzieć się, kto i za co tak okrutnie się ze mną rozprawił, wtedy, gdy Włodeczek dumnie i hardo wychodził z naszego pokoju. Stało się to nietylko dlatego, że wszyscy przestraszyli się i rozstąpili przed nim, ale i dlatego, że sympatje ogółu są zawsze po stronie „męża, który obił kochanka“. Któż mógł przypuszczać, że w całej historji nie było ani męża, ani kochanka.

Nie byłem przy tem, gdy wróciła do domu Nika, przeczytała kartę Włodeczka i dowiedziała się o tem okrutnem znęcaniu nade mną, ale łatwo so-

bie wyobrazić, jakie przeżywała uczucia. Zakupywać msze za duszę ukochanego, przeboleć jego śmierć, pogodzić się z tą myślą, — i nagle dowiedzieć się, że on żyje, przecież można było oszaleć z radości. Ale jednocześnie co musiała odczuć, dowiedziawszy się, że ten zmartwychwstały zamienił się we wściekłego zwierza i omal nie zabił człowieka niewinnego, bliskiego i niewinnego jej przyjaciela, a mógł obić czy też zabić i ją, — jak również, że nie uważał za właściwe z nią się zobaczyć i po ludzku rozmówić. Wiem, że radość odnalezienia była równie silna, jak rozczarowanie i wstrząs moralny. Doznała uczucia podobnego do tych, które przeżyłem w stosunku do Nadi: wydało jej się, że przez ten cały czas kochała nie tego ordynarnego brutala, a — wspomnienie przeszłości. Zrozumiałem to w pierwszej chwili, gdy oczy moje wróciły do stanu normalnego i mogłem widzieć dokładnie jej twarz, — zresztą świadczyły o tem jej czułość i współczucie, jej troskliwość o mnie, o moją duszę...

Przez trzy dni Nika mię pielęgnowała i zbliżał się termin, w którym Włodeczek „zostawiał sobie swobodę działania", co groziło mi powtórzeniem pobicia lub śmiercią. To też gdy tylko stan mego zdrowia cokolwiek się poprawił, Nika wywiozła mnie — schowała przed niebezpieczeństwem — w miasteczku „Górne Banie", gdzie zamieszkałem zupełnie sam. Ona przebyła tam ze mną kilka godzin, poświęconych zainstalowaniu, żywieniu mnie i zapewnieniu wszelkich wygód, — i nie było czasu na rozmowę o tem, co zaszło — zresztą ona jakby lękała się o tem mówić. Zauważyłem, że jest jej ciężko i przykro, a może i wstyd patrzeć na moją oszpeconą twarz, całą w sińcach, zaciekłą krwią

i opuchniętą, i może cierpiała teraz bardziej ode mnie. Spojrzy na mnie ukradkiem, spuści oczy i westchnąwszy ciężko, szepnie:

— Boże! jakie to straszne, jakie okropne!

Potem zaczyna chodzić po pokoju i myśleć. Jeżeli rozmawialiśmy o tem — ja sam poruszałem ten temat ze względu na bezpieczeństwo Niki — nigdy nie wymawialiśmy imienia Włodeczka, a nazywaliśmy go oboje „on".

— Rozumiem, żeby zabił ciebie, mnie, nas oboje, ale...

— Nie widziałaś się z nim?

— Nie, widocznie wyjechał do Warny...

— Skąd on się wziął?

— Widocznie... pamiętasz, czytaliśmy w naszej gazecie... on był jednym z tych trzech, którzy uciekli z Odessy na rybackiej łodzi i wylądowali w Warnie.

Przypomniałem sobie, jak czytaliśmy ten opis i zachwycaliśmy się jego bohaterami. Pięć dni i nocy byli razem na morzu i omało co nie utonęli.

— On musi dowiedzieć się całej prawdy o naszych stosunkach, — wtedy zrozumie, jak strasznie zawinił wobec ciebie, — myślała głośno Nika.

— On nie uwierzy...

— Tak... nie uwierzy i mnie nie przebaczy...

— Chcesz prosić o przebaczenie... za co?

Odpowiedziała nie odrazu:

— Chcę tylko, aby dowiedział się prawdy.

— Po co, jeżeli jesteś zgóry przekonana, że nie uwierzy w tę prawdę?

Przestraszyłem się o Nikę: w razie spotkania z tym człowiekiem, on zabije ją lub naszą Wikę.

— Zabije cię, zanim zdążysz mu wszystko opowiedzieć.

Znów zaczęła chodzić po pokoju, po chwili rzekła:

— On musi wiedzieć! Poślę mu ten list, który pisałam w Bałakławie. Czytałeś go...

Potem po nowej pauzie:

— I nie dlatego, abym potrzebowała jego przebaczenia, a dlatego, aby on zrozumiał i przeprosił ciebie. Przecież, o ile nie dowie się prawdy, będzie nadal ciebie prześladować... Bóg wie, co może się stać...

Nie mogła zostać ze mną. Po pierwsze Wika była zostawiona na opiece pokojowej, po drugie — obowiązki pracy: lekcje, orkiestra — bała się stracić zarobki.

— Gdybyś mogła przywieźć mi Wikę. Będzie mi strasznie nudno samemu.

— Musisz się trochę pomęczyć, Janku. Boję się, żeby „on" nie wyśledził celu mego wyjazdu i nie odnalazł twego schronienia. Będę do ciebie przyjeżdżać nocnym pociągiem.

Ogarnął mnie smutek przyszłej samotności i rozżalenie nad sobą samym.

— Pamiętaj, Niko, że... gdybyś odeszła do „niego" oddasz Wikę mnie.... — Głos mi zadrżał bólem, czułem się już porzuconym. Ona nie odpowiedziała, tylko pochylona nade mną, pogłaskała mię po głowie i odeszła, cicho wzdychając. Spacerowała, rozmyślając półgłosem:

— Nie, nigdy... to być nie może... nie może...

I niema jej — pojechała... Nie odprowadziłem jej: ona nie chciała tego przez ostrożność, a ja nie chciałem pokazywać ludziom swej kolorowej fizjognomji. Na pożegnanie pocałowała mnie w głowę i obiecała przyjechać w poniedziałek, t. j. za pięć dni.

Ściemniło się, smętkiem powiało w mym pokoiku. Wiosenny wieczór zaglądał ostatniemi promykami słońca w mrok ogrodu pod mojem oknem. W lesie, w górach, kukała kukułka, jakby płakała nad moją niedolą. W ciszy wieczornej słychać było jeszcze odgłos pociągu, który uwiózł Nikę. Poczułem nagle, że następuje nowy zwrot w mem życiu: jakbym znajdował się na dużej centralnej stacji i czekał na nowy pociąg, na przesiadanie. A dokąd jadę i po co? sam nie wiem. Długo nie zapalałem światła i siedząc w otwartem oknie, słuchałem kukułki, słowika, odgłosów dalekiego, podobnego do naszych wiosek, miasteczka. Ucichła kukułka, gdzieś w błotach zakwakały żaby, na ciemnem niebie — jak brylanty na granatowym dywanie, błysnęły pierwsze gwiazdy. Z ogrodu płynął zapach bzu i ta woń przypominała coś sercu drogiego, coś miłego, a niepowrotnego, jak młodość z jej cudnemi złudzeniami.

Żeby zagłuszyć tęsknotę, zapaliłem światło i zobaczyłem na stole torebkę Niki. Zapomniała! strasznie się ucieszyłem — nie byłem już sam. Ale ona biedaczka, może została bez pieniędzy! Podniosłem delikatnie torebkę, pocałowałem i zacząłem z czułością przeglądać jej zawartość. Szpilki, chusteczka, flakonik perfum. Otworzyłem, powąchałem i zaśmiałem się radośnie, gdyż zapachniało nią. A to co? Zegarek? wyjąłem złoty medaljon na łańcuszku, który Nika zawsze nosiła. Podważyłem kopertę: pod owalnem szkiełkiem maleńka fotografja Włodeczka. Tak jest, to on... pod drugiem szkiełkiem — pukiel włosów, związany jedwabiem. Zadrżały mi ręce, oczy wlepiły się w te świętości Niki, a dusza jęknęła w udręce. Włodeczek — bardzo młody — wygląda tu na młode orlę, piękny i dumny. Prawdopodobnie tkwi tu w medaljonie od

chwili rozstania z narzeczoną. Zatrzasnąłem wieko, zebrałem medaljon z łańcuszkiem i rzuciłem do torebki. I wydało mi się, że torebka stała się zupełnie inna, nie ta sama, co przed chwilą. Lepiej było nie patrzeć do środka. I w myśli znieważyłem swą miłość, pomyślałem: prawdą jest, że kobieta składa się z duszy, ciała i torebki. A medaljon — to serce kobiety.

Nie wiem dlaczego, zgasiłem światło, jakby rozgniewany, że pokazało mi ono torebkę z medaljonem. Znów zajrzała do pokoju nadchodząca noc. Usiadłem w oknie, oparłszy głowę na rękach. Wyraźnie już lśniły gwiazdy na ciemnym nieboskłonie, głośniej śpiewał swą pieśń słowik, mocniej pachniały bzy w ogrodzie. Na zboczach gór błyskały ognie schowanych w ogrodzie domków, niby gwiazdy spadłe z niebios. W dalekiej karczmie płakały dźwięki zurny, zlewając się z przeciągłą nutą tureckiej pieśni. Słuchałem tej piosenki i wydawało mi się, że śpiewa tęskniący do ukochanej, porzucony przez nią człowiek, skarżąc się tej cichej wiosennej nocy, gwiazdom, całemu światu— a ten człowiek — to ja sam.

Pogasły ogniki na górach, dawno umilkła piosenka o miłości, noc przycichła i jakby wpatrywała się przez gwiazdy-oczy, co się dzieje na ziemi. Nad górami wypłynęła złocista, pełna tarcza księżyca i patrzyła drwiąco swemi nieruchomemi oczami w moje okno.

W oddali długo szczekały psy, a echo powtarzało te głosy, jakby tam w górach również psy odpowiadały szczekaniem.

Zasnąłem w oknie z głową opartą na rękach, w ciepłym wiosennym powiewie, uśpiony wonią bzów i cichym poszumem drzew w ogrodzie.

·IIX

Obudziwszy się nazajutrz rano, objąłem półsennym wzrokiem swoje nowe mieszkanie, z uczuciem, że w mojem życiu nastąpił nowy okres: stanąłem na rozdrożu. Nie była to nawet świadomość, a podświadome odczucie. Zdawało mi się, że nawet ściany patrzą na mnie ze współczuciem, wiedząc co się stało, a może i co ma nastąpić, co dla mnie było jeszcze tajemnicą. Jakby zupełnie inny pokój, niż wydał mi się wtedy, gdy po raz pierwszy wszedłem tu razem z nią, z Niką: kolor obicia inny, sufit niższy, meble inne. Nadciągnęły chmury, zaciemniły słoneczny ranek, drobny deszczyk zaszeleścił wśród liści za oknem. Taki dziwny ten szmer: niby liście na drzewach tajemniczo zmawiają się przeciwko mnie, jakby znały moje przejścia. Gdy umyłem się i spojrzałem w lustro, aby się uczesać, wyjrzał na mnie ze szklanej tafli zupełnie inny człowiek, zaledwie do mnie podobny, a ja patrzałem na swe odbicie z ciekawością i żałością. Czyż to ja jestem? Chyba to lustro jest złe, krzywe! Ale naprawdę co się stało, skąd ten nastrój pustki i samotności? Przecież jeszcze wczoraj Nika była taka serdeczna względem mnie, tak dręczyła się tym dzikim na mnie napadem, tak oburzała się na ordynarną przemoc i podłość tego postępku. Przytuliła moją głowę do piersi, pocałowała głaszcząc rączką, jakby chciała powiedzieć: nie dręcz się, kocham cię i nigdy nie porzucę.

Przy tem wspomnieniu ogarnęła mnie radość nadziei, ale w tej samej chwili zobaczyłem torebkę i przypomniałem sobie medaljon. Radość prysła, uleciała jak spłoszony ptak. Przeszły chmury, znów błysnęło słoneczko i cały pokój jakby z politowaniem wyśmiewał się ze mnie, podsuwał mi pod oczy torebkę, abym — idjota — nie zapomniał o niej. Pierwszym odruchem rzuciłem torebkę w głąb szuflady, ale po chwili uczułem namiętne pragnienie zobaczyć jeszcze raz fotografję Włodeczka i pukiel jego włosów. I nie wytrzymałem. Znów wyjąłem torebkę i otworzyłem medaljon: patrzyłem w bólu i udręce, szydząc sam ze siebie, ale jednocześnie odczuwałem jakąś chorobliwą rozkosz. Jakgdyby Nika biła mnie po twarzy, a ja krzyczę: bij mnie, bij... gdyż nawet ból i zniewaga od niej byłyby mi drogie.

Stałem się przesądny, zacząłem wierzyć w przeczucia: ona nie przyjedzie w poniedziałek, a jeżeli nie przyjedzie, znaczy to — wszystko skończone. Oczekiwałem owego poniedziałku, jak wyroku śmierci. To też ogarnęła mnie szalona radość, gdy przyszedłszy na nocny pociąg w arcy pesymistycznym nastroju, dojrzałem w tłumie wychodzących pasażerów postać mej najdroższej. Poznałbym ją wśród tysiąca jednakowo ubranych osób.

— Nika!

— No — jak się czujesz?

— Dlaczego jesteś taka smutna? Co się stało?

— Dzięki Bogu, tymczasem nic się nie stało... nadzwyczajnego. Jestem szalenie zmęczona.

Na przywitanie pocałowała mię zimno, po bratersku, i poszliśmy razem w ciemną noc. Opowiadała mi żałośnie, z wyraźnem zmęczeniem, że wte-

dy przetraszyliśmy Wikę, która jest od tego czasu wciąż podniecona, nie śpi po nocach, boi się ludzi, kaprysi i nie chce jeść. Że w Sofji czuje się teraz, jak na cenzurowanem. Że wśród kolonji rosyjskiej skandal w Continentalu jest głównym tematem rozmów. Wtem ożywiła się:

— Przywiozłam ci dobrą nowinę.

— Mnie... dobrą nowinę... nie chce mi się wierzyć...

— Proponują ci posadę młodszego lekarza w Płowdiwie.

Kiedy doszliśmy do mego mieszkania, Nika była znów w takim posępnym nastroju, jak na stacji. Ja byłem podniecony radością jej widoku i nie wiedziałem jak to okazać. Usadowiłem ją w jedynym fotelu, zrobiłem kawy po turecku...

— Spotkało mię nieszczęście... zgubiłam swoją torebkę...

— Czy tam było dużo pieniędzy?

Westchnęła.

— Nie, pieniędzy nie było — drobne.

— To niewielkie nieszczęście.

Poprawiła włosy przed lustrem, usiadła przy stole, obejrzała się... zdawała się być zmienioną i wystraszoną, zafrasowaną, jakby chciała co chwila wstać i iść... nie mogła usiedzieć na miejscu. Chodziła, patrzyła w ogród, znów siadała...

— A prawda... ten list...

Podała mi list z zaproszeniem do Płodwiwu. Przeczytałem.

— No — a ty?

— Ja?

Spogląda na mnie uważnie ze smutnym uśmiechem.

— Nie zapraszasz mnie do siebie?

— Nika! właśnie chciałem spytać, ale jakoś tak...

— Teraz szkoły się kończą... będę wolna przez dwa i pół miesiąca... wtedy będę mogła... a tymczasem pojedziesz, urządzisz się... Tu jest nie do zniesienia! Plotki! i... Codzień barykaduję swoje drzwi kanapą, stołem, krzesłami... boję się... czuję, że „to“ jeszcze nie skończone i „on“ nie pozostawi nas w spokoju.

Zamilkła, zamyśliła się, między brwiami zjawiła się znajoma kochana zmarszczka.

— Posłałam mu do Warny ten list, dopisując jeszcze o naszym z tobą stosunku i o tem, że obecnie nie chcę żadnego przebaczenia, a proszę tylko, aby — jeżeli jest uczciwym człowiekiem — przeprosił ciebie. I właśnie te ostatnie dwa dni czekałam, aż raczy się odezwać...

Znów zamilkła: po chwili pomyślała głośno: czy „on“ rzeczywiście jest takim łajdakiem!

— A twój wygląd znacznie się poprawił — rzekła nieoczekiwanie zupełnie innym tonem, cokolwiek, jak mi się wydało, żartobliwym. Gdy przeczytałam ten list, pomyślałam sobie, jak pojedziesz do tego Płowdiwu z taką okropną twarzą...

I znów zaczęła mi się przyglądać tak jakoś obojętnie, jak ogląda się martwe przedmioty.

— Ale lewe oko jeszcze czerwone... Okropność! nie rozumiem takiego zezwierzęcenia! Dlaczego się nie broniłeś? Ach, prawda, „on“ miał rewolwer. I on jest bardzo silny... nie dałbyś mu rady. Kiedyś on...

Chciała coś opowiedzieć, ale przerwała i zaczęła pić zimną już kawę.

— Wiesz, Janku, nigdy nie wierzyłam w „jego“ śmierć... rozumiesz? to coś nieprawdopodobnego.

— A nabożeństwo? — spytałem głucho.

— Wyobraż sobie, nawet wtedy myślałam sobie: a może on żyje!

Było mi przykro, że tak dużo mówi o „nim“ — to mi ubliżało, niepokoiło, drażniło...

— Może „on“ przebaczy ci teraz i wszystko się ułoży. Wszystko idzie ku lepszemu na tym najlepszym ze światów.

Skuliła się jakoś i przecząco, jakby ze wstrętem potrząsnęła głową.

Zaległo głuche milczenie. Obojgu nam zrobiło się jakoś niezręcznie, jak bywa z ludźmi, którzy dopiero co się poznali. Nika przeciągnęła się i powiedziała: no, jak będzie? zrozumiałem, że ma na myśli przenocowanie.

— Położysz się na mojem łóżku, a ja na kufrze. Możesz się zasłonić. Pamiętasz, jak jechaliśmy statkiem w kajucie z Noworosyjska? Tylko rewolweru niema...

— Przecież wtedy nie wiedziałam, jaki ty jesteś. Czyż nie mogłeś okazać się takim samym brutalem, jak Włodzimierz?

Po raz pierwszy wymówiła to imię.

— Takich, jak ty, mało zdaje się jest na świecie — powiedziała z westchnieniem i poklepała mnie po ramieniu. — Ty jesteś wyjątkowym mężczyzną...

Ta pochwała bynajmniej mnie nie ucieszyła. Przypomniała mi, że brak mi „czegoś“, co jest nieodzowne, aby Nika poczuła ku mnie pociąg — jako do mężczyzny, jak to kiedyś otwarcie powiedziała.

— Kaleka! — burknąłem, przygotowując posłanie.

Ułożyłem i zasłoniłem Nikę, sam w ubraniu skuliłem się na kufrze. Oboje udawaliśmy, że śpimy, i oboje nie spaliśmy. Przez otwarte okno zaglądała noc księżycowa, płynął zapach bzu. Gdzieś daleko szczekały psy. Nika wstała i boso, owinięta kołdrą, podeszła do okna, długo tam wzdychała. Potem schowała się za zasłonę i zdawało mi się, że płacze. A może to wiatr wiosenny poruszał liście drzew w ogrodzie?

XIII.

Niewyspani, zmęczeni swemi tajemnemi rozmyślaniami, wstaliśmy rano, prędko się ubrali, wypili herbatę i poszliśmy na dworzec. Pobiegłem do ogrodu, aby narwać bzu dla mego kochanego gościa, a ona, nie wiedząc o tem, gniewała się, że marudzę — bała się spóźnić na pociąg. I mój podarunek nie wzruszył jej.

— Prędzej... prędzej...

Poranek tchnął radością życia, z kwitnącej ziemi biła woń jak z kadzielnicy, w ogrodach bez przerwy świergotały ptaki, w trawie błyszczały niewypite jeszcze przez słońce krople rosy. Różowiły się na lazurze niebios nieruchome obłoczki, a daleko na drodze podnosił się złocisty pył z pod kół jadącej arby. Ale nie było radości w naszych duszach: Nika śpieszyła się, była zadumana, przejęta swemi jakiemiś troskami, ja czułem, że należy pomówić z nią o czemś ważnem, zasadniczem w naszem życiu, ale to nie dawało się wyrazić słowami — można było tylko odczuwać. Prawie że w milczeniu przebyliśmy drogę na dworzec. Nie spóźniliśmy się — gdyż opóźnił się pociąg. Tu rozmawialiśmy o błahostkach, nie jak bliscy sobie ludzie, a wypadkowo spotkani znajomi. Dopiero gdy pociąg wchodził na stację, uśmiechnęliśmy się smutnie do siebie.

— Więc jak myślisz, Niko? Jechać do Płowdiwu, czy nie?

— Naturalnie, kochanie...

— Znaczy się, rozstaniemy się na długo...

— Przyjadę za trzy dni, a wtedy wszystko omówimy.

— A może wrócę do Sofji, i stamtąd...

— Nie... nie... nie... boję się, że „on“ wróci i znów... siedź tu i czekaj. Bilet! Zapomniałam kupić biletu!

Pobiegła w głąb dworca do kasy, zanim zorjentowałem się, biorąc od niej z rąk walizeczkę. Kiedy poszedłem w tamtą stronę, wracała już z biletem.

— Gotowe! Gotowe!

Pobiegliśmy do pociągu, pomogłem jej wejść do wagonu, konduktor zatrzasnął drzwi. Gwizdek — pociąg westchnął ciężko i odpełznął od stacji.

Pojechała!

Gdy przechodziłem przez dworzec ku wyjściu, zobaczyłem na okienku przy kasie gałązki białego bzu.

— Rzuciła moje kwiatki!

Smutek i uraza znów owładnęła moją duszą. Szedłem wolno ku domowi, nucąc piosenkę i rwąc w palcach gałązki bzu i rzucając je na ziemię. Co to za piosenka? Skąd mi przyszła do głowy? Przypomniałem sobie: utkwiła mi w pamięci turecka piosenka z akompanjamentami zurny, której słuchałem w swem oknie pierwszego wieczoru rozłąki. I teraz machinalnie odżyła i wypłynęła z mego przepełnionego tęsknotą serca, bezwolnie, nieświadomie.

Te trzy dni oczekiwania na Nikę spędziłem zdenerwowany, w przeczuciu wiszącej nade mną groźby. Zdawało mi się, że już się coś stało, o czem jeszcze nie wiem. Dwa razy chciałem jechać do Sofji i szedłem już na dworzec, ale po drodze mój zapał przechodził i nie jechałem, pomimo wykupienia biletu. Przecież pozostał już tylko jeden dzień... pół dnia.. parę godzin... Zmieniałem zamiar — zostawałem. A po

powrocie do domu, nie mogąc sobie znaleźć miejsca od ciężkich przeczuć, żałowałem swego niezdecydowania. Wolno ciężką stopą przeszły po mnie te trzy dni. Nika nie przyjechała! Myślałem, że przyjedzie nazajutrz rannym pociągiem, tymczasem w nocy dostałem terminową depeszę. Otworzyłem ją drżącemi rękami i przeczytałem:

Włodzimierz umierający strzelał do siebie jadę do Warny wracaj do Wiki czekaj listu.

Depesza była zupełnie zrozumiała, a mnie wciąż zdawało się, że tkwi w niej coś niepojętego. Jakiego listu? skąd? gdzie mam czekać? Myśli zakłębiły się w mej głowie i oszołomiły mnie. Nie było w depeszy żadnych znaków pisarskich, przez co w podnieceniu nie mogłem zrozumieć sensu. Kiedy nareszcie zrozumiałem, pociąg już odszedł i trzeba było czekać na następny do wieczora. Gdybym był zdążył na pierwszy, może jeszcze zastałbym Nikę w Sofji. A teraz czułem, że trzeba jechać, a nie jechałem.

Brzydziłem się sobą, nazywałem „osłem", ale pakując się, mówiłem do kogoś w przestrzeń:

— Nie umrze, nie... nie martw się — znów zmartwychwstanie... rzuciła Wikę i poleciała...

— Jak to dobrze, że nie zabrała z sobą Wiki...

— Prawda... medaljon z kędziorami Włodeczka... trzeba ją ucieszyć... dlaczego ukryłem, że ta drogocenność jest u mnie...

Rzuciłem torebkę do walizy

Nie mogłem wytrzymać w pokoju. Uregulowałem rachunek i poszedłem ku stacji. Zawsze jakby bliżej do Sofji.

Przyjechałem w nocy. Długo pukałem do drzwi z biletem: Weronika Berezań.

— Kto tam?
— Otwórz, Maniu! To ja... pan...
— Który pan? Nasz? Iwan Pietrowicz?
— No — ja, Iwan Pietrowicz.
— Zaraz, tylko zarzucę co na siebie.
Czekałem, nerwowo szarpiąc klamkę. Nareszcie — dzięki Bogu — otwiera.
— A ja w tej chwili zasnęłam. Panienka nie chce spać: woła mamusi i już.
Zajrzałem do wszystkich kątów: wszędzie znać ślady pośpiechu, nieporządek. Spytałem, kiedy Nika wyjechała, czy nie zostawiła żadnej kartki dla mnie, nie kazała nic powiedzieć. Odprawiłem dziewczynę i siadłem, ciesząc się widokiem śpiącej Wiki. Wykapana matka, nawet znamię ma na tem samem miejscu. Nie było Niki, ale cały pokój nasycony był jej obecnością, każdy drobiazg przypominał ją, ale teraz już nie zbliżał, lecz oddalał od niej, budząc uczucie utraty. Podobne uczucie mają ludzie, wróciwszy z pogrzebu kogoś bliskiego. Każdy przedmiot — ręcznik, pantofelki, świeca na nocnej szafeczce, kawałek papieru, zapisany jej ręką, wszystko było związane z nią tajemniczemi nićmi — zawierało, przechowywało jakąś tajemnicę jej życia, jej duszy, a ja, jak archeolog — ze znalezionych szczątków i wykopalisk — starałem się odgadnąć, co ona robiła, myślała i czuła, jadąc do Warny. Wszystko wskazuje, że śpieszyła się, denerwowała, przerzucała całą zawartość szaf. Znałem jej wszystkie suknie: nie było dwóch — czarnej i szarej, w której chodziła na lekcje. Znaczy się, wybierała się na krótko i nie zabrała dużej walizy. Pisała coś i podarła następnie. Zbierałem podarte kawałeczki na podłodze i starałem się układać je i zrozumieć cokolwiek z oderwanych wyrazów. Najwidoczniej pisała do mnie: znalazłem urywki: „zrozumiesz, Janku“, „potem do Płowdiwu“,

„zawiniłam“, „tak bardzo ciężko i straszno“. Może jest gdzie list? szukałem w szufladach, książkach i nutach, ale nic nie znalazłem. Położyłem się na jej łóżku. Przebudziła się Wika, nie poznała mnie z początku i ze dwie godziny płakała, wołając matki. Trzeba było zapalić światło, uspokajać dziecko, które mnie już zapomniało, perswadować, że to ja — tatuś. Żeby ją przekonać, zacząłem opowiadać bajeczki, które dawniej słyszała tylko ode mnie. Położyłem na swoje łóżko i razem przy niej zasnąłem.

Z rana zobaczyłem pod drzwiami leżącą gazetę, stary egzemplarz. Podsunął ją ktoś z „życzliwych“, chcący jak najprędzej uświadomić mnie, co piszą o mnie i o Nice. W rubryce „Nadesłane“ znalazłem zakreśloną niebieskim ołówkiem korespondencję z Warny:

Samobójstwo na tle romantycznem.

Nasza kolonja poruszona jest znów zagadkowem samobójstwem na tle romantycznem, w które zamieszane jest to samo nazwisko, które w roku zeszłym figurowało w dość zagadkowych okolicznościach w sprawie samobójstwa młodej, inteligentnej dziewczyny, pracującej w rosyjskiej restauracji, Wieroczki Princessowoj. Tym razem ofiarą zamachu na swe życie padł cudem wyratowany niedawno z Rosji, oficer białej armji, porucznik W. N. Rajewski, który bohatersko przepłynął Czarne morze w łódce rybackiej i omal nie zginął w morskich odmętach. Dowiedziawszy się, że ubóstwiana narzeczona żyje z kim innym, w przystępie rozpaczy wystrzelił sobie w usta. Kula drasnęła podniebienie i przebiła szyję, szczęśliwie nie uszkodziwszy kości pacierzowej — co pozwala mieć nadzieję, na uratowanie desperata. Stan ciężki, ale nie beznadziejny — jeżeli nie nastąpią komplikacje — bezpośredniego niebezpieczeństwa

niema. Samobójca pozostawił dwa listy, z których jeden — dziwnym zbiegiem okoliczności — zaadresowany był do tej samej osoby, dla której był pozostawiony ostatni list ś. p. Wiery P. Jak udało się nam dowiedzieć z wiarogodngo źródła, ex-narzeczona porucznika Rajewskiego jest dobrze znana naszej kolonji: pracowała w naszej restauracji i zwracała ogólną uwagę swoją pięknością. Miejmy nadzieję, że śledztwo wyjaśni tajemnicę tego dramatu, który poruszył całe tutejsze towarzystwo, jak również osobistość owego pechowego pana, do którego pisują listy samobójcy.

„Pechowy pan". — To ja mam być tym pechowym panem. Stałem się zaprawdę igraszką w ręku szatana, czyli „Czartowską kukłą". Trudno sobie wyobrazić większe szyderstwo losu. Fikcyjny mąż, fikcyjny kochanek, fikcyjny ojciec, fikcyjny łobuz, zwykły burżuazyjny szubrawiec.

— Wiko, Wiko, gdybyś wiedziała, jaki twój tatuś jest nieszczęśliwy.

Po dwóch dniach dostałem list z Warny. Na wyrwanej kartce naprędce pisała Nika:

Wiesz naturalnie, co się stało. Zrozumiałam, że spowodował to mój list do niego. Nie zniósł prawdy, którą mu opisałam. Nie gniewaj się na niego i wybacz mu! Postanowiwszy umrzeć, oto co napisał do ciebie: Proszę o przebaczenie, jeżeli to jest wogóle możliwe. Nawet w tych ostatnich chwilach życia żałuję ponad wszystko swego postępowania względem pana. Niech pan zrozumie, że byłem wtedy szalonym i nie zdawałem sobie sprawy z tego, co czynię. Jeszcze raz proszę mi wybaczyć, przyjąć wyrazy wdzięczności za całe tak szlachetne postępowanie względem Weroniki Włodzimierzówny i pomóc jej, aby o mnie zapomniała.

Łzy zakręciły mi się w oczach, litery zadrgały przed oczami. Wszystko małe i brudne, co poruszało się w mej duszy na samą myśl o Włodeczku, momentalnie zniknęło — i zapragnąłem polecieć do Warny, uścisnąć tego biedaka, równie jak i ja nieszczęśliwego, podać mu rękę i samemu prosić go o przebaczenie. Pod wpływem ludzkich słabostek wyobrażałem sobie swego rywala jako pięknego, ale ordynarnego i złego człowieka, głupiego i marnego, a tymczasem... on jest lepszy i szlachetniejszy ode mnie.

XIV.

Drogi, kochany, najlepszy Janku! Dziękuję ci za list! Jeszcze raz przekonałam się, że jesteś rzadko dobrym, przedziwnym człowiekiem. Mało jest takich na świecie. Całuję rękę, która pisała ten list. Tak okrutnie i głęboko znieważony, umiałeś wszystko zrozumieć i przebaczyć, i znalazłeś jeszcze w swej duszy dość siły, aby to zrobić tak prosto, szczerze, tak serdecznie. Kiedy przeczytałam twój list Włodzimierzowi, nie wytrzymał i rozpłakał się. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak bardzo rozświetliłeś jego ponurą duszę twą serdecznością i dobrocią. Jak promień słoneczka padały twoje słowa — po raz pierwszy zobaczyłam uśmiech na jego twarzy. List twój zdziałał cuda. Doktór bał się zakażenia, gdyż gorączka się podniosła, ale następnego dnia, po twoim liście, temperatura spadła i teraz — jak mówi doktór — „uciekliśmy od śmierci". Kto wie, może to właśnie ty, twemi złotemi słowami, pomogłeś mu zwyciężyć śmierć! Boże! jestem taka szczęśliwa, że on nie umrze. Przecież to mój list z opisaniem prawdy i potępieniem jego szalonego czynu skłonił go do samobójstwa. Gdyby to się było stało, czyżbym mogła kiedykolwiek sobie przebaczyć? Pamiętasz, jak się męczyłeś po śmierci Wieroczki, a przecież ty nic wtedy nie zawiniłeś.

Tęsknię szalenie do ciebie i Wiki, niepokoję się o was i wciąż myślę, jak sobie tam dajecie radę beze mnie, ale zrozumiesz, kochany, że nie mogę porzucić nieszczęsnego Włodzimierza, najzupełniej samotnego. Jest przy nim jeden, jedyny człowiek, porucznik Chłopin, który uważa się za jego przyjaciela, ale byłoby le-

piej, gdyby go nie było. To on napisał do tutejszej gazety Nr. 156 taką podłość o nas — o mnie i o tobie — że zmuszona byłam poprosić, aby nie przychodził, póki ja tu jestem, i zostawił chorego w spokoju. Jestem pewna, że to właśnie on namówił biednego Włodeczka do tego podłego postępku względem ciebie. Widzę to z jego oczu. Chciałabym zabrać Włodeczka jak najprędzej od tego pana. Zresztą, Bóg z nim. Teraz o naszych sprawach. Widzisz, że moja obecność tu jest konieczna, i nie wiem sama, jak długo tu pozostanę. Trzeba nietylko uratować życie biednego Włodeczka, ale i umocnić w nim pragnienie do życia. On ciągle mówi, że nie warto żyć Więc nie czekaj na mnie, ażeby nie stracić posady, zabierz Wikę i jedź prędzej do Płowdiwu, szykuj mieszkanie. Warna i Sofja zbrzydły mi ostatecznie i marzę o Płowdiwie, jak o raju, gdzie będzie można odpocząć od plotek. Dobrzeby było, żeby Mania zgodziła się pojechać z wami. Wika się do niej przyzwyczaiła, i dobra z niej dziewczyna, sprytna i lubi dzieci. Inaczej trudnoby ci było pracować i niańczyć Wikę. Podobno Płowdiw — to bardzo miłe miasto i będę mogła znaleźć tam lekcje łatwiej, niż w Sofji. Jestem strasznie zmęczona, zdenerwowana, schudłam, zbrzydłam, nie poznasz mnie. Daj mi znać, gdy będziesz wyjeżdżał, do hotelu Ruszczuk. Serdecznie całuję ciebie i Wikę.

Duszą twoja Nika.

Jak to miło być dobrym, wydawać się dobrym— kiedy ludzie chwalą, uważają za wyjątkowego, nadzwyczajnego. Czytałem ten list i wydało mi się samemu, że jestem rzeczywiście taką doskonałością, za jaką uważa mię Nika. Nawet łzy rozczulenia nad tą doskonałością spadły na papier i rozmazały wyraz „słoneczko". Urosłem we własnych oczach a przeczytawszy ustęp o poruczniku Chłopinie, rzekłem z oburzeniem:

— Co za gad!

Ale doczytawszy do końca, przekonałem się, że nie jestem zupełnie taki dobry, rzadki, nadzwyczajny. Podpis „duszą twoja Nika“, zmącił kryształową przezroczystość mojej duszy. „Duszą twoja“ a nie poprostu „twoja“. Wszystkie niskie uczucia, jakie tkwią w głębiach każdej ludzkiej istoty, złożonej z duszy i ciała, nie — tylko z duszy lub — tylko z ciała — odezwały się we mnie. „Twoją duszą“. Jakby podkreśliła tem, że ciałem należy nie do mnie, a do kogo? Naturalnie — do swego Włodeczka! Cały list pełen jest tylko Włodeczka, — a to „tęsknię szalenie do ciebie i Wiki“ — to tylko kość, rzucona głodnemu psu! Może jeszcze niepokoi się o Wikę, ale o mnie... „jedź prędzej do Płowdiwu“. Zazdrość, jak żądło żmii, zaczęła kąsać moją duszę i zatruła całe wrażenie listu Zbuntowała się we mnie męska duma posiadacza w stosunku mężczyzny do kobiety — i wszystkie te epitety: najlepszy, nadzwyczajny, wyjątkowy na świecie — nabrały innego znaczenia, zdawały się poprostu ze mnie drwić. Znów przypomniało mi się, że brakowało we mnie „czegoś“ aby można kochać mnie, jak mężczyznę, to znaczy nietylko duchem, ale i ciałem.

— Kaleka!—wyszeptałem, wydymając wargi i zacząłem przekonywać sam siebie, że jestem rzeczywiście kaleka, baba z brodą i wąsami, piesek pokojowy w kagańcu, pokorny i nie gryzący z musu, machający ogonkiem, gdy jego pan go kopnie i kładący łeb na kolanach, żeby go pogłaskano. W tych porównaniach byłem bez litości dla siebie i dla Niki: niańka, eunuch jej wysokości, narzeczonej Włodeczka. Warczałem, jak pies, któremu znudziły się szturchańce, ale po chwili, uciekł i skulił się pod stół. Wika prosiła jeść, ugotowałem jej kaszki, i zacząłem z nią rozmawiać czułym, spokojnym tonem:

— Prędko mamusia do nas przyjedzie. Czy bardzo kochasz mamusię?

— Bal - dzo...

— I ja też... A twój tatuś — to zwyczajny łobuz...

— Tatuś lo - buz...

— Tak... tak... zwykły burżuazyjny szubrawiec.

Nakarmiłem Wikę, położyłem do łóżeczka i opowiedziałem jej bajeczkę własnego utworu o piesku, którego wszyscy biją i nie dają jeść, — i tak rozżaliłem Wikę, że nie mogła długo zasnąć, kazała sobie podać swego psa z gutaperki, całowała go i pocieszała:

— Tyś mój... nie płacz, piesku... nie pozwolę cię bić...

Przypadłem do Wiki i zacząłem ją całować.

— A tatusia kochasz? Tatusia?

— Kocham...

— Jak kochasz? pokaż...

Wika objęła mnie za szyję i zamruczała.

— Czy tatuś dobry?

— Dobly....

Wika usnęła. Przeczytałem jeszcze raz list i westchnąłem nad swą marnością. Cudna dusza kobieca wywnętrza się przede mną. Przecież to nie ja — a ona Nika — jest wyjątkowa, jedyna na świecie — a ja jestem mały, zwyczajny człowieczek. Męczennica, której nie jestem godzien zawiązać rzemyka u trzewika. Dlatego bywam zawsze tak bojaźliwie rozradowany, gdy wolno mi jest uklęknąć i zawiązać sznurowadła u jej bucików. Odczytywałem list i było mi wstyd samego siebie, że tak splugawiłem te idealne, szlachetne wyrazy swą niską zazdrością, zawiścią do Włodeczka, męską nieczystością, błotem swej żądzy. Ona pragnie od-

począć od plotek, a ja sam oplatam jej wzniosłe uczucia siecią podejrzeń i brudnych insynuacyj.

Zacząłem pakować rzeczy i składać ubrania Niki, suknie, bluzki, bieliznę. Najmilsze zajęcie! Przyszła Mania i zadziwiła się.

— Co to pan robi?

Powiedziałem. Zaczęła nas żałować. Zaproponowałem jej, żeby pojechała z nami do Płowdiwu. Zarumieniła się i zmieszała z wrażenia i radości.

— Dlaczegoby nie? Wezmę i pojadę!

Po chwili zamyśliła się, jakby zwątpiła — prawdobodobnie o mej moralności.

— A pan... jedzie bez pani... Bez niej nie pojadę!

— Boisz się?

— Jakoś to nieładnie....

Uspokoiłem dziewczynę, pokazałem jej część listu Niki, dotyczącą jej.

— Pani prędko do nas przyjedzie.

— Pojadę, proszę pana. Wezmę i pojadę.

Umówiliśmy się i co do wynagrodzenia.

— Przyjdź pomóc zapakować rzeczy Wiki. I z naczyniami nie wiem, jak...

— Zażądam obrachunku i przylecę... dawno już chciałam odejść... służyłam tylko dla chleba.

Stało się! Jutro jedziemy do Płowdiwu.

XV.

Pociąg dochodził do Płowdiwu. Nazywa się on także Filippopol i takie miano nosił wtedy, gdy Rosjanie przychodzili tu przelewać krew i składać kości za oswobodzenie Słowian z tureckiego jarzma. Patrzyłem przez okna wagonu z gorzkiem uczuciem bezdomnego psa, którego wabią kawałkiem chleba.

Na horyzoncie widać sławne góry Radońskie, którym słowiańska ludowa twórczość poświęciła tyle pięknych pieśni, legend i podań. Jak bajkowe zamczyska — stoją te góry w śnieżnych, zaróżowionych zachodzącem słońcem, kołpakach. Nad niemi — sino fioletowe mgły, a poniżej — szmaragdowe łąki i pastwiska. Nad doliną rzeki Marycy dymią wonie, jak kadzidła. To jest właśnie owa „szumna Maryca“ o której nasłuchałem się w dzieciństwie od wędrownych ogorzałych Bułgarów, włóczących się z małpami i bębnami. Czy mógłbym kiedy przypuszczać, że los każe mi żyć nad jej brzegami, a nie nad rodzimą „Wołgą matką“! Pociąg kołysał się i stukał kołami i spinaczami wagonów, a mnie wydawało się, że śpiewa:

„Szumna Maryca — okrwawiona
„Płacze dziewica — luto zraniona“.

Ukazały się trzy olbrzymie, podobne do spadłych chmur, góry, a u ich stóp i na ich stokach — prześliczne bajkowe miasto z minaretami i kopułami cerkwi.

Ja i Mania jesteśmy w podnieconym nastroju, jaki odczuwa się zazwyczaj przy zbliżaniu się do nieznanego miejsca, mającego być odtąd stałem miejscem zamieszkania. Tylko Wika śpi sobie smacznie — obojętna na wszystkie zmiany naszego życia.

Wziąłem parokonny powóz z aksamitnemi siedzeniami, przypominający sewastopolskie dwukonne dorożki, i naładowawszy nasze bagaże, pojechaliśmy do miasta. Mieszanina Wschodu z Zachodem. Przez szerokie ulice płynie pstra fala ludzka: czerwone fezy, białe i zielone czalmy, europejskie meloniki, panamy, kapelusze i czadry, niepokryte kędzierzawe głowy, arby, osły, woły, tramwaje elektryczne, kolorowe parasolki i zasłonięte twarze Turczynek. Hałaśliwe, bajecznie kolorowe bazary wschodnie, olbrzymie europejskie domy i ukryte za parkanami tureckie siedziby — domki z wiszącemi szklanemi balkonikami — latarniami.

Długo jeździliśmy po hotelach i zajazdach — wszędzie pełno. Przejechaliśmy przez most na Marycy i dopiero na przedmieściu znaleźliśmy przytułek w jakimś okropnym „karawan-seraju".

A więc zaczyna się nowy okres życia, przeczuwany przeze mnie wtedy, podczas księżycowej nocy w Górnych Baniach, kiedy to znalazłem niby widomy znak przeznaczenia, medaljon z fotografją Włodeczka i jego kędziorami.

Przestałem być nieszczęsnym uchodźcą, a stałem się młodszym lekarzem w szpitalu. Moje stanowisko nie jest zbyt wysokie — zbliżone do naszego felczera, ale po wszystkich przejściach i włóczędze — w porównaniu z innymi rodakami, jestem „panem". Ładne mieszkanko trzypokojowe z oknami na ogród szpitalny i pensja, wystarczająca na skromne utrzymanie wraz z rodziną. Naj-

ważniejsze — to zupełna zmiana samopoczucia. Twardy grunt pod nogami, szacunek dla siebie samego, odzyskanie poczucia obywatelskości. Mania dostała się, jak do raju, do dużej widnej kuchni, i także odrazu shardziała. W rozmowach ze służbą miejscową nazywa mnie „panem dochtórem" a o Nice wyraża się: „nasza pani leczy się u wód". Roboty mam dużo, ale dom tuż obok, wpadam często na śniadanie, zobaczyć, czy niema czego nowego, czy listonosz nie przyniósł listu.

Przechodzą dnie za dniami a wieści — żadnych.

W duszy rośnie niepokój, tęsknota gryzie mą duszę, jak zły pies. Walczę z siły całej ze swoją męską naturą. Ratuję się tem, że w wolnych chwilach urządzam i przyozdabiam nasze gniazdko, zwłaszcza pokój Niki. Mieszkanie i umeblowanie obliczone jest na małżeństwo: ogromne podwójne łoże w sypialni, jadalnia i gabinet.

— Maniu, pomagaj! To łóżko — do kuchni! ty będziesz na niem spała.

Mania jest zadziwiona, zmieszana, jakby wystraszona.

— A... pan gdzie będzie sypiać?

— Ja — w gabinecie na kanapie. A twoje łóżko będzie dla pani.

— Dla panienki trzebaby łóżeczko...

— Już kupiłem... dziś przyślą...

Już wszystko przygotowane: czysto, jasno, miło. W oknach firanki, na podłodze chodniki, na stole biała serweta i wazon świeżych kwiatów. Zrujnowałem się i kupiłem bujak — tak przyjemnie odpoczywać na nim po obiedzie na werandzie, wychodzącej w zielone zacisze naszego ogrodu. Brakuje tylko kanarka. Ale jest i kanarek! głosik

i śmiech Wiki tak dźwięcznie rozlega się po wysokich pustawych pokojach. Niema już nic do roboty: trzeba czekać.

Gdy to oczekiwanie stało się już bolesnem i złowrogiem, i sądziłem, że zostanę na zawsze samotny, przybiegła któregoś dnia do apteki szpitalnej, gdzie pracowałem, zadyszana Mania, radośnie wołając:

— Pani przyjechała!

Z wrażenia i radości upuściłem i rozbiłem retortę z lekarstwem i osłupiałem.

— Maniu, Maniu...

Pobiegła. Zdjąłem biały kitel, przejrzałem się w lustrze, poprawiłem włosy, krawat. Zwlekałem z pójściem, czułem, że jestem czerwony jak burak ze wzruszenia, radości i strachu. Tak długo już czekałem, a czułem się, jak zaskoczony. Już zdaleka usłyszałem radosny śmiech Niki i naszej maleńkiej, i serce zabiło mi tak silnie, że prawie stanęło na chwilę. Zadziwiłem się, zobaczywszy w przedpokoju nieznaną walizę, a na wieszadle — starą rosyjską oficerską czapkę. Co to znaczy? Czyżby...

— Gdzie jest Janek? — wołał z drugiego pokoju znajomy, najmilszy głos.

Zobaczyłem Nikę, stojącą w drzwiach, wysoką, szczupłą ,czarno ubraną i jej olbrzymie oczy w otoczeniu ciemnych cieni: pełne zwycięskiej radości. Przez sekundę przemknęła — jak błyskawica — chęć porywczego uścisku, ale oboje nie wiem dlaczego nie wykorzystaliśmy jej. Zdaje się, że przeszkodziła Wika, która zaraz znalazła się przy matce i pociągnęła ją za suknię. Nika jedną ręką objęła córkę, a drugą wyciągnęła do mnie, i tym podwójnym gestem jakby chciała zatuszować pewne zakłopotanie, które nietylko ja odczułem. Oczy jej też jakby podzieliły się między mnie i Wikę, tak że nie zdołałem uchwycić

jej pierwszego spojrzenia. Ale to wszystko momentalnie przeszło. Nika wzięła dziecko na rękę i nieśmiało rzekła:

— Ale... mamy gościa... Zgadnij, kogo...

Domyślałem się tego i zrozumiałem na widok tej obcej walizy i oficerskiej czapki, ale udałem zadziwionego.

— Gościa? gdzież on? Bardzo mi przyjemnie...

— Dostałeś mój list?

— Nie.

— A dowiadywałeś się?

— Gdzie?

— Na poczcie.

— Wyobraź sobie, zupełnie wyszło mi to z głowy. A przyznam się, że byłem zły...

— Janku! Przecież umówiliśmy się pisać poste restante.

Znów zakłopotanie, milczenie... Nika obejrzała się, zatrzepotały jej rzęsy i wyszła do przedpokoju.

— Musimy pomówić...

— Chodźmy do ogrodu...

— Jak to dobrze, że jest ogród...

Usiedliśmy w ogrodzie na ławce. Wika zajęła się swemi sprawami.

— Janku! Ja tak wierzę w twoją duchową wyższość, że po otrzymaniu twego listu nie boję się waszego spotkania. W jadalni siedzi Włodzimierz. Wyrwałam go z Warny — tego śmietniska — i przyjechaliśmy razem. Jego pierwsza wizyta jest do ciebie. Przekonałam go, że jesteś człowiekiem szczerym, prostym, i jeżeli raz napisałeś, żeś wszystko zrozumiał i wybaczył, to nie są to czcze wyrazy, a...

— Dziękuję ci za zaufanie... bardzo się cieszę...

— Mój ty drogi, kochany... tego się spodziewałam...

Nika serdecznie pogłaskała moją rękę i stała się wesoła, rozjaśniona i serdeczna.

— Życie jest tak okrutne, głupie, że powinniśmy je prostować, nie poddając się jego przemocy. Czyż wy z Włodeczkiem byliście kiedykolwiek wrogami. A ludzie nietylko nie przeciwstawiają się złu, ale pomagają do zwycięstwa głupocie i podłości. Czytałeś, co napisali o nas w gazetach?

Roześmiałem się i machnąłem ręką.

— Niech ich Pan Bóg kocha!

— Nie, Janku, dlaczego tak mówisz?

— Cóż mam zrobić? Ogłosić, że nie byłem kochankiem, ani twoim, ani Wiery Princessowoj.

— Ogłaszać nic nie trzeba, toby tylko rozmazało to błoto. Tylko trzeba postępować tak, jak ty. Ludzie zrobili z Włodzimierza twego zaciętego wroga, a ty uczyniłeś z niego więcej — niż przyjaciela. Gdybyś mógł wiedzieć, co zdziałała szlachetność twego postępku. On jest tak zdumiony, że... Wiesz, co się stało? Gdy się wydało, co Chłopin o nas opowiadał, Włodeczek wyzwał go na pojedynek i napisał do niego, że nie wart jest nawet zawiązać rzemyka u twego trzewika. Wywiozłam go, bo inaczej... on jest zdenerwowany, że straszno dotknąć jego duszy... taki biedny, taki nieszczęśliwy...

Nika zakryła twarz chusteczką.

— Bądź dla niego serdeczny. Przecież ostatecznie to ja tylko jestem winna...

— Nikt nie jest winien...

— On tam się denerwuje, trzeba iść...

— Ty też jesteś bardzo zdenerwowana, Niko...

— No — dość tego — nie trzeba się smucić... i tobie też napędziłam smutne myśli.

Nika schwyciła na ręce maleńką i całując ją, zaczęła się śmiać przez łzy:

— Ot, kto jest winien, ot—kto winien!—I obie zanosiły się od śmiechu.

Wróciwszy do mieszkania, nie zastaliśmy gościa.

— Maniu, Maniu, gdzie jest ten pan, który przyjechał ze mną?

— Kazał powiedzieć, że poszedł sobie szukać mieszkania.

— Czy dawno wyszedł?

— Przed chwilą...

— Janku, trzeba go zawrócić! Widocznie doszedł do przekonania, że nie chcesz się z nim widzieć.

Spojrzała na mnie takim wzrokiem, że jak pies za rzuconym „aportem" wybiegłem bez kapelusza gonić zbiega. W tej cudnej kobiecie była jakaś specjalna siła oddziaływania na wszystkich otaczających, a ja byłem całkowicie w jej władzy. Wystarczyła rozmowa na ławeczce w ogrodzie, aby opadły ze mnie wszystkie grzeszne męskie żądze — zazdrość, duma, egoizm erotyczny z jego zawiścią i podejrzliwością. Znów poczułem się dobrym, pragnąłem być „nadzwyczajnym", nawet wydawało mi się to przyjemnem, że porucznik Rajewski tak mnie okrutnie znieważył, a ja właśnie biegnę za nim bez czapki, żeby zawrócić go i przyhołubić.

Wybiegłem za bramę, obejrzałem się i odrazu zobaczyłem Włodeczka: śpiesznie odchodził, ale po ruchach, sposobie trzymania się odczułem w tej oddalającej się figurze Rosjanina i odgadłem w nim Włodeczka. Idący człowiek miał lada chwila skręcić za róg ulicy i mógł mi zginąć w tłumie — pobiegłem więc jak uczniak ku zdziwieniu przechodniów: dojrzały mężczyzna porządnie ubrany biegnie kłusem przez ulicę bez kapelusza. Wszyscy oglądali się za mną i rozstępowali. Zwolniłem kroku dopiero przybliżywszy się do idącego i podszedłem ku niemu.

— Włodzimierzu Mikołajewiczu!

Był widocznie pogrążony w myślach i na moje wołanie wzdrygnął się, przestraszony, nie orjentując się, kto go wzywa. Smagła matowa twarz typu orlego, cokolwiek podniesione ramiona, przyzwyczajone do noszenia nieistniejących już epoletów, wojskowy sposób trzymania się, zuchowato włożona na czarną kędzierzawą głowę wypłowiała czapka bez oficerskiej odznaki, długie buty. W opuszczonej ręce — steck. W tej twarzy uderzały oczy, jakby trudno było się im otwierać i powieki z długiemi rzęsami były wciąż trochę opuszczone.

— Pan jest Włodzimierzem Mikołajewiczem Rajewskim? Wszak się nie mylę?

Zmieszany skłonił głowę i zasalutował, a blada matowa twarz zaróżowiła się jak od zorzy wieczornej. Pod wąsem błysnął zakłopotany uśmiech. Oczy wbite w ziemię...

— Panie kochany... dlaczego pan uciekł? gonię pana... ale przedewszystkiem — witajcie!

Jakoś kurczowo uścisnął moją rękę i wymówił przez zaciśnięte zęby:

— Dziękuję.

Zaczął się tłumaczyć: lękał się być natrętnym, zdecydował się znaleźć sobie pokój i dopiero wtedy przyjść.

— Tu jest jakiś browar, gdzie pracują nasi oficerowie... chciałem się z nimi zobaczyć i... zorjentować. Przepraszam, że wstąpiłem prosto z dworca, z walizą, ale...

— Ależ to wszystko głupstwo... nie warto mówić... wszak jesteśmy rodacy i na obczyźnie... mnie i Weronice Włodzimierzównie zrobiłby pan wielką przykrość, gdyby pan chciał się gdzieś tam... „orjentować", mając nas — bliskich — na miejscu. I pokoju

szukać nie potrzeba: pomieszka pan z nami i rozejrzy się, miejsca jest dosyć. Jednem słowem...

Wziąłem go pod rękę i pociągnąłem zpowrotem tem. W progu stała Nika z Wiką na rękach i z wyrzutem kiwała głową.

— Ach, jak to brzydko! żałuję, że wychodząc, nie zamknęłam cię w pokoju. No, i cóż? poznajomiliście się i nic strasznego niema. Przekonałeś się, że miałam rację. Chodźmy! na werandzie samowar czeka...

— Proponuję Włodzimierzowi Mikołajewiczowi zamieszkać u nas. Prawda, Niko, że nikomu nie przeszkodzi? A on upiera się, krępuje, uciekł szukać pokoju...

— Rzecz prosta, że mnie nie będzie krępował, byle tylko sam czuł się dobrze.

Piliśmy herbatę na werandzie i omawialiśmy tę sprawę. Są trzy pokoje, w jadalni jest ogromna turecka otomana, do obiadu ja jestem zajęty w szpitalu i wolny jest mój gabinet. Zresztą — jest bardzo trudno znaleźć pokój, wobec czego niema narazie innego wyjścia. A najgłówniejsze — oboje bardzo serdecznie prosimy.

XVI.

Cudowna była jesień tego roku. Jakby ziemia, nie skończywszy swej normalnej wędrówki około słońca, zaczęła poruszać się w przeciwną stronę i znów nastąpiło lato. Rozsłonecznione dnie, ciepłe noce, błękitne łagodne niebo, wszyscy na ulicach chodzą w letnich sukniach — w południe bywa upał. Nawet ptakom pomyliły się pory roku: kiedyś przybiegła Mania, opowiadając, że na naszem podwórzu stał się cud:

— U Chrystusa kury zaczęły się nieść!

Z początku nie zrozumieliśmy, potem wszystko się wyjaśniło. Mania nazywała Chrystusem stróża — Christo Momczewa.

Tylko ośnieżone wierzchołki Rodońskich gór oślepiając lśniły na błękitnem tle niebios, i nasz ogród jaskrawił się purpurą i złotem, jak dojrzałe jabłko.

Cały październik był nadzwyczajny, radosny i wydawał się nam jednem świętem. Taki nastrój panował wśród nas po przeżytem „święcie zgody". Jakgdyby wszystkie bóle i cierpienia pozostały gdzieś daleko za nami, a przeszłość — to jedno wielkie wspólne szczęście. Nigdy nie przypuszczałem, że Włodeczek jest takim miłym człowiekiem, takim interesującym, niewyczerpanym gawędziarzem, i że ma taki cudowny głos. Fenomenalny! Zresztą wówczas wszystko było nadzwyczajne — i pogoda, i głos Włodeczka, i ja sam, i wszystko, co się działo. Taki specjalnie szczęśliwy okres życia. Nika dostała posadę nauczycielki w miejscowem konserwatorjum, rów-

nież udało się jej kupić tanio i na raty fortepian Bekkera. Ja zostałem wezwany do robienia masażu pewnemu grubemu i bogatemu Jurkowi, który opłacał mą pracę wyjątkowo hojnie, jak dla uchodźcy. Nawet jeszcze kury zaczęły się nieść. Wszystko było wyjątkowe! A najbardziej dziwny z tego wszystkiego był naturalnie ten fakt, że ja i mój doniedawna najzaciętszy wróg — Włodeczek — mówiliśmy sobie po imieniu i ja nazywałem go Włodeczkiem, co zachwycało i rozrzewniało Nikę. Zresztą w tym czasie byliśmy wszyscy w radosnym nastroju — pełni serdeczności dla siebie nawzajem. Nawet w prawdziwych i bardzo zgodnych i przywiązanych rodzinach rzadko panuje taka serdeczność i harmonja, jakie wytworzyły się między nami. Prawdziwe święto zgody!

Szalenie miłe były nasze obiady i wieczorne herbaty, nasze spacery w góry i nad brzegami „szumnej Marycy" — głośne czytania, niedzielne wieczory muzyczne, na które zapraszaliśmy rosyjskich wojskowych, pracujących teraz jako prości robotnicy w miejscowym browarze, w tartaku, na budowach. Najmilsze bywały nasze „Wieczory na chutorze przy Dzikance" jak nazywaliśmy swe przedświąteczne wieczory, gdy po kolacji przed pójściem spać, siadywaliśmy długo, opowiadając o dawnych przejściach.

— No — wrogowie — mówiła żartobliwie Nika, puśćcie mnie w środek.

I sadowiła się z podwiniętemi nóżkami między nami na tureckiej otomanie, gdzie sypiał Włodeczek, i zaczynały się opowiadania, straszne, pełne grozy, pod wrażeniem których tuliliśmy się do siebie, — lub też wesołe — wtedy pokładaliśmy się ze śmiechu. Naturalnie najbardziej zajmujące i robiące silne wrażenie były opowiadania Włodeczka, który przeszedł przez ogień i przez wodę.

Jedyną plamą na tem szczęściu była obojętność Włodeczka względem Wiki. Nigdy nie wziął jej na kolana, nie pobawił się z nią, nie zniżył się do jej dziecinnego umysłu — wogóle starał się ją ignorować — i dziecko to czuło. Wika lękała się tego, jak mówiła, „obcego wujaszka". Spostrzegłam, że i Mania prawdopodobnie za to właśnie — nie bardzo lubi i krzywo patrzy na Włodeczka. Ale w tym wypadku mogła być jeszcze inna przyczyna: Włodeczek zbyt zwysoka po pańsku traktował Manię — podczas gdy my z Niką zrównaliśmy ją w prawach ze wszystkiemi członkami naszej fikcyjnej rodziny.

Zdawało się wtedy, że nasze święto zgody trwać będzie wiecznie. Ale widocznie tak już jest na tym świecie, że wszystko musi mieć swój koniec, a po każdem święcie następuje dzień powszedni.

Skończyła się cudna jesień — i zaczęły się dni zwyczajne, pochmurne, rozpłakane, zimne.

Kiedyś wpadłem ze szpitala do domu, aby coś naprędce przekąsić, i zastałem taką scenę: Włodeczek, chmurny jak noc, siedzi w mym gabinecie przy biurku nad otwartą książką, wichrzy czuprynę i bębni palcami po stole. W jadalni słychać płacz Wiki. Idę tam. Nika trzyma na kolanach płaczące dziecko i stara się coś robić przy pomocy Mani. W oczach Niki — pełno łez.

Za Nikę odpowiedziała Mania:

— Jodynujemy rączkę.

— No — to niewielki dramat... obie płaczą...

Wziąłem na ręce płaczącą Wikę, ona objęła mnie za szyję rączkami, a Nika zerwała się z krzesła i zamknęła w swoim pokoju. Poczułem odrazu, że zaszło tu coś ważniejszego, niż wydaje się napozór, ale coś mnie krępowało pytać o szczegóły. Namówiłem Wikę, żeby pokazała mi rączkę: siniaki i opuchnięte paluszki. Zaprosiłem Manię na asystentkę i zajo-

dynowaliśmy i zabandażowali rączkę przy akompanjamencie rozpaczliwego krzyku dziecka. Oddałem Mani Wikę, i wypiwszy szklankę mleka, poszedłem zpowrotem do szpitala. Przechodząc koło otwartych drzwi do swego gabinetu — przystanąłem chwileczkę, myśląc, że Włodeczek odezwie się do mnie, ale on wpatrywał się w książkę i udawał bardzo zamyślonego.

— Czytasz?

— Czytam.

— Co się stało Wice? jak...

— Nic nadzwyczajnego... przycięła sobie palce... — odparł Włodeczek i utkwił oczy w książce. Oddaliłem się niespokojny.

Wracając po pracy do domu, spotkałem Manię z Wiką.

— No, co słychać?

— Pogodzili się...

— Kto?

Mania uśmiechnęła się dziwnie i odparła niezadowolonym tonem:

— A któżby!... pani z tym gościem...

Wydęła wargi, pohuśtała Wikę i dodała, poprawiając jej kapturek:

— Nawet się pocałowali. A jabym go zbiła. Jak ślepy! nie widzi, że dziecko jest pod nogami. Przecież ona ma paluszki delikatne — a jego buciska — ciężkie, że ledwo można udźwignąć! Zadomowił się! I nawet mnie nieprzyjemnie słuchać: pani robi mu wymówki, a on na nią krzyczy... Nie widziałem jeszcze takich gości...

Otóż i dzień powszedni! „Okwitły kwiaty, pogasły ognie“ jak mówi poeta. Czy jednak ten dzień powszedni — nie dla mnie tylko? Oni pocałowali się i poszli gdzieś razem — a w mej duszy znów pustka i ohyda: i zazdrość, i obraza, i podejrzenie,

i dzikie niemądre uczucie prawowitego małżonka, którego zdradza żona. Taki to jest ten „wyjątkowy człowiek"! Ale nie chcę być żadnym wyjątkowym — chcę być normalnym zwykłym człowiekiem!

Jadłem obiad samotnie i kończyłem już, gdy wrócili. Dzwonek, ożywione głosy w przedpokoju, wejście z paczkami: owoce, pudełko z ciastkami... Widać odrazu, że się przeprosili i są szczęśliwi... Napadają na mnie...

— Już zjadłeś obiad? nie mogłeś chwilę poczekać? Chodziliśmy po owoce i coś słodkiego: przecież dziś właśnie upływa dwuletnia rocznica, jak uciekaliśmy z tobą, Janku z Krymu!

— I dlatego trzeba to oblać! — podjął Włodeczek, stawiając na stole butelkę wina.

— Oblać trzeba koniecznie — odpowiedziałem z myślą, że należy rzeczywiście pożegnać uroczyście minione święta i pogodzić się z teraźniejszością.

— Dlaczego jesteś taki nie w humorze? — trwożnie spytała Nika.

— Dziwię się, że ty jesteś taka wesoła... Jest mi smutno dlatego, że tobie wesoło...

Nika zrobiła wielkie oczy, a ja pośpieszyłem wytłumaczyć:

— Boję się, że Wika ma uszkodzoną kość w paluszku. Nie rozumiem, jak pan, Włodzimierzu Mikołajewiczu, mógł być tak nieuważny względem... mego dziecka?

Wytarłem usta i rzuciwszy serwetkę na stół, wyszedłem z pokoju.

XVII.

Naturalnie „zgruchotana rączka Wiki" była tylko pretekstem dla zamaskowania mego wzburzenia i uczucia zazdrości po rozmowie z Manią, ale jestem przecież takim „wyjątkowym człowiekiem", że Nika zaraz okrasiła moje zachowanie odblaskiem własnej dobroci.

— Ty tak kochasz Wikę, że gotów jesteś nam z Włodeczkiem za nią oczy wydrapać. To jest takie wzruszające, że naturalnie, nie możemy się na ciebie gniewać, kochanie.

Nika chodziła już z Wiką do szpitala do naszego chirurga, i okazało się, że przesadziłem: paluszki są zupełnie zdrowe i nie trzeba żadnego bandażu. Pozostawało mi tylko przeprosić Włodeczka za mą zapalczywość i grać w dalszym ciągu rolę „wyjątkowego". Tymczasem rola ta stawała się dla mnie coraz cięższą, gdyż z każdym dniem przekonywałem się, że jestem oszukiwany. Było to głupie, śmieszne, nieprawdopodobne, ale właśnie budziło się we mnie takie uczucie „oszukiwanego męża" i mimo wszelkie perswazje, że Włodeczek jest narzeczonym Niki, a ja — niczem — wrażenie to nietylko nie przechodziło, ale potęgowało się. Patrzyłem na Włodeczka jak na szubrawca, który wcisnął się do mojej rodziny jako „przyjaciel domu" i jeżeli jeszcze nie uwiódł mi żony, to stara się o to, aby zostać jej potajemnym kochankiem.A ja na to patrzę i nie mogę nic poradzić. I zacząłem zachowywać się tak, jak powinienby zachować się rzeczywisty mąż, który nie może

pogodzić się z faktem, że go żona zdradza i z jednej strony pociesza się, iż to wszystko tylko mu się wydaje, — a z drugiej — czeka niecierpliwie, kiedy uda mu się złapać ich na gorącym uczynku, i... co? Niewiadomo: zabić ją, czy kochanka, czy oboje razem, czy tylko siebie samego... Ale, by się ostatecznie przekonać, musi grać komedję udawania, że nic nie podejrzewa i nosić dobrowolnie błazeńską czapkę...

Takie było właśnie moje samopoczucie, gdy grałem w dalszym ciągu rolę „wyjątkowego, jedynego na świecie człowieka".

Nasza Mania oburzała się głośno: ona była przecież pewna, że jestem naprawdę mężem Niki, a ojcem Wiki. Nieostrożność Włodeczka i Niki podczas mej nieobecności widocznie nasuwała jej podejrzenia, że są kochankami. Mania korzystała z każdej sposobności, aby otworzyć mi oczy: nie śmiała wystąpić otwarcie, ale gdy tylko zostaliśmy we dwoje — wzdychała, robiła aluzje, narzekała na gościa, a raz nawet, rzuciwszy z hałasem drzewo pod piecem, zagadała niby do siebie:

— Nie moja sprawa, ale nawet mnie to boli...

Naturalnie udawałem, że nic nie rozumiem. Włodeczek zachowywał się, jak przystało doświadczonemu don Juanowi: był przyjacielski dla mnie, pełen kurtuazji wobec mojej żony w mej obecności — ale czasami ta jego poprawność i dobre wychowanie przerywane było jakimś nietaktem, który żenował Nikę, a ja udawałem, że nic nie spostrzegam. Bywa, że i kochanek jest zazdrosny o męża, i właśnie chwilami wybuchała taka zazdrość i u Włodeczka. Raz przyniósł on Nice wspaniały pęk kwiatów: ona podzieliła kwiaty i postawiła w wazonie połowę w jadalni, a drugą połowę w gabinecie na mojem biurku. Spostrzegłem wtedy na twa-

rzy Włodeczka zdumienie i niezadowolenie. Kiedy Wika nazywała mnie „tatusiem", Włodeczek miał zawsze niewyraźną minę, jak dobrze wychowany człowiek, gdy przy nim jaki „demokrata" zacznie jeść rybę nożem. Kiedyś wpadłem w żartobliwy ton i zagrałem nawet na ten temat małą scenkę.

— Ty — zdaje się — nie wierzysz, że Wika jest moją córeczką?

Włodeczek strasznie się zmieszał, Nika zaczerwieniła się, a ja wyjąłem z kieszeni metrykę Wiki i podałem mu:

— Przekonaj się!

W tym dokumencie było powiedziane, że Wika jest urodzona ze mnie i mej prawnej małżonki takiej a takiej... nasze nie do poprawienia fałszerstwo.

Włodeczek wzruszył ramionami i przeczytawszy rzucił papier na stół z pogardliwie podrażnionym gestem.

— Byłoby rozsądnie zniszczyć ten papier — wymówił — bębniąc palcami po stole, w każdym razie to jest fałszerstwo. Za takie sprawki idzie się do kozy.

Po upływie dwóch dni Nika pod nieobecność Włodeczka poprosiła mnie, abym oddał jej metrykę Wiki.

— Na co ci to potrzebne?

— Ja nie mam wcale ochoty siedzieć w więzieniu... Włodeczek mówił, że...

Zrozumiałem, że Włodeczek nie przestraszył się zupełnie tego więzienia, grożącego nam z Niką, a tylko dokumentu, stwierdzającego formalnie nasze małżeństwo.

— A co będzie z Wiką? Znów ją chrzcić? Przecież nie można zniszczyć metryki.

— Oddaj mi ją!

— A, to co innego... już mi nie wierzysz...

Westchnąłem, wyciągnąłem szufladę biurka i znalazłszy papier, położyłem przed Niką.

— Proszę.

Nika zaczerwieniła się — widać było że spełnia życzenie nie swoje, a „jego“. Mój wyrzut o braku zaufania tak ją zawstydził, że schowała twarz w dłoniach, ale nawet uszy zaczerwieniły się jej pod puklami włosów.

— Nie... nie... ja ci wierzę... wierzę... to co innego... ja sama nie wiem...

— Ty jesteś matką — a ja... Kto ja jestem? Ja będę kochać Wikę, jak ojciec, i bez tego dowodu. Nie potrzeba mi żadnych dokumentów... zabierz to.

Zerwała się i uciekła, pozostawiwszy papiery na stole.

Toś ty taki, Włodeczku! Chowasz się za jej spódnicę, podsyłasz dla odebrania dokumentów...

Co to za podłe wstrętne zwierzę — jest męska zazdrość! Nienawidziłem już Włodeczka, a on naturalnie nienawidził mnie. Nie wierzyłem w jego szlachetność — on zaś nie wierzył w szlachetność moją i Niki. Podejrzewałem ich o potajemny romans — on podejrzewał nas. Ja sądziłem, że mnie oszukują, on sądził, że ja i Nika oszukujemy jego, że jesteśmy oddawna kochankami i że ja jestem faktycznym ojcem Wiki.

A Nika? Zaślepiony zazdrością — nie rozumiałem wówczas, że zawiniła ona tylko tem, iż była zbyt idealna, czysta w stosunku do nas.

Ona nie ukrywała zupełnie tego, że kocha nas obu równie silnie, choć inaczej. Pragnęła pogodzić to, co pogodzić się nie da: kochać nas obu i nie utracić żadnego. To pragnienie właśnie kazało jej mnie oszczędzać, gdyż wiedziała o tem, że będąc „wyjątkowym jedynym na świecie“ człowiekiem, kocham ją również jeszcze i zwyczajnie, jak mężczyzna —

kobietę — i dlatego w mojej obecności zachowywała się w stosunku do Włodeczka inaczej, niż gdy byli sami — co tak oburzało naszą Manię. Jakkolwiek grałem bardzo dobrze rolę szlachetnego charakteru, zdarzały się i mnie też nietakty — jak Włodeczkowi, a ona widziała to, przebaczała i starała się nie dawać ku temu powodów, nie jątrzyć ran mojej duszy okazywaniem czułości wybrańcowi swego serca.

Ja to spostrzegłem i utwierdzało mnie to tylko w uczuciu „zdradzanego męża". Zato jej przejacielska serdeczność, którą starała się wynagrodzić mi rzekomą zdradę — była niezrozumiała dla Włodeczka i jeszcze bardziej dawała powód do cynicznych podejrzeń z jego strony — aż do tego stopnia, że cała historja z czerwonym gwałcicielem jest przez nas zmyślona i Wika jest owocem naszej miłości.

Aż strach wspomnieć, że graliśmy tak w chowanego przez całą zimę.

To jeden, to drugi z nas zastawał Nikę z oczami zapuchniętemi od płaczu i myślał w duszy, że miała jakieś zajście z kochankiem. Ona zaś cierpiała strasznie między dwoma ogniami naszych namiętności — wrącemi pod pokrywką przyjaźni.

Wstyd mi się przyznać, do czego doprowadziła mnie ta zwierzęca pasja. Włodeczek sypiał na otomanie w jadalni: jedne drzwi stamtąd prowadziły do pokoju Niki, drugie do przedpokoju, skąd było wejście do mego gabinetu. W ten sposób „zdradzać" mnie nocą było bardzo łatwo. Otóż pod pretekstem, że u mnie w pokoju jest zimno, otwierałem drzwi do przedpokoju i do stołowego i nie sypiałem nocami, przysłuchując się wszystkim nocnym dźwiękom, szelestom i t. p. Wciąż mi się zdawało, że w ja-

dalni ktoś chodzi ostrożnie w skarpetkach, że ktoś szepce lub całuje się... Brudna wyobraźnia zamieniała te dźwięki na „zdradę" i budziła żądzę schwytać na gorącym uczynku przestępców, znieważających mój honor męża.

XVIII.

Któregoś dnia Włodeczek otrzymał z poczty jakiś list i stał się bardzo zagadkowy. Zauważyłem narady z Niką, podniecenie obojga, zamyślenie i nienaturalną radość. Wyglądali na spiskowców i coś tam beze mnie decydowali. Spostrzegłem to przed wyjściem do szpitala, a gdy wróciłem na obiad — zastałem taką scenę: Nika siedzi przy fortepianie, a Włodeczek stoi za jej krzesłem. Ona uderza paluszkiem w klawisze i mówi „be-mol" „mi-be-mol" a on schyla się i patrzy w nuty przez jej ramię, prawie, że dotykając jej policzka swoim. Coś w rodzaju sceny z „Kreutzerowskiej Sonaty" tylko bez skrzypiec. Gdy wszedłem, obejrzeli się oboje i znów „be-mol". Włodeczek wziął „mi-be-mol" i Nika, zamknąwszy z hałasem fortepian, poprawiła włosy i rzekła:

— Obiad! tyś pewnie głodny, Janku...

Wszystko to razem z „be-molem" wydało mi się sztuczne, zagrane dla zamydlenia mi oczu. Na stole stała butelka wina, ta sama niedopita butelka, która była świadkiem mego wybuchu z powodu zgniecionej rączki Wiki.

— Wypijemy, bracie — jutro rano wyjeżdżam... — uroczyście odezwał się Włodeczek.

— Jakto? dokąd? poco?

— Wstępuję do teartu — na śpiewaka. Dość już tu wam się naprzykrzyłem.

Ukradkiem spojrzałem na Nikę: łzy i śmiech na ustach. Dziwne!

— Nie wierzysz? Naprawdę! Będę śpiewał w operetce jako drugi baryton. Tamtejsza primadonna — Rosjanka i moja znajoma — przyjeżdżała do Warny na gościnne występy i właśnie... — położył przede mną list,—angażują mnie. Nie mają drugiego barytona.

Przeczytałem list i przekonałem się, że mówi prawdę.

— Trzeba zacząć iść o własnych siłach — i tak już zbyt długo nadużywałem twojej gościnności... No — wypijmy!

Podnosząc kieliszek, Włodeczek zaśpiewał:

„Za miłe damy, urocze damy
„Które kochały nas choć raz".

— To na czyją cześć? może za zdrowie tej primadonny, która zaprotegowała cię do operetki— głosem pełnym obrazy i zazdrości spytała Nika.

Trąciliśmy się i wypili — i odrazu zacząłem żałować Włodeczka. Znów wydał mi się miłym i na myśl, że wyjedzie zrobiło mi się bardzo smutno.

— Trzy tysiące lewów na początek! Jak wam się to podoba? Tylko jak ja będę śpiewał po bułgarsku? A zresztą w mojem położeniu zaśpiewasz, bracie, we wszystkich językach! Byłoby dobrze, Niko, przejść i opracować z tobą parę partyj.

— Zostań się, ja bardzo chętnie — odparła smutnie Nika.

Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że Nika z Włodeczkiem ostatecznie zdecydowali się pobrać, i dlatego te jej łzy i smutek kładłem na karb nie jej żalu nade mną — skazanym na samotność, a nad odjeżdżającym Włodeczkiem... I myślałem: ona go

kocha po dawnemu, a on.... wogóle wszystkie „miłe damy, urocze damy, które kochały nas choć raz".

Jak ona go kocha! Gdy Włodeczek wyszedł zaatwić swe ostatnie interesy przed wyjazdem, zaczęła pakować jego rzeczy, reperować bieliznę, przyszywać guziki i — co spostrzegłem ukradkiem — roniła łzy na jego otwartą walizę.

Mnie zaś żal było Włodeczka, żal Niki a w głębi duszy odżywała znów nadzieja na oswobodzenie drogi do naszej miłości od największej przeszkody. Niech jedzie z Bogiem! Oby jak najprędzej przyszedł ten jutrzejszy poranek i zabrał tego, co trzyma jej duszę na uwięzi. Pojedzie i pochłoną go kulisy operetki, gdzie znajdzie wiele zawsze gotowych i chętnych „miłych dam" — pobawi się i rzuci. To samo byłoby z Niką. I znów rodzi się podejrzenie! A może to już się stało? pobawił się i wyjeżdża. Ale zdaje się, że nie — choćby było już blisko tego. Żeby tylko teraz przy wyjeździe nic się nie stało! w takich chwilach to możliwe. Nie bez powodu problem „rozstania" używany jest przez dramaturgów w sztukach teatralnych jako probierz siły namiętności. Ot, co robi rozstanie! Nika roni łzy do walizy i w rozrzewnieniu przyszywa guziki.

Jedliśmy kolację we dwoje bez Włodeczka — Nika była smutna, zgaszona i żałośnie na mnie patrzyła. Naturalnie przyjmowałem to za objaw żalu z powodu bliskiej rozłąki. Tylko nasza Mania nie ukrywała swej radości i zwycięskiej miny. Ścieląc mi w gabinecie, wyszeptała dobitnie za memi plecami:

— Dzięki Bogu, wynosi się!

Wyszedłem do swego gabinetu, aby dać możność Nice przeżywania swego bólu bez świadków.

W kuchni rozległ się głos Włodeczka, rozmawiającego z Manią, znaczy się więc — wrócił przez kuchnię, żeby nie dzwonić. Przeczekałem chwilę i pod pretekstem sprawdzenia zegarka wyszedłem do jadalni. Włodeczek w palcie i czapce na bakier siedział przy Nice na otomanie: ona coś szyła a on mruczał jak kot i wydało mi się, że jest „pod gazem". Naturalnie — też dla zabicia smutku przed rozstaniem. Było mi niezręcznie przerywać to sam na sam i śpiesznie wyszedłem do siebie i zagłębiłem się w czytaniu. Nie słyszałem i nie widziałem, że Włodeczek wyszedł znów przez kuchnię, jak się potem okazało — i przeniósłszy się na kanapę, długo czytałem i paliłem papierosy. Wieczory były już długie, robiło się wcześnie ciemno i zwykle kładliśmy się spać wcześnie — jak i wszyscy mieszkańcy. — o godzinie 10-ej a najpóźniej o 11-ej. Słyszałem, jak zegar wybił godzinę dziesiątą, a gdy następnie ocknąłem się, nie wiedziałem, jak długo spałem. Okazało się, że spałem tylko dziesięć minut

Miałem wrażenie, jakby ktoś dotknął mojego ramienia i szepnął: nie prześpij Niki! Podniosłem się i zacząłem nadsłuchiwać: wydało mi się to, co bywało dawniej: szepcą ze sobą w jadalni, całują się i cichutko się śmieją. Oparłem się na łokciu i zamarłem: niema wątpliwości, że się całują i nawet słychać szept tak nieostrożny, że można odróżnić wyrazy: aniele stróżu mój. Dopiero potem zrozumiałem, że Nika szeptała to nad Wiką, poprawiając pościel jej — ale wtedy zapomniałem o egzystencji dziecka. No tak — wiedziałem to!...

Nie wierzyłem swoim uszom, czułem szum w głowie, serce waliło mi jak młotem i wtedy oszalałem: jakto — w mojem mieszkaniu! prawie na moich oczach! Zapragnąłem iść tam i krzyknąć do

tego szubrawca: precz! wyrzucić jego walizę i wygonić jego samego. Pochwyciłem dla swej obrony rewolwer, gdyż ten „szubrawiec“ był dwa razy silniejszy ode mnie, i wyszedłem do przedpokoju. Drzwi do jadalni były półotwarte, przez szczelinę w zamkniętych drzwiach do pokoju Niki błyska smuga światła. Wpatrzyłem się w tą ciemność i przekonałem, że „jego“ na otomanie niema, posłanie rozrzucone. Znaczy się, że są razem — tam... Nie wiem, czemby się to skończyło, gdyby nie uratował mnie sam Włodeczek. Rozległo się głośne dzwonienie, a potem z pokoju głos Niki:

— Janku, nie śpisz?

— Ja? Nie... nie...

— Otwórz... Włodeczek wraca!

Rzuciłem się do gabinetu, schowałem rewolwer pod poduszkę, i okrywszy się kołdrą — wyszedłem otworzyć drzwi. Nie umiem opisać, jak marnym i nikczemnym czułem się w tej chwili. Zjawił się Włodeczek. Był podniecony — emigranci urządzali mu pożegnanie— wesoły, szczęśliwy, serdeczny.

— Nie śpisz, Janku... pocałuj mnie, bracie! Ja cię tak kocham i szanuję.... tyle dobrego wyświadczyłeś nam z Niką....

— Idź spać, Włodeczku... już późno...

— Ja chcę z tobą pomówić otwarcie, szczerze nie chcę nic przed tobą ukrywać, i chcę... tego... Tyś uratował i uchronił Nikę... ty i pobłogosław nas... postanowiliśmy na wiosnę... Janku kochany, jak bardzo jestem winny wobec ciebie! Jak bardzo jestem winny wobec ciebie i Niki!...

Nagle schwycił mnie w objęcia i oparłszy głowę na mem ramieniu, zapłakał w tkliwym pijackim szlochu...

— Włodeczku, co się z tobą dzieje, kochany— szeptała wystraszona Nika, wybiegłszy w szlafroczku ze swego pokoju.

— Tak... jestem szczęśliwy... szalenie szczęśliwy... Niko, ja mu wszystko powiedziałem... Błogosław nas, Janku, błogosław...

XIX.

Ludzie pływają w wodzie, jak ryby, latają w powietrzu, jak ptaki, rozmawiają między sobą z dwóch końców świata. Może wynajdą wkrótce taki aparat, za pomocą którego będą wiedzieć o wszystkich myślach i pragnieniach ludzkich — i wtedy życie stanie się nie do zniesienia, gdyż jest ono zbudowane na cemencie, imię któremu — kłamstwo!

Tak myślałem, leżąc w swym gabinecie po opisanej wyżej awanturze w nocy przed odjazdem Włodeczka. Gdyby Nika mogła poznać myśli i uczucia, które opanowały mnie przed godziną, odwróciłaby się ze wstrętem ode mnie, a nie myślałaby, że jestem „dobry, szlachetny, najlepszy człowiek na świecie". Myślę, że to samo byłoby z jej ukochanym Włodeczkiem. Mało jest takich czystych i pięknych dusz, jak Nika — i tylko wiara w piękno dusz ludzkich przez sam fakt istnienia takich „błogosławionych" skłania nas do stawania się lub udawania dobrych, szlachetnych i szczerych. Znaczy się, że każą nam oszukiwać siebie samych lub też otaczających.

Tej nocy, gdy pijany Włodeczek płakał w moich ramionach, a potem otwierał przede mną swą przepełnioną miłością duszę, a obecna przy tem Nika wzruszała się naszemi braterskiemi uściskami i roniła łzy radości — poczem wszyscy uścisnęliśmy się — Włodeczek zakrzyknął w szczerym zachwycie:

— Boże! jacy my wszyscy jesteśmy dobrzy!

Zastanowiwszy się, trzeba — rzecz prosta — przyznać, że w rzeczywistości nic się nie zmieniło: zostaliśmy nadal wszyscy takimi, jakimi byliśmy już, w tym wieku ciało i dusza są już sformowane — ale zostanie niezaprzeczonym faktem, że właśnie wówczas obaj z Włodeczkiem pragnęliśmy być dobrymi. Mogę to śmiało powiedzieć o sobie. Spadłszy przed godziną w samą głąb ludzkiej nikczemności, jakby zbudzony z tego stanu dzwonkiem w przedpokoju — potem ogłuszony wyznaniem Włodeczka, że między nim a Niką wszystko już jest postanowione, — czułem się jakby odrodzony. Cały osad męskiej żądzy opadł i dusza moja rozjaśniła się: zapragnąłem być „dobrym, jedynym na ziemi" i z całej duszy, szczerze z uczuciem prawie że ojcowskiem, błogosławiłem narzeczonych swą ikoną. Potem jeszcze siedzieliśmy w jadalni, wzruszeni wypadkami i wypiliśmy przyniesioną przez Włodeczka butelkę szampana.

Znaczy się, trzeba postawić kropkę, a raczej krzyż nad wszystkiem, co było i nad swemi pragnieniami i nadziejami. Trzeba pozostać i nadal tylko przyjacielem, bliskim człowiekiem tej rodziny, dopomagać jej i cieszyć się cudzem szczęściem. „Cudzem" — to złe wyrażenie: trzeba połączyć je ze swojem własnem. Jest to tem łatwiejsze, że jest między nami mocny węzeł: maleńka Wika, doskonała kopja mej ukochanej kobiety... Przyszła mi nawet kiedyś myśl, żeby nie rostawać się i żyć we czworo. Wspomniałem Turgenjewa w rodzinie Viardo. Jestem przecież sam, jak palec. Jeżeli Pan Bóg nie dał mi szczęścia osobistego, dobrze, że choć możnaby się ogrzać przy cudzem.

Pod wrażeniem tych myśli odezwałem się przy szampanie:

— Słuchajcie, moi drodzy, tak mi się nie chce... a raczej, jak powiedziano w Piśmie — „źle być człowiekowi samemu"... albo oddajcie mi Wikę, albo... weźcie mnie z sobą.

Nika klasnęła w ręce — a Włodeczek zwycięsko podkręcając wąsika, odparł:

— Ja lubię wogóle nie mieć zbytecznych bagaży...

Nika przerwała:

— Ja nie mogę bez Wiki...

Najwidoczniej uradowała ją myśl takiego nierozłącznego życia, a Włodeczka — myśl pozbycia się „owocu nieszczęsnej miłości", jak kiedyś pod nieobecność Niki — a nie wiedząc, że ja słyszę, nazwał naszą maleńką w rozmowie z Manią.

— Proszę cię, Niko, tylko nie zgub — powiedziałem, oddając jej metrykę dziecka.

Trzeba było widzieć, z jakim męczeńskim wyrazem Nika brała ode mnie ten papier.

Na drugi dzień rano odprowadzaliśmy Włodeczka na kolej. I znów było inaczej, jakby przyjaźń i cała „rodzina" rozerwała się. Wydawało się i biło w oczy, że ja z Wiką zostajemy na uboczu i że ja jestem, jak odrzucony łachman. Nic już nie krępowało Niki i Włodeczka i nie uważali za potrzebne ukrywać przede mną i przed otoczeniem swego stosunku i swych praw do siebie. I gdy uśmiechając się do siebie lub też ze specjalną powagą rozmawiali o swych sprawach, czułem się niezręcznie i starałem się wtedy rozmawiać z Wiką. Czas dłużył się i pragnąłem, aby pociąg jak najprędzej ruszył. Wkońcu, gdy trzeba było już wejść do wagonu, Włodeczek z Niką ukryli się na plat-

formie i prawdopodobnie żegnali się długim, serdecznym uściskiem i pocałunkami, a potem zjawili się, zamieniając pełne żalu spojrzenia.

— Tak... tak... Janku... — wymówił Włodeczek i niewiadomo dlaczego poklepał mne po ramieniu. Zdawało się, że nie mamy sobie nic do powiedzenia.

— Tak, bracie... — odpowiedziałem.

Nareszcie sygnał odjazdu. Włodeczek rzucił się ku Nice — pocałowali się. Pocałowaliśmy się i my z nim, przyczem on zrzucił mi kapelusz, który spadł na ziemię, przez co prawdopodobnie wyglądałem śmiesznie. Nika roześmiała się. Z Wiką Włodeczek zapomniał się pożegnać, a może i nie zdążył. Wskoczył do wagonu, drzwi się zatrzasnęły i pociąg ruszył. Nika zapatrzyła się w odchodzący wagon, widocznie widziała jeszcze Włodeczka — zrobiła w powietrzu znak krzyża i długo patrzyła wdal, zupełnie zapomniawszy o naszem istnieniu.

Do domu szliśmy w milczeniu, Nika była jakby „obca", zapatrzona w swoją duszę.

Jakby coś zerwało się między nami.

Rzecz prosta — nic się nie zerwało, tylko ja tak to odczuwałem: w domu stała się znów dawną Niką, nawet jeszcze lepszą i bardziej uważającą względem mnie. Odrazu cicho, cichutko zrobiło się w domu — wszędzie czystość i porządek. Jakgdyby całe zamieszanie, hałas i nieporządek były dziełem Włodeczka.

Bywają tacy ludzie: wzburzają i mącą atmosferę wokoło siebie, całe życie wokoło nich przesiąka niepokojem i jakby wypełnia do tego stopnia, że brakuje dnia i trzeba zarywać nocy, — a gdy tacy znikają, robi się pusto i nudno. Jeżeli jednak zastanowić się nad treścią, wnoszoną w życie przez takiego człowieka, nie znajdzie się nic prócz chaosu,

nieporządku i braku sensu. Towarzyskie zwierzęta — stworzone poto, aby życie nie zastygło w ramkach porządku, robiącego z nas automaty. W takich ludziach jest zawsze coś sympatycznego i pociągającego.

Włodeczek wyjechał — i nasze życie potoczyło się spokojnym, regularnym trybem. Nika gorliwie oddawała się swym lekcjom muzyki w konserwatorjum, ja — swoim pracom w szpitalu i aptece. Mania była troskliwą nianią, pokojówką i kucharką. Śniadania i obiady następowały regularnie po sobie, herbata — w określonym czasie, kąpiele Wiki i nasze w ściśle oznaczone dni. Familijna maszyna zaczęła pracować równo, spokojnie, bez przerw. Nika potajemnie szyła sobie „wyprawę", ja po kolacji czytywałem jej książki. Potem zaczynaliśmy słodko poziewać i powiedziawszy sobie dobranoc — rozchodziliśmy się na spoczynek. Nie miewałem wtedy żadnych złych myśli, sypiałem spokojnie i mocno. Daleko było jeszcze do wiosny i daleką zdawała się przyszła rozłąka. Jakoś nie chciało się wierzyć, że Nika rzuci mnie i wyjdzie zamąż za Włodeczka... Tak płynęły dnie i tygodnie... Gruby tłusty pasza znów zażądał masażu, i to powtarzanie się wypadków jeszcze bardziej umacniało we mnie uczucie — niemożliwości jakichkolwiek zmian w naszem życiu.

Czasem Nika, otrzymując listy od Włodeczka, opowiadała mi zdarzenia i nowiny z jego operetkowego życia. Wnosiły ożywienie w nasze ciche życie gazety z Sofji, w których chwalono „utalentowanego" o „pięknym miękkim barytonie" artystę, p. Askoldowa, — pseudonim sceniczny Włodeczka. Nika zaśmiewała się, wyobrażając sobie go w różnych operetkowych rolach. Potem wszystko ucichało i szło zwykłym trybem. Tak nie spostrzegłem się jak nadeszło Boże Narodzenie.

XX.

Na święta przyjechał Włodeczek spędzić z nami dwa wolne dni. Było to — rzecz prosta — nadzwyczajne wydarzenie w naszem cichem, jednostajnem życiu.

Odrazu poczuło się „zwycięzcę“, obejmującego pod swą władzę zdobyte kraje. A Włodeczek był zwycięzcą nietylko w miłości, ale i na scenie— podwójny bohater. To też i okupacja była, jak dla mego łagodnego usposobienia, ciężka, tem bardziej, że zdążył on już przesiąknąć trucizną nietylko łatwych zwycięstw na scenie, ale i lekkomyślnością zakulisowego życia, w którem był dziś hrabią, jutro — sułtanem, pojutrze — Napoleonem, a zawsze i wszędzie bohaterem. Przypatrywałem mu się i podziwiałem nadzwyczajną zdolność Rosjan przystosowywania się do warunków życia. Stał się aktorem — najprawdziwszym aktorem z przesadzonem pojęciem o swej wielkości, zdobywczości, ze specjalnym aplombem w rozmowie, z gestami i manierami, wziętemi z odtwarzanych ról. Nika nie miała nigdy styczności z tym zakulisowym teatralnym światkiem i brała wszystko, jak to się mówi, za dobrą monetę. Miłość każe zawsze upiększać swój ideał — a Nika patrzyła z zachwytem na zmianę bycia Włodeczka, nie rozumiejąc, że on wciąż gra jakąś rolę, a nigdy nie jest sobą. Tak w ciągu dwóch dni w naszem mieszkaniu panował „on“, zamieniwszy je na garderobę teatralną, a nas

wszystkich na statystów, którzy muszą mu podgrywać.

Na wszystkich krzesłach i fotelach były porozrzucane części garderoby Włodeczka, na stołach — krawaty, rękawiczki, papierosy, w wazonach i doniczkach niedopałki, na mem biurku — brzytwy, miseczka z mydlinami, papier ze zgolonemi włosami, przy kanapie na ziemi — najrozmaitsze buty i pantofle. I co chwila wybuchy barytonu, podobne do końskiego rżenia: to Włodeczek trenuje swój głos. W takich razach nikt dla niego w mieszkaniu nie istnieje i nic go nie obchodzi, że ja pracuję, a Wika śpi. I nikt nie śmie zwrócić mu uwagi, aby nie rżał tak namiętnie: ja się krępuję, Nika boi się przeszkodzić i tylko ostrożnie tak, aby Włodeczek nie widział, zamyka szczelniej drzwi do mego pokoju. Nasza Mania boi się go, poprostu drży ze strachu, gdy Włodeczek dziko wywracając oczy i władnym gestem wyciągając rękę, śpiewa arję z „Dzwonów Kornewilskich“:

„Wszystko słucha woli mej
Bom ja władca ziemi tej".

Zdążył już wysunąć się na pierwszy plan i dostał główną rolę w tej operetce. Przygotowując się do występu, czuje się rzeczywiście jak „władca“. Nie oszczędza Niki: musi mu akompanjować, pomimo, że źle się czuje, ma katar i kaszel. I dyryguje, z rozdrażnieniem przytupując nogą: nie ten takt!

Raz, dwa, trzy, cztery—raz, dwa, trzy, cztery...

Zaczęliśmy przygotowywać choinkę dla Wiki, chcieliśmy zapalić ją w wigilję, ale przyjechał Włodeczek i trzeba było odłożyć. Wszystko zapełniło się Włodeczkiem — taki rzadki gość i tylko na dwa dni...

Zniknęła w zachowaniu Włodeczka i delikatność, i galanterja, i dobre wychowanie, i dyskrecja w stosunku do Niki. Nie krępował się teraz przy mnie objąć ją wpół, przy spotkaniu w korytarzu wyściskać, jak to czynią goście względem pokojówek w dużych domach, opowiadać w jej obecności nieprzyzwoite anegdotki. Raz — było coprawda przy „wstawie", jedliśmy kolację — zaczął chwalić się powodzeniem za kulisami — wszystkie chórzystki wieszają mu się na szyi — i przy okazji opowiedział pikantny epizod na scenie podczas przedstawienia operetki „Bocaccio", Nika poczerwieniała i odeszła od stołu, a Włodeczek jakby zadziwił się, czy obraził:

— Nie udawaj niewinności!

W pierwszy dzień świąt Włodeczek sprosił rosyjskich wojaków, pracujących w fabryce, tartaku i innych zakładach i urządził przyjęcie: napoił i nakarmił wspaniale. Rozwinęły zmięte skrzydła „szerokie dusze" rosyjskie — wszyscy śpiewali, tańczyli — a potem Włodeczek przebrał się w kostjum hrabiego z „Dzwonów Kornewilskich", ucharakteryzował i czując się niby na scenie, śpiewał z ogromnym zapałem. Mimo mego całego sceptycznego usposobienia, byłem zachwycony i razem z innymi nie szczędziłem oklasków i wołałem o bisy. Nika po wypiciu paru kieliszków czerwonego wina — dumna z powodzenia swego ukochanego — przemogła swą nieśmiałość i podszedłszy do śpiewaka, stała się czuła i pocałowała go, przyczem w tym pocałunku z zamkniętemi oczami i uśmiechem rozkoszy na twarzy — dojrzałem o wiele więcej, niż wdzięczność za doznaną przyjemność: była w nim namiętność i poddanie się zwycięzcy:

Wszystko słucha woli mej — jako władcy ziemi tej...

Goście późno się rozeszli, ale my siedzieliśmy jeszcze długo przy stole i ucztowali w dalszym ciągu. Poczuliśmy na nowo głód i jedliśmy drugą kolację już bez skrępowania. Włodeczek był w dalszym ciągu w scenicznem przebraniu — dowcipny i czarujący.

Mania dawno poszła spać — posłania były nieprzygotowane. Gdy skończyliśmy kolację, Nika, pocałowawszy nas obu, odeszła do swego pokoju. Włodeczek rozłożył się na otomanie, na której z woli Mani sypiałem obecnie ja — zapalił papierosa i wyciągnąwszy się wygodnie, puszczał smugi dymu, widocznie rozkoszując się wrażeniami swego powodzenia na zebraniu, na którem był główną „atrakcją".

— No — trzeba będzie iść spać — wyrzekłem zakłopotany, patrząc na swoje łoże.

— Idź spać, Janku, a ja tu jeszcze sobie trochę podumam.

Krępowałem się powiedzieć mu, że tu właśnie sypiam, i wyszedłem do gabinetu.

Długo nie mogłem zasnąć, jak zwykle, gdy kładę się późno, nie o swojej porze. Słyszałem, jak zegar w jadalni wybił godzinę trzecią, potem usłyszałem kroki delikatne i po kociemu ostrożne. Ktoś cichutko przymknął moje drzwi. Kto? naturalnie Włodeczek. Potem znów kroki w skarpetkach, nieostrożny stuk drzwi od jadalni — drzwi zamykały się ciężko — i wkońcu charakterystyczny zgrzyt klucza w zamku.

Wszystko słucha woli mej.....

Z rana obudził mnie zagniewany głos naszego „hrabiego":

— Prędzej — idjotko jedna! — krzyczał gdzieś blisko Włodeczek.

— Gdyby pan mnie uprzedził, wiedziałabym i wcześniej wstała — odpowiedział głos zaspanej Mani z kuchni.

Domyśliłem się, że Włodeczek śpieszy się na pociąg. Nie miałem chęci odprowadzać go — stał mi się odrazu wstrętny. — Zakryłem się kołdrą na głowę i postanowiłem spać. W półśnie słyszałem zamieszanie, krzyki Włodeczka i pisk Mani, tupanie nogami, noszenie rzeczy, trzaskanie drzwiami. A potem nastąpiła odrazu taka miła cisza w całym domu, że odetchnąłem z ulgą i pogrążyłem się w senną otchłań.

— Proszę pana, czas wstawać!

— To ty, Maniu, czyż już naprawdę czas?

— Dziewiąta dochodzi, samowar już na stole.

Chorzy nie znają świąt: trzeba iść do szpitala. Ubrałem się prędko i wyszedłem do stołowego pokoju. I znów panuje tu porządek, czystość i ani znaku po wczorajszym chaosie. I niema śladu po Włodeczku — jakby go wcale nie było.

Przypomniałem sobie skrzypienie drzwi, kroki w skarpetkach, zgrzyt klucza w zamku i spytałem Manię:

— Czy pani piła już herbatę?

— Nie, nie piła.

— Czy odprowadzała gościa?

— Nie, nie wstawała.

— Idź, powiedz, że samowar gotów.

— Już mówiłam. Pani nie chce herbaty — bardzo ją głowa boli.

Wypiłem herbatę i poszedłem do szpitala. Leciało mi wszystko z rąk, z trudem rozumiałem, co mówią do mnie pacjenci. Odczytywałem tabliczki u wezgłowia chorych, aby nie pomylić, kto na co choruje. Czułem ciężar w głowie i na duszy... Wróciłem do domu trwożny, obiad jadłem znów sam. Okazało się, że Nika kazała sobie podać jedzenie do łóżka. Zobaczyłem ją dopiero wieczorem przy herbacie, zmęczoną, wystraszoną, uśmiechającą się do mnie smutno i z zakłopotaniem.

XXI.

Wiosno, wiosno! ty zawodnico!

Znów męczy mnie słodka tęsknota do czegoś oddalonego, niespełnionego — co mogłoby być, ale czego w życiu nie bywa — gdyż ludzie sami temu przeszkadzają. A o tem możliwem ale nieziszczalnem śpiewają ptaki po sadach, szemrzą strumyki, szepce i wzdycha ziemia, mówi lazurowy bezkres nieba z białemi nieruchomemi obłoczkami. O tem niespełnionem, ale możliwem w życiu przypomina śpiewny głos fortepianu, dźwięczący przez otwarte okna, strojne postacie i uśmiechnięte twarzyczki dziewcząt w wiosennych sukniach.

I w naszym ogrodzie jest smutno i miło.

Zapach świeżych brzozowych listków zmieszany z zapachem zgniłych zeszłorocznych liści przenosi duszę poprzez morza i góry do kochanej, opuszczonej ojczyzny i przed oczyma duszy stają mętne zjawy tej drogiej a nieprowrotnej przeszłości. Gdzieś woddali rozbrzmiewa namiętny dźwięk fortepianu. I owłada mną pragnienie rzucić się na tą młodą trawkę, osianą żółtemi kwiatuszkami — i szlochać z tęsknoty za tem wszystkiem, co już stracone, przepadłe, niedostępne...

Za szczęściem!

Ktoś gra „list Tatjany" z „Oniegina" i każdy wybuch akordów boleśnie szarpie moją duszę.

Siedzę w ogrodzie na ławeczce, jakby na cmentarzu przy najdroższych grobach. Nie płaczę. Czuję tylko ból i smutek, cichy, łagodny smutek i podda-

nie się niewidzialnym siłom, których nie dane jest człowiekowi zwalczyć.

— Proszę pana, czy podać herbatę na werandzie?

— Dobrze, Maniu, wszystko jedno. Niech będzie i na werandzie.

Odczuwam ogromną wdzięczność dla Mani· Ona jedna nie zgodziła się mnie opuścić i jakby chciała pocieszać mnie w osamotnieniu — tylko że nie umie. Wszystko, co się stało, jest dla niej niezrozumiałe: zjawił się człowiek, który najpierw napadł mnie i pobił, potem stał się naszym przyjacielem i gościem — a wkońcu zbałamucił mi żonę. Najbardziej dziwny jest dla mnie naturalnie fakt, że ja tak pokornie poddałem się losowi, że „sam wydałem zamąż swoją żonę“.

Dopiero co wróciłem z Sofji, straciwszy na zawsze Nikę i Wikę. Ucztowałem na weselu. Dziwne wesele! Wbrew pragnieniu Niki wziąć ślub cicho i skromnie, bez udziału osób obcych, Włodeczek postawił na swojem.

— Nie codzień się człowiek żeni!

Były rozesłane zawiadomienia, w rosyjskiej gazecie zjawiła się notatka w kronice towarzyskiej o mających nastąpić w rosyjskiej cerkwi tego a tego dnia zaślubinach „ulubieńca publiczności — niezrównanego śpiewaka p. Askoldowa z Weroniką Berezań“. Odbył się uroczysty ślub: pan młody we fraku, oblubienica w białej sukni z welonem — ze wszystkiemi szykami, z chórem, samochodami, drużbami i druhnami, ze wspaniałym obiadem w Słowiańskim Bazarze i t. d. Ponieważ między gośćmi przeważali artyści i artystki — całe to wesele było jakby nie prawdziwe, a niby scena z operetki, zwłaszcza takie wrażenie robiła uczta w restauracji, gdzie występowali śpiewacy, humoryści

i rozśmieszał wszystkich operetkowy komik - grubasek. Nika siedziała przy stole zmęczona i zmieszana. Z początku męczono ją okrzykami „kwaśne wino“ i żądaniem publicznych pocałunków z pijanym już Włodeczkiem. Uspokojono się dopiero wtedy, gdy oblubieniec głośno oznajmił, że „pocałunek przy świadkach to pies na łańcuchu“. Potem o Nice zdaje się zapomnieli wszyscy, nie wyłączając samego Włodeczka, który pił ze wszystkimi bruderszaft bez względu na różnicę płci i wieku. Z polecenia Niki kilka razy, uchwyciwszy odpowiednią chwilę, zwracałem uwagę Włodeczkowi, żeby tak dużo nie pił, ale on odburknął:

— Od dzieciństwa nie znosiłem guwernantek!

Z tego gwaru, śpiewów, śmiechów, tańców, tytuniowego dymu i pijackich oparów, Nikę rozbolała głowa i poprosiła mnie, abym powiedział mężowi, iż czas już pojechać do domu. Ale gdy powiedziałem Włodeczkowi, on jakby zapomniał zupełnie o tem, że się ożenił, i obraził się, że mu przeszkadzam:

— Proszę bardzo, nikogo nie zatrzymuję!

Umówiliśmy się z Niką, że wyjdziemy niepostrzeżenie — spotkaliśmy się w umówionem miejscu w kącie sali, posłali lokaja po okrycia i pojechaliśmy do mieszkania nowożeńców dorożką, nie biorąc nawet samochodu, oczekującego na „państwa młodych“.

Włodeczek, przyjechawszy w dwie godziny później owym samochodem, zrobił mnie i Nice operetkową scenę zazdrości i omal że nie wyrzucił mnie z domu, przyczem okazał się naprawdę bydlęciem, bo przez całą noc słychać było w pokojach wstrętne odgłosy wymiotów.

Splugawił święto „triumfującej miłości“.

Rankiem miałem wyjechać. Nika sama mnie odprowadzała. Gorzko płakała rzuciwszy mi się na szyję przy pożegnaniu — a gdy ujrzałem ją odchodzącą już przez okno wagonu — wydała mi się nie szczęśliwa.

Jaka łuna szczęścia rozpromieniała jej twarz, gdy chór śpiewał wczoraj „Isaja likuj" i jaka duma biła z całej postaci, gdy stojąc przed ołtarzem mówiła księdzu, że nie przysięgała wiary nikomu, — a jak nieszczęsną wydawała się już nazajutrz rano.

Pod tem ostatniem wrażeniem powróciłem do domu i gdy wszedłem do swych pokoików — czystych, słonecznych, wesołych ale milczących i pustych — poczułem się tak, jak musi się czuć mąż, powróciwszy z pogrzebu ukochanej żony i dziecka. Długo starałem się opanować, spacerowałem po pokojach i gwizdałem, ale gdy siedziałem na ganku przy herbacie z gazetą w ręku — przyszła Mania i przyniosła z kuchni lalkę z oderwaną głową i kładąc ją na stół, odezwała się: — Panienka nasza zostawiła — wzdrygnąłem się.

— Zabierz to, wyrzuć tę kalekę.

— Możnaby przyprawić nową główkę. Panienka tak kochała tę laleczkę.

Machnąłem ręką i zakryłem się gazetą, ale gdy Mania wyszła, ukryłem twarz w dłoniach i rozpłakałem się.

Oj wiosno, wiosno... ty zwodnico!...

Ptaki śpiewały o szczęściu, listki szeptały o szczęściu, muzyka wdali dźwięczała o szczęściu... I tylko rozbita lalka bez głowy przypominała: człowiek jest igraszką w rękach losu i zabawką jest jego szczęście.

XXII.

„Kochany, drogi, jedyny! Tak się dziś ucieszyłam, otrzymawszy twoje dwa listy. A już chciałam się gniewać na ciebie, tak, jak i ty na mnie. Okazuje się, że niepotrzebnie gniewaliśmy się nawzajem, gdyż zawinił Włodeczek. Już od dwóch tygodni wyjechałam z Wiką z dusznej i pełnej kurzu Sofji i mieszkam w Górnych Baniach — wyobraź sobie, w tym samym pokoju, gdzie ongi ukrywałam cię przed Włodeczkiem. Dopiero dziś przysłał mi tutaj twoje dwa listy, dodając, że mój list do ciebie przez cały tydzień nosił w kieszeni. Żyje on wciąż w tym teatralnym operetkowym zamęcie i dlatego — niepewny z niego listonosz. Do tego wszystkiego otworzył on twoje dwa listy i włożył do jednej koperty razem ze swoim, a ja nie lubię, gdy kto otwiera, a może i czyta moje listy do ciebie i twoje do mnie. Sama tego nie rozumiem: kocham bardzo, bardzo Włodeczka, ale lękam się i nie mogę być z nim tak otwarta, jak z tobą. Korespondencja z tobą stanowi dla mnie nietylko przyjemność. Ona jest niby okno, otwarte na ogród. Gdy w mojej duszy robi się duszno, jak w naszym pokoju, siadam pisać do ciebie, mój serdeczny. A po twoich listach mam wrażenie, jakby naraz otwierało się okno do ogrodu...

Pod memi oknami cisza, zielona gęstwina i złoty promyk słońca, rozkwitłe bzy zaglądają do pokoju, rankiem i wieczorem kuka kukułka, a dziś w nocy słowik śpiewał tak blisko, że obudził Wikę, która spytała: „Kto to tak robi, mamusiu?" „Śpij, śpij — mówię do niej, a ona nadsłuchuje i znów powiada „to pewno Bozia tak

rozmawia". Noc była cudowna, do świtu siedziałam w oknie z uczuciem samotności i smutku — sama nie wiem dlaczego. A rano taka radość — twoje dwa listy! Czytam i dziwię się: opisujesz taką samą noc, nieokreślony smutek pod wpływem dalekich dźwięków muzyki, tęsknotę za czemś nieznanem i niedościgłem... Doskonale cię, miły mój, rozumiem! Lękasz się, że to jest zazdrość o cudze szczęście — o moje? czy też może o szczęście Włodeczka. Sama nie umiem ci powiedzieć: czasami wydaje mi się, że jestem bardzo szczęśliwa, ale nieraz wkrada mi się do duszy smutek i wtedy smutnem się staje to moje szczęście. Doprawdy — kochanie — sama nie mogę się zorjentować, czy jestem szczęśliwa, czy nie. Znasz mnie i wiesz, że chciałam od życia zawsze niemożliwości. Byłam i pozostałam marzycielką, a takie istoty prawdopodobnie nigdy nie bywają i nie umieją być zupełnie szczęśliwe. Naprawdę, Janku, trzeba umieć być szczęśliwym. Niema na świecie doskonałości i na tej prawdzie należy opierać życie — a my o niej zapominamy. Zdawałoby się, że życie dostatecznie karało mnie i ciebie za brak zdrowego rozsądku i normalnego stosunku do ludzi i wogóle do ludzkości — ale te okrutne przejścia nic nas nie nauczyły — widać jesteśmy niepoprawni! Widocznie garbatego rzczywiście tylko grób uleczyć może! Nie gniewaj się, Janku, tyś taki sam kaleka pod tym względem, jak i ja.

Nie pomyśl tylko, że przestałam kochać Włodeczka! Nigdy w życiu! tylko, że kochamy się z nim zupełnie odmiennie — najzupełniej inaczej! Przychodzi mi do głowy myśl, że to już tak jest stworzone i tak trzeba, żeby miłość męska nie była podobna do uczuć kobiety. Może właśnie ta zaborczość, egoizm, brutalność i zmysłowość w miłości mężczyzny jest tą prawdziwą treścią waszej „męskości" — a nasze uczucie łagodne, spokojne, delikatne i ofiarne — to jest właśnie to „wiecznie kobiece". Nie wiem... nie wiem... zupełnie inaczej wyobraża-

łam sobie miłość... wydawała mi się być jak spokojna toń morska rankiem lub o zorzy wieczornej... pamiętasz, jak bywała nieraz w Bałakławie i Warnie? A okazuje się, że przynajmniej w mojem życiu — jest ona gwałtowna, burzliwa, szumna, z hałaśliwym przypływem... W tem właśnie, mój Janku, leży przyczyna, że brakuje mi czegoś do zupełnego szczęścia. Tak rzadko bywa moje morze cichem, odzwierciadlającem niebiosa... Przyznam ci się do czegoś — tobie jednemu: przychodzi mi czasem do głowy straszna myśl, iż może mężczyzna nie może kochać prawdziwą miłością takiej kobiety zhańbionej, jak ja. Wszak nie modlą się ludzie w znieważonej świątyni — tam można tylko świętokradczo grzeszyć, ale nie modlić się!

Ta straszna myśl przyszła mi do głowy po raz pierwszy jeszcze w Płowdiwie podczas ostatniej nocy przed wyjazdem Włodzimierza do Sofji. Ty nawet nie podejrzewasz, co stało się tej nocy. Szalony wstyd ogarnia mię na to wspomnienie, ale nie chcę nic przed tobą ukrywać, wszak wiesz o mnie wszystko! A jednak to ukrywałam do tej pory przed tobą. Tej nocy po raz pierwszy odczułam w miłości Włodzimierza ten sam zwierzęcy popęd, co wtedy w Rosji. Byłabym krzyczała, wzywała ratunku, gdyby nie wstyd wobec ciebie... i on wykorzystał ten mój wstyd, ten mój strach, że ty usłyszysz mój krzyk... Prawda, że był wtedy pijany, ale i ten „czerwony" łotr był również pijany! Odczułam wtedy prawie ten sam strach i poniżenie, tę samą rozpacz, co ongi w Rosji...

Dlatego nieraz myślę sobie, że gdyby nie było się stało ze mną „to" w Rosji, — nie powtórzyłoby się i w Płowdiwie... To można zrozumieć, przebaczyć, ale czy można zapomnieć...

Wiem, że odpowiesz „można". Tyś mi tego dowiódł... Ale ty jesteś człowiekiem wyjątkowym, jedynym na świecie. Takich, jak ty, niema wcale lub też bardzo

mało. Ja także: zrozumiałam i przebaczyłam Włodzimierzowi tę noc, ale nie mogę o niej zapomnieć. Jakby wtedy splugawił odrazu wszystkie nasze następne pieszczoty. Gdy tylko przypomnę sobie jego zwierzęcy wyraz twarzy podczas tej nocy — wydaje mi się, że trzymam w objęciach obcego, strasznego człowieka...

Miałeś słuszność, przepowiadając, że Wika będzie zatruwać naszą miłość, gdy proponowałeś ongi Marji Mikołajewnie, że zabierzesz dziecko... Czuję to i widzę na każdym kroku. Włodzimierz jej nie lubi, a może nawet więcej, niż nie lubi. Kiedyś Wika powiedziała, że ma dwóch tatusiów: „jednego — ciebie, a drugiego — Janka", Włodzimierz odtrącił ją od siebie, wstał i rzekł: „nawet nie dwóch, a trzech". „A gdzie trzeci?" — spytała naiwnie dziecina. „Spytaj matki". I wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. To było okrutne, przecież ja to wszystko słyszałam... Popłakałam w kąciku, żeby nikt nie spostrzegł, i przebaczyłam: nie mogę przecież żądać, żeby Włodzimierz kochał Wikę! Nie mogę, a tak pragnę tego niemożliwego... Droga, nieszczęsna dziecina! Myślę nieraz z przestrachem, co będzie, jeżeli kiedy dowie się prawdy o swem pochodzeniu. Często o tem myślę! Nie będę ukrywać, że nieraz zastanawiam się, iż byłoby o wiele lepiej dla mnie, dla Wodzimierza i dla samej Wiki, gdybym była zgodziła się wówczas w Bałakławie na oddanie jej tobie na własność.

Kochasz ją — wiem o tem — nie mniej, niż ja, i w tobie Wika znalazłaby prawdziwego ojca. Może w dzisiejszych przeklętych czasach opieka ojca jest potrzebniejsza — niż matczyna... Ale jak mogę oderwać sobie własnemi rękami kawałek serca... Ot, i teraz jesteśmy tylko we dwie i czuję, że ona jest mi potrzebniejsza, niż nieobecny Włodeczek. Kocham ją dziwnem, chorobliwie silnem uczuciem, jakiem kochają czasem matki swe dzieci potwory. A pamiętasz — wtedy, gdy się urodziła, nienawidziłam ją, nie chciałam nawet spojrzeć, ani kar-

mić. Nie mogę mieć żalu do Włodzimierza. Jesteśmy wszyscy bez winy, a jednak jakby winni wobec siebie: ja wobec Włodeczka, Włodzimierz — wobec Wiki, a biedna dziecina — wobec nas obojga. Całe szczęście, że tego jeszcze nie rozumie, ale przecież nadejdzie chwila, że zrozumie. Szalenie kocham to nieszczęsne dziecko!

Ty tylko nie pomyśl, że przestałam kochać Włodeczka! Nic podobnego! On jest nie taki dobry, jak ty, ale nie mogę go nie kochać. Gdy go niema, zagłębiam się w swą duszę, zastanawiam się nad swoją i jego miłością — i moje szczęście wydaje mi się smutnem, — ale wystarczy mi zobaczyć go, wysiadającego z pociągu — szaleję z radości i w tej samej chwili wszystko wybaczam i zapominam... Kiedyś zrobiłam ci wymówkę, że uratowałeś mnie od śmierci. Wybacz! To wyrwało mi się z duszy w chwili szalonego smutku po jakiejś sprzeczce z Włodeczkiem o Wikę. Nie — jestem ci wdzięczna za życie — nawet z tem „smutnem szczęściem". Byłabym umarła, nie zaznawszy dobra i zła ludzkiej miłości.

Ale dość już o sobie i o mojem szczęściu! Jeżeli rozejrzeć się wokoło badawczym, obojętnym wzrokiem, to jest ono nie większe, ani mniejsze, niż u innych kobiet. Tak kochać, jak ty — Janku — nie potrafi nikt, prócz takich kalek, jak ty i ja.

Jak dobrze, że mieszkamy w tym twoim pokoju, możesz więc wyobrazić sobie nas w tem otoczeniu. To nas troszkę zbliża... ale przez to bywa mi czasem więcej przykro... częściej tęsknię do ciebie.

Wika urosła, opaliła się jak cyganiątko — tylko oczki błyszczą w smagłej twarzyczce. Prócz Włodeczka wszyscy uważają, że jest do mnie podobna. Prześmieszna dziewczynka! Wczoraj w nocy zobaczyła z oddali idący pociąg z oświetlonemi oknami i zawołała: patrz, mamusiu, ulica biegnie! Wciąż pyta: kiedy pojedziemy do domu, do tatusia Janka — i dodaje: tamten tatuś

lepszy. Czasem pyta mnie: którego tatusia bardziej kochasz? a ja odpowiadam jej: obu jednakowo.

Do 10 lipca będziemy z Wiką tu, a potem Włodzimierz chce, aby pojechać z nim do Warny, dokąd jedzie na gościnne występy cały zespół operetkowy. Wogóle nie podoba mi się ten światek, w którym dostałam się razem z Włodzimierzem. W nim jest wszystko fałszywe, kłamliwe, powierzchowne i ci ludzie wciąż tak się zachowują, jakby byli na scenie. A jeżeli pojadę, to już trudno — nie uda mi się od nich oswobodzić i muszę żyć tem ich życiem. Takbym pragnęła wyciągnąć Włodeczka z tej wesołej, ale lekkomyślnej otchłani, a on i mnie tam wciąga: wciąż namawia, abym zgodziła się prowadzić chóry i przygotowywać z niemi nowe partje. Tak mi się nie chce! Ale boję się urazić Włodzimierza — on taki dumny i obraźliwy.

Posyłam ci bazgroty Wiki: to list do ciebie — sama go pisała. Obie serdecznie cię całujemy, tęsknimy za tobą i bardzo, bardzo pragniemy cię zobaczyć. Pisz do mnie tu poste restante. Nie mam żadnych sekretów przed Włodzimierzem, ale nie mogę znieść, jak kto otwiera i czyta listy do mnie adresowane. I jeszcze... on taki podejrzliwy... i nie wierzy w przyjaźń między mężczyzną a kobietą. Wydaje mi się czasem, że on wogóle nie uznaje w kobiecie człowieka, lub też zapomniał szanować ją w tej swojej operetce. Obecnie odpoczywam od niej całą duszą. Wiele znajomych pań zazdrości mi, że mogę codzień chodzić za darmo do teatru, a ja — jeżeli chodzę — to tylko dlatego, aby nie urazić Włodzimierza swą obojętnością co do jego powodzenia. Widzisz! Dawno zakończyłam list i wciąż piszę, nie mogę się oderwać. Pozdrów Manię.

Twoja Nika."

XXIII.

I poprzednie jej listy nie były wesołe, ale ten opis „smutnego szczęścia“ wydał mi się spowiedzią opłwanego kobiecego serca.

Spacerowałem po ścieżkach ogrodu szybkiemi krokami, potykając się. Męcząco i z wysiłkiem płynęły myśli. Wydawało mi się, że powinienem coś uczynić, coś przedsięwziąć, nie tracąc ani chwili czasu — dokądś pójść czy też pojechać. Ale co robić, co robić?

W czasach wczesnej młodości straciłem ukochanego przyjaciela i towarzysza. Kąpaliśmy się w Wołdze. On wpadł w wir i zaczął tonąć, wołać mnie i krzyczeć ratunku. Ale ja nie umiałem pływać i biegałem po brzegu w bezsilnej rozpaczy. Nie było kogo wezwać na pomoc. Do tej pory pamiętam ten przedśmiertny krzyk i rozpacz swej bezsilności.

Coś podobnego odczuwałem obecnie, odczytując list Niki. Do mej rozpaczy dołączyła się złość na Włodeczka. Głuchy jest i ślepy, nie ceni tego bezcennego skarbu, który trzyma w rękach: bardzo prędko rzuci go i rozbije. Nie wiem, co mam zrobić, co począć — ale muszę natychmiast tam pojechać. Sam jeszcze nie wiem, co tam powiem i zrobię — to przyjdzie samo przez się. Najważniejsze — to pojechać...

Kiedy wszedłem do gabinetu starszego ordynatora prosić o urlop choćby jednodniowy — spytał mnie wystraszony:

— Co się panu stało?

Wzdrygnąłem się i zjeżyłem pod niemiłem wrażeniem, że ktoś obcy zagląda w tajniki mej duszy.

— Czy pan co słyszał? czy...

— Ma pan wygląd taki jakiś... podniecony...

— Zgadł pan — przyszedłem prosić o krótki urlop w sprawach rodzinnych... wogóle osobistych... Nieoficjalnie.

— Trudno mi będzie.

— Na miłość boską! Choćby na dwa dni, lub ostatecznie tylko na dzień jutrzejszy!

— Hm... dobrze... na jeden dzień jutrzejszy.

Oddawna już tęskniłem za Niką i Wiką i być może, że ta właśnie tęsknota najbardziej skłaniała mnie do pojechania... pod pretekstem ratunku. Myśli służą naszym uczuciom, uczucia — myślom i często oszukują się nawzajem, jak ludzie. W ponurym nastroju pakowałem swój podróżny neseser, śpieszyłem się — jakbym miał jechać jako doktór na trudną operację, ale wewnętrzny głos szeptał mi, że wkrótce zobaczę Nikę i ciemności rozświetlały się jasnemi wybuchami radości, a ponura twarz — uśmiechem.

Dzwonek. Kogo tam djabli niosą!

Mania: „depesza do pana".

— Dawaj tu — prędko!

— Trzeba pokwitować.

— Już podpisane.. masz, daj na piwo...

Zamknąłem drzwi i otworzyłem depeszę drżącemi rękami.

„Nie odpowiadaj".

Co to znaczy? Nie rozumiem, ale czuję, że w tych dwu wyrazach zawiera się ogromna, przestraszająca treść. Podpisu niema, ale wiem, że to wiadomość od wzburzonej tak samo, jak i ja Niki... Skąd? z Górnych Bań czy też z Sofji? Miejsce na-

dania — nieznana stacja. Komu mam nie odpowiadać? Najwidoczniej prosi, aby nie pisać. Cóż tam się stało. Więc co począć? jechać czy poczekać do jutra? Szkoda tracić dzisiejszy wieczór.

Znów nawał myśli i uczuć w głowie. Chodzę po pokojach i rozmyślam. „Nie odpowiadaj". Czy to nie znaczy też „nie przyjeżdżaj".

Przecież gdybym pojechał, musiałbym komuś na coś odpowiadać. Nie jechać — to znowu nie zobaczyć moich dwóch najdroższych kobietek: dużej i małej Weroniki.

Zadecydowałem odłożyć wyjazd do rannego pociągu — a wieczorem wszystko się wyjaśniło: przyniesiono mi z poczty list z Sofji... nie Nika go pisała... on, on... Włodeczek...

„Szanowny panie!

Żałuję mocno, że w swoim czasie tylko obiłem, a nie zabiłem pana. Zapewniam, że uczynię to niewątpliwie, jeżeli pan, udając przyjaciela, będzie w dalszym ciągu narzucał się Weronice Włodzimierzównie ze swemi pretensjami. Proszę zapomnieć wszystko, co było, a pamiętać tylko, że ona ma teraz prawowitego męża. Zapewniam, że nie należę do tych dobrodusznych mężów, którzy żenią się dla przyjaciół. Proszę to przyjąć do wiadomości — wyjątkowy, jedyny na świecie łajdaku. Gotowy do usług

porucznik Rajewski.

Ot — i wszystko się wyjaśniło. Moje przypuszczenia okazały się słuszne: porucznik nie wierzy, że nasz stosunek z Niką był i pozostał czysty. Nie wierzy również i temu, że Wika, do której tak jestem przywiązany, nie jest moją córką — a całą historję z „czerwonym gwałcicielem" uważa poprostu za oszukiwanie, za nasz wymysł dla upo-

żorowania tego związku, którego owocem jest Wika. W jaki sposób i co odpowiedzieć oszalałemu człowiekowi?

Wtedy zrozumiałem sens depeszy: nie odpowiadaj!

Niema sensu odpisywać — ale i jechać nie można. Widać Włodeczek przejął czy też wypadkiem otworzył mój list albo Niki do mnie. Ten listonosz rzeczywiście okazał się niepewnym. To jasne! do „łajdaka“ dodane są dwa przymiotniki wzięte z listów Niki.

„On nie wierzy w przyjaźń między mężczyzną a kobietą“... „Jesteśmy kochankami“. Jakgdyby nie można było kochać kobiety, nie będąc jej kochankiem. Doskonale, silnie powiedziane, jakby gwoździami przybite: „wyjątkowy, jedyny na świecie łajdak“.

Nie obrazę, tylko zdumienie wywołał we mnie ten list Włodeczka. Obrażały w nim tylko bezczelne drwiny z wykradzionych listów Niki jej ulubionych wyrażeń, z tych serdecznych zwrotów, któremi obdarzała mnie w swych listach.

„Jedyny na świecie łajdak“.

Oj, Włodeczku, — jeżeli już o to chodzi, to obaj jesteśmy łajdacy wobec tej świętej w swej czystości kobiety. Tylko różnego gatunku: tyś głupszy i bardziej prostolinijny — ja więcej skomplikowany i chytrzejszy. I jeszcze jedna jest między nami różnica: ja zdołałem okiełznać swojego czorta, a ty uginasz się pod ciężarem jego władzy.

Nie obraził mnie list Włodeczka. Cóż on znaczył wobec tego wszystkiego, co już wycierpiałem nie od słów, ale z rąk tego szczęśliwego rywala.

I nie przestraszyły mnie osobiście jego zwierzęce pogróżki: zabije? zadusi mnie?

Ale najstraszniejsze byłoby dla mnie utracić na zawsze i nigdy nie widywać Niki i Wiki. To gorsze od śmierci. I tak w mej samotności myślę nieraz:

„Dar napróżny, dar przypadku — życie, po co jest mi dane?".

Ja wygram, a ty, Włodeczku, przegrasz! Razem ze mną zabijesz to, czego Nice brakuje w twojej *miłości*, a co ona czerpie z naszego czystego stosunku. Zabijesz, ale sam jej tego nie dasz, bo nie umiesz zapanować nad swoim czortem. Ty doskonale grywasz „hrabiego" w operetce i ślicznie śpiewasz „wszystko słucha woli mej..." ale duszy Niki nie zdobędziesz.

Ale nie chodzi o mnie z tobą... Idzie wyłącznie o ten stos piekielny, na którym twój zły duch spala teraz jej duszę...

Biegałem po pustem mieszkaniu w trwodze i niepokoju, przygnębiony tą nową podłością życia, rozmawiałem głośno niby z Włodeczkiem i usilnie szukałem wyjścia z tego potrzasku, dokąd nas wszystkich zapędził szyderczy los....

Nie można się wydostać... nie pomogą żadne usiłowania.

Nie pomoże nawet ulubiony sposób szlachetnych bohaterów w romansach — pojedynek. Najwidoczniej i Włodeczek to rozumie... w liście niema nawet najmniejszej ku temu aluzji: mnie nie wyzywa i nie oczekuje tego ode mnie. Gdybym choć wiedział, że Nika go już nie kocha i mógłbym tym pojedynkiem wybawić ją od niego!

Jeżeli poprzednio nazywała ona swe szczęście „smutnem", to teraz jest ono dostatecznie splugawione przez samego wybrańca.

Spacerowałem wciąż tam i zpowrotem i myślałem... myślałem.. Potem odczytywałem znów list Niki

i znajdowałem między wierszami wiele rzeczy, przedtem niezauważonych. Wtem błysnęła mi myśl: Coby było, gdyby ona była moją żoną, a ja wypadkiem przeczytałbym ten sam list, adresowany do Włodeczka? List pełen takiej serdeczności i zaufania, że nie zawahała się nawet przed wyznaniem innemu mężczyźnie najgłębszej tajemnicy małżeństwa: stosunku miłości meża i ku mężowi. Czy wtedy utrzymałbym się na wyżynach mej dotychczasowej szlachetności?

Wszak w ten sposób kobieta może zwierzać się tylko drugiej kobiecie lub też...

Wtedy przyszło mi do głowy... nie, nie do głowy, a odczułem w głębi duszy zupełnie nagle, za podszeptem Boga, czy szatana: ona kocha ciebie — nie jego!

Wrażenie tej myśli, jak błyskawica rozświetlającej mroki mej duszy, było tak silne, że zatrząsłem się, jak w febrze i zacząłem wymyślać sam sobie z dzikim chichotem:

— Idjota! niepoprawny głupiec! Jedyny, wyjątkowy na świecie bałwan!

Przez uchylone drzwi zajrzała Mania wytrzeszczonemi zdumieniem oczami i ziewając, i zakrywając usta dłonią, rzekła:

— Myślałam, że kto przyszedł?

— Niema nikogo i nikt nie przyjdzie...

Jakieś licho pociągnęło mnie za język i zapytałem Manię:

— Maniu! Jak ci się zdaje? kogo nasza pani kocha? mnie, czy swojego męża?

Spytałem, niby przepowiedni. Mania westchnęła i odparła, machnąwszy ręką:

— Czy to u państwa można zrozumieć, kto kogo kocha? Za późno o tem myśleć, proszę pana.

— Tak, Maniu, za późno.

— Nie cenimy, co posiadamy — straciwszy — płaczemy!

Oparła się o futrynę, zmarszczyła i zdecydowała wypowiedzieć to, co oddawna leżało jej na sercu!

— Jednego tylko nie rozumiem, jak to pan zgodził się oddać swoje dziecko?

— Matka tego chciała, Maniu.

— A im to naco? Własne teraz będzie! a przynajmniej byłoby w domu weselej... i dla mnie przyzwoiciej. A tak, zaczną gadać... języki ostrzyć na mnie i na panu... Żal mi pana będzie, ale honor dziewczyński droższy... Dobre słowo leży — a złe bieży... Pan będzie musiał poszukać sobie jakiej starszej służącej.

XXIV.

Nie pojechałem. Kilka razy pod święto wybierałem się po wieczornem obejściu chorych choć na kilka godzin wpaść do Sofji. Pakowałem swój sakwojaż i w drodze ku stacji, zmieniałem zamiar i wracałem. Przez cały ten czas nie mogłem sobie znaleźć miejsca, ani spokoju i zapomnienia — i wciąż czułem się winny wobec Niki. Może przy osobistem widzeniu prostemi i serdecznemi słowami można było jeszcze wszystko poprawić, zawrócić, pogodzić i wyjść z tej matni. Na drogach życia, jak na szynach kolejowych, są „zwrotnice“: można dobrem słowem, spojrzeniem, delikatnością wyrozumienia i współczucia przesunąć taką duchową zwrotnicę — i życie człowieka wejdzie na nowe tory. Bywa tak. A ja nie pojechałem... przemęczyłem się kilka dni — wyczerpany, bez sił... bez woli... a potem stało się coś nowego, nieoczekiwanego i okazało się, że wszystko ułoży się samo przez się poza mną... Ale oto, co się stało:

Któregoś dnia wypełniałem leniwie swe obowiązki w aptece, gdy wtem usłyszałem dźwięczny głosik dziecinny i drgnąłem. Zadrżałem wcześniej, niż zdążyłem pomyśleć. Na szpitalnem podwórzu bywa dużo dzieci i nie było w tem nic nadzwyczajnego. Drzwi i okna są otwarte przez cały dzień. Ale wtem nieśmiało otworzyły się drzwi do mego pokoju i osłupiałem: Mania z Wiką. Wika stoi z zażenowana minką i niepewnie patrzy na mnie.

— Wika!

O nic nie pytałem, nie zdążyłem się jeszcze zastanowić, dlaczego i w jaki sposób Wika tu się zjawiła. Schwyciłem ją na ręce i osypałem pocałunkami, a dziecina śmiała się i wyrywała. Sanitarjusze i siostry zaglądali ciekawie do laboratorjum, gdzie działo się coś niezwykłego, niedotyczącego spraw służbowych — wobec czego stłumiłem w sobie wybuch uczuć ojcowskich...

— Maniu, idźcie do ogrodu, albo do domu... zaraz skończę i przyjdę...

— A ja, proszę pana, jakbym przeczuwała: jeszcze dziś rano chciałam odejść — ale nie zdążyłam... Taka radość!

Nie mogę pracować... Trzęsą mi się ręce, upuszczam ciężarki, rozsypuję proszki, serce skacze, jak wróbel na nitce... mam ochotę śmiać się...

Dla przyzwoitości posiedziałem jeszcze chwilę, wysuwając szuflady, dzwoniąc słoikami — rozmówiłem się z siostrą miłosierdzia przesadnie poważnym tonem i ledwie się powstrzymując, aby nie biec, poszedłem do swego mieszkania. W ogrodzie ich niema, idę przez werandę, widzę — na stole leżą rzeczy: pościel, koszyk i zawiniątko z zabawkami: puszysty miś wygląda czarnemi oczkami z paciorków, sterczą nogi lalek — głowa pajaca. Wszystko starzy znajomi! Nagła myśl poprostu wstrzymała mi oddech: a może i duża Nika wróciła! i zacząłem przekonywać sam siebie, że nie było w tem nic niemożliwego. Pokłócili się, zabrała dziecko i przyjechała. Uspokoiwszy się trochę, otworzyłem drzwi do pokoju. Niema! W jadalni słychać dwa głosy: Mania zaśmiewa się, a Wika poważnie opowiada.

Ożyły odrazu moje puste pokoiki: jakby sama radość we własnej osobie przyjechała z wizytą.

— Z kim przyjechałaś, Wiko?
— Z tamtym tatusiem.
Mania pośpiesznie opowiada: usyszała dzwonek w przedpokoju, otworzyła i zobaczyła Wikę z tym panem.
— Patrzę, — a on pijany... i taki zły...
Odprowadziła mnie na stronę i zaczęła cicho opowiadać, spoglądając na Wikę. Przywiózł dziecko pijany Włodeczek i spytał przedewszystkiem, kto jest w domu. Mania odpowiedziała, że niema nikogo. Wszedł i obejrzał wszystkie pokoje — zaglądał do szaf, pytał, kiedy pani wyjechała? Mania odpowiedziała, że pani do nas nie przyjeżdżała. Kazał wziąć rzeczy z dorożki, zostawił list i nie pożegnawszy się z dzieckiem, odjechał tą samą dorożką.
— Gdzie list?
— Na biurku.
— A o mnie nie pytał?
— Powiedziałam, że pan jest w szpitalu.
W gabinecie na biurku leży gruba koperta z firmą: Biuro dyrekcji Rosyjskiej Operetki w Sofji — zaadresowana do mnie z dopiskiem: załącznik — jeden podrzutek. Rozerwałem kopertę— metryka Wiki bez żadnego listu!...
Gdyby mógł zobaczyć nieszczęsny Włodeczek, jak uradował mnie i rozweselił swym pijackim dowcipem! Przez chwilę zapomniałem, że pod tym operetkowym żartem kryje się ciężki dramat, a w tym dramacie moja rola jest równie ważna, jak jego i Niki. Na chwilę zapomniałem, że pod ucharakteryzowaną maską pajaca kryje się zwykły, nieszczęśliwy człowiek. Zaśmiewałem się, czułem się wesoły i szczęśliwy.
Podrzutek! mój ostatni bezcenny skarb! Nieoczekiwany wielki los na loterji życia. Maleńka

Weronika, artystyczna minjatura ukochanej kobiety!

Jestem szalenie szczęśliwy!

Pobiegłem sprawdzić, czy frontowe drzwi są dobrze zamknięte, wyjrzałem, czy niema gdzie jakiej zasadzki. Zamknąłem głośno drzwi, zasunąłem zasuwę. To samo powtórzyłem przy drzwiach kuchennych i poleciłem Mani zaraz mnie wezwać w razie dzwonka czy pukania. Nie mogłem jeszcze uwierzyć, że nikt nie przyjdzie i nie zabierze mi „podrzutka“.

— Wika, tyś moja!

— Twoja — zaśpiewała Wika, — wznosząc ku mnie oczy.

Przytuliłem ją do siebie.

— Co tam piszą, proszę pana? W gościnę przysłali czy też oddali zupełnie?

— Oddali, Maniu, oddali!...

Byłem podobny do dzieciaka, obdarowanego żywą, mówiącą lalką, zadawałem Wice różne niemądre pytania i śmiałem się do łez z jej poważnych i nieoczekiwanych odpowiedzi. Biegałem z nią po mieszkaniu, bawiłem się w wilka i Czerwony Kapturek, a Mania była babcią, którą pożarłem ja — wilk. Potem bawiliśmy się w chowanego. Nie było łóżeczka, i ułożyłem Wikę spać na swojem posłaniu, gdzie sypiała kiedyś duża Nika. Nie mogłem oderwać oczu od śpiącej dzieciny. Długo potem, położywszy się obok mego skarbu, nie mogłem się uspokoić i zasnąć. Zapalałem zapałki i ostrożnie oświetlałem dziecinną buzię, patrząc z nieopisanym zachwytem i tęsknotą.

W tej radości utopiłem przez kilka dni swój niepokój o Weronikę. Nie zapomniałem o niej — codzień rozmawiałem z Wiką o mamusi, pytałem jej, co porabia, kiedy do nas przyjedzie — ale odpowiedzi ma-

leńkiej były takie zabawne, że płoszyły troskę i umacniały pewność, że wszystko ułoży się pomyślnie.

Jak dziś, pamiętam tę straszną chwilę! Dzień św. Jana! Obchodziłem swoje imieniny i miałem niejasną nadzieję otrzymania jakiejś radosnej wiadomości. Poprzedniego wieczoru Mania wróżyła mi z kart i wyszło jej „nieoczekiwana radość, płomienna miłość i zupełny spokój". — Siedziałem przy stole z Wiką na kolanach: ona pisała swe bazgroty — list do mamusi — a ja z przyjemnością słuchałem miłych przepowiedni Mani. Może właśnie pod wrażeniem tych miłych wróżb odczuwałem tajemną nadzieję czegoś, czego ściśle nie określałem, ale co w danym wypadku utożsamiało się z damą coeur, która oznaczała u Mani „naszą panią".

Tego dnia było u mnie na obiedzie trzech znajomych emigrantów, pracujących w tartaku, i dla uczczenia mych imienin, wypiliśmy karaweczkę wódki. Po dobrym obiedzie, w lekkiem, miłem podnieceniu, siedzieliśmy wszyscy w jadalni, na otomanie, a Wika kręciła się za naszemi plecami, obejmowała mię za szyję swemi ciepłemi łapkami i dokazywała, przeszkadzając rozmawiać z gośćmi.

Wtem weszła Mania, podając mi z uśmiechem list:

— Nie wierzył pan, a jednak wyszło tak, jak wróżyłam.

Dziwne, że nie ucieszyłem się, a przestraszyłem, biorąc list z rąk Mani. Charakter pisma na kopercie taki znany — kazał mi natychmiast wstać, przeprosić gości i zamknąć się w gabinecie, aby czem prędzej przeczytać list. Stempel pocztowy „Warna", zadziwił mnie i jeszcze bardziej przestraszył. Przeżegnałem się i rozerwałem kopertę.

Drogi mój, jedyny na świecie! Nie chcę i nie mogę żyć!

Żałuję tylko was dwojga — ciebie i Wiki — tylko was naprawdę kochałam! Kochaj i strzeż naszą nieszczęsną dziecinę, bądź jej ojcem i nigdy nikomu nie zdradzaj tajemnicy jej pochodzenia. Niech was Pan Bóg ma w swej opiece! Wspominaj mnie, ale nie żałuj: będzie mi lepiej, niż na ziemi. Z całej duszy kochająca was

Weronika.

W bułgarskich gazetach ukazała się notatka:

„*Śmierć żony artysty, p. Askoldowa.* Przed kilku dniami zginęła bez śladu, przybyła niedawno razem z mężem żona znanego artysty, p. Askoldowa, który przyjechał do Warny na gościnne występy razem z operetkową trupą. Wszelkie poszukiwania okazały się bez rezultatu. Teraz dopiero dowiadujemy się, że p. A. utonęła. Wczoraj, po burzy, znaleziono w zatoce, na wybrzeżu, przy latarni morskiej, trupa młodej kobiety. Jest przypuszczenie, że egzaltowana młoda osoba przechadzała się, jak zwykle, po molo, podziwiając piękno szalejącego u jej stóp żywiołu — pośliznęła się i wpadła do wody. Silny wiatr i szum fal zagłuszył jej wołania o ratunek. Olbrzymi tłum publiczności gromadzi się wciąż około miejsca katastrofy. Marny wypadek zniweczył piękne, prawdziwe szczęście. Pp. Askoldowie uciekli w swoim czasie z Rosji, każde oddzielnie i długo się wzajem szukali — nareszcie spotkali się i pobrali, zaledwie tej wiosny. Tak nagle i tragicznie osierocony, a szalenie zakochany małżonek, z rozpaczy targnął się na swoje życie. Ale na szczęście, udało się go uratować — życiu jego nie grozi niebezpieczeństwo.“

K O N I E C.